

• WALSER OBRAŻA REICHA-RANICKIEGO • NAJSZTUB DRAŻY OLECHOWSKIEGO

PRZE

Numer 26/2975 30 czerwca 2002 r.

KROŹ

Cena 3 zł 50 gr (w tym 7% VAT)

LAURO POD NEAPOLEM.
PIĄTEK GODZINA 20.
ZGINĘŁO 5 KOBIET.

TERAZ ZABIJA

**MATKA
CHRZESTNA
MAFII**

ISSN 0033-2488
26
9 770033 248021
Indeks 371424 • Y9013-C

DOM & WNETRZE

NR 7(82)/2002 LIPIEC CENA 8,90 zł (w tym 7% VAT)

TEMAT NUMERU

ŁAZIENKI

- różnej wielkości
- pomysłowo urządzone przez architekta
- z modnymi detalami

WIEJSKI DOM
urok tradycji i prostota nowoczesności



OGRÓD
DEKOROWANY ŚWIATŁEM
lampiony, świece, latarnie

29 METRÓW WYGODNEGO
MIESZKANIA

tej płyty nie kupisz w sklepie

KONKURS!
WYBIERZ
NAJLEPSZY
PROJEKT
ROKU

wygraj
wspaniałe
nagrody

DOM & WNETRZE

podróże
do najpiękniejszych
miejsc świata

wakacje • lato • relaks • odpoczynek

SUPERPREZENT!

WAKACYJNA PŁYTA CD

ODKRYJ ETNICZNE BRZMIENIE
MUZYCZNYCH PODRÓŻY

TEMAT NUMERU: ŁAZIENKI



MIESZKANIE: MAŁA DUŻA PRZESTRZEŃ



OGRÓD: ZAPALCIE LATARNIE



ARANŻACJE: ROZBUDŹ ZMYŚŁY

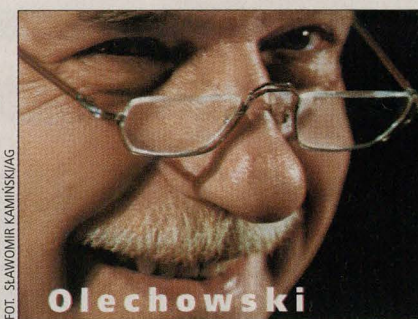
NUMER 26/2975 • 30.06.2002



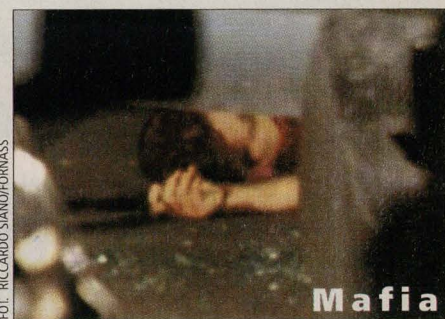
- 4 Ilustrowany „Przekrój” tygodnia
- 9 Z tygodnia na tydzień
- 10 Zamurowywanie Palestyny – fotoreportaż
- 15 Okienko z wierszem Kazimierza Brakonieckiego
- 16 Byłbym dobrymi prezydentami – z Andrzejem Olechowskim rozmawia Piotr Najsztub
- 22 Książęta nad Warszawą – Michał Szczygielski
- 26 Mamma mafia! – Wawrzyniec Smoczyński
- 32 Spadek – Jakub Mielnik
- 35 Krótka przerwa: Futbol na łąpu-capu – Dariusz Rosiak
- 36 Pustka, nuda, juma – z Jackiem Kurzępą rozmawia Małgorzata Fiejdasz
- 41 List ze Stambułu: Turczynki grzeszą na Cyprze – Anna Polat
- 42 O duży włos – Olga Woźniak
- 44 Teatr ryzykujący upadkiem – Katarzyna Inczewska
- 48 Krwawa Irlandia – z Pauliem Greengrassem rozmawia Tadeusz Jagodziński
- 50 Słychać masakerę – o filmie „Krwawa Niedziela” pisze Bartosz Żurawiecki
- 51 „Confetti Belfastu” wiersz Ciarána Carsona
- 52 „Salon Wytrzeźwień” – pismo niekontrolowane Tadeusza Nyczka
- 56 Książka z książki – Paweł Dunin-Wąsowicz
- 57 Mordillo i Polska Angola – Christiaan van Lierop
- 58 Książki: o „Mikrokosmosie” Piotra Wierzbickiego pisze Marcin Baran
- 60 Literatura – Martin Walser „Śmierć krytyka”
- 64 Felietony Stefani Grodzieńskiej i Jerzego Bralczyka, Obraz wyraża
- 65 Bieliźniarstwo – Hoff
- 66 Kulinarne Pióro Polski
- 67 Winny Bieńczyk
- 68 Kici Kici, Piątka klepka, Senniczek, Wyteż wzrok, Za 1000 złotych można..., felieton Małgorzaty Baranowskiej
- 70 Piotr Bałtrocki w rozmowie z Marią Czubaszek
- 71 Listy
- 72 Krzyżówka, jolka
- 74 Co Pan na to, Panie Lem?
- 76 Rozmaitości
- 25, 56, 58 Pan Stanisław z Łodzi Marka Raczkowskiego

PRZE
KRÓJ

OD 11 LIPCA
„PRZEKROJ”
ZAWSZE
W CZWARTKI



Olechowski



Mafia



SPÓJRZ NA JEJ
RECE.

ZNAM JĄ. W BANKU PRACUJE,
PIENIĄDZE DOTYKA.

WILHELM SASNAL

CZAS CYLINDRÓW — CZAPKI Z GŁÓW

Nie wiadomo, co bardziej przyciąga wzrok podczas corocznych wyścigów Royal Ascot w Wielkiej Brytanii: konie czy kapelusze. Zwłaszcza że te nakrycia noszą nie byle jakie głowy – między 18 a 22 czerwca już po raz 291. w Ascot zjawiała się rodzina królewska, arystokracja i brytyjska śmietanka towarzyska. Męski strój jest niezmienny od pokoleń: fraki i cylindry. Ten mundur obowiązuje nawet kamerzystów TV – dwaj, którzy przyszli w dżinsach, zostali usunięci na prośbę samej królowej Elżbiety II.

Utah

SAN JUAN
NATIONAL
FOREST

DENVER

Arizona

FORT
APACHE
INDIAN
RESERVATION

CIBICUE

Colorado

New Mexico

JAKI PIĘKNY POŻAR. ALE DROGO

Już trzeci tydzień trwają pożary w stanach Arizona i Kolorado w USA. Jeżeli w najbliższym czasie nie spadnie tam deszcz, pożar może strawić sto tysięcy hektarów lasów. Władze stanowe wydały polecenie ewakuacji 10 tysięcy mieszkańców miasteczka Show Low i niewykluczone, że drugie tyle będzie musiało ewakuować się z okolic Denver. Spłonęło ponad 150 domów. Strażacy przypuszczają, że przyczyną pożarów są podpalenia. W stanie Arizona podpalaczom grozi kara 65 lat więzienia i miliona dolarów grzywny. Na razie na walkę z żywiołem wydano 20 razy tyle.

FOT. PETER BLAWICK/SUPER EXPRESS



MYŚL TYGODNIA

Nawet w samo południe samotny szeryf, który ma naprzeciw sobie „Przegląd Sportowy” i „Gazetę Wyborczą”, nie ma szans na zwycięstwo.

trener Jerzy Engel



FOT. JERZY UNDERPAP

Ponad dwie godziny zdesperowani stoczniowcy szczecińscy blokowali w piątek plac Żołnierza w centrum miasta. Stoczniowcy domagali się wznowienia produkcji i wypłaty pensji. Wypłaty nastąpią dopiero wtedy, gdy do sądu trafi wniosek o upadłość firmy.



FOT. EPA/PAP/FORUM

Podczas szachowych mistrzostw Holandii dzieci do lat 10 rodzice nie mogli towarzyszyć swoim pociechom. Pięcioletnią Maszę Bitalzadeh (na zdjęciu) rodzice oglądali zza wielkiej szyby.



FOT. SEBASTIAN WOJNY/SUPER EXPRESS

Policjanci w Warszawie to nie piłkarze w Korei – brutalnie pokonali kurierów rowerowych podczas ich nieoficjalnego zlotu w Warszawie. 20 kurierów przewieziono na komisariaty. Pałki poszły w ruch, a za zakłócenia w ruchu (drogowym) wymierzono mandaty.



ŻART, MASAKRA, TESTOTERON

Na weselnym przyjęciu bawi się siedmiu panów. Wyłącznie siedmiu panów. Nic dobrego z tego nie może wyniknąć. Oprócz śmiechu, rzecz jasna. Pełna testosteronowego humoru, czyli skrajnie szowinistyczna męska sztuka przez blisko trzy godziny rozbawiała do rozpuku widzów premierowego przedstawienia „Testosteron” wyreżyserowanego przez Agnieszkę Glińską w warszawskim teatrze Nowym. Andrzej Saramonowicz napisał tekst chwilami brawurowo aktualny, bo seksualny, apolitycznie konkretny politycznie i choć przeznaczony na scenę – pełen obscenicznych żartów opisujących zderzenie cywilizacji damsko-męskich. Saramonowicz nie udaje, że powstał „Hamlet” albo „Wesele” czy inny „Beniowski” – daje się nam pośmiać z samych siebie, choć niekiedy uśmiech zamiera nam na ustach. Wyborna zabawa. Jak nie w Polsce, jak nie w górach czy w teatrze. Rzadka sztuka – tyle śmiechu. I dla panów, i dla pań. Dobrze jest nie zmuszać się do komplementów. Naprawdę się podołało i naprawdę spodoba się innym. Zdrowie! Masakra...

ROMAN KURKIEWICZ

Andrzej Saramonowicz „Testosteron”. Reżyseria Agnieszka Glińska, scenografia Jan Kozikowski, muzyka Olena Leonenko, śpiew Ola Popławska, saksofon Marcin Gańko. Występują: Teatr Montownia – Adam Krawczuk, Marcin Perchuć, Rafał Rutkowski, Maciej Wierzbicki – oraz Krzysztof Stelmaszczyk, Robert Więckiewicz i Tomasz Karolak. Produkcja: Towarzystwo Kultury Teatralnej. Prapremiera 22 czerwca 2002 roku.

W TYM TYGODNIU NIE PISZEMY...

...o wokół mundialowych przemysleniach szefa FIFA Seppa Blattera, który komentując kuriozalne wyczyny sędziów na mistrzostwach świata, zapowiedział, że rozważy w przyszłości dobór arbitrów nie wedle klucza narodowościowego, tylko profesjonalnego. Rasista chyba.

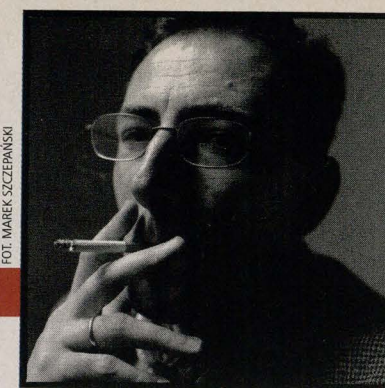
...skąd się wziął pseudonim „D-209”, jaki nosił podczas swojej pracy w kontrwywiadzie w latach 1977–82 obecny premier Węgier Peter Medgyessy. Po co nam ta wiedza, skoro i tak bycie agentem na Węgrzech niczym złym nie grozi.

...co zrozumiał z porażki polskiej reprezentacji jej dotychczasowy, a obecnie już były, trener Jerzy Engel. Jest to za trudne dla normalnego kibica.

...prędkości, z jaką pewna asteroida o tak zwany kosmiczny włos (czyli o około 120 tysięcy kilometrów) minęła naszą matkę – Ziemię. Możemy tylko powiedzieć, że gdyby to było w jakimś naszym mieście, to 7,6 tysięcy razy przekroczyłaby dozwoloną prędkość. Jest za to 10 punktów karnych.

...powstaniu Frontu Obrony Demokracji przed ... Bo nazwisko było za trudne.

...gdzie w tych dniach tygodnia ukrywa się i jak wygląda Osama bin Laden. Bo za chwilę będzie inaczej.



FOT. MAREK SZCZEPAŃSKI

Zboże, coś Polskę...

BARTŁOMIEJ SIENKIEWICZ

Słońce mocno przygrzewa, a potem deszcze zraszają ziemię. I znów piękne słońce. Ale mrok nadciąga. Pod przewodnictwem Księdza Prymasa odbyły się niedawno coroczne modły o dobre zbiory, o łaskę urodzaju. Nic dziwnego, że zboże rośnie wspaniale, ziemia-karmicielka obficie rodzi tego roku, co widać wyraźnie, jak tylko się wyjedzie za miasto. Lecz niech nas nie zmyli sielski widok wybujałego pszenżyta, nieszczęście jest tuż-tuż. Wystarczy otworzyć jakąkolwiek gazetę z opiniami ekonomistów, wystarczy posłuchać w telewizji polityków, aby do serca wkraść się lęk, a ręka mimowolnie powędrowała do portfela, jakbyśmy chcieli się upewnić, czy go jeszcze mamy.

Prawie codziennie jesteśmy alarmowani wieściami, że grozi nam klęska urodzaju, że nie ma w Polsce miejsca na taką ilość zboża, magazyny pełne, ceny żywności spadają, a rolnikom zagląda w oczy widmo bankructwa. Ktoś kiedyś podpisał złą umowę z wyrachowaną Brukselą i zalewa nas dodatkowo zboże importowane, jakby naszej klęski urodzaju było mało. Rząd stara się uspokoić narastającą panikę, obiecując (spóźnioną wprawdzie) interwencję na rynku. A to oznacza, że z budżetu państwa będą wypłacane rolnikom dodatkowe pieniądze za zboże – powyżej cen, jakie ustala rynek – aby im zrekompensować nieszczęście w postaci obfitych plonów. W przyszłorocznym budżecie trzeba będzie znaleźć pieniądze na załatwienie dziury powstałej w ten sposób w państwowej kasie. Najłatwiej robi się to podatkami. Nasz bezwiedny odruch sprawdzania, czy mamy jeszcze portfel, jest więc najzupełniej racjonalny.

Tego lata nie cieszą już widoki falujących łańców na szachownicy drobnych poletek, nadmiar staje się naszym koszmarem. Zrozumiałe, że w tej sytuacji powstają śmiałe projekty wybawienia Ojczyzny z nadciągającej katastrofy. Jedni walczą, wysypując importowane zboże, inni żądają zerwania umów z Brukselą i wprowadzenia zaporowych ceł. Powszechnie potępienie, z jakim spotkało się wysypywanie zboża, wyklucza, jak się zdaje, praktyki stosowane w ubiegłym wieku przez inne państwa w podobnej sytuacji: nie będziemy palić zbożem pod kotłami parowymi pociągów jak w USA w latach 30., i to nie tylko z powodu pełnej elektryfikacji PKP. A skoro nie niszczy-

my, nikt nie chce naszych zbiorów kupić, a magazyny są pełne, to zrodził się następny pomysł: wysłać głodującym dzieciom w Afryce. Telewizja publiczna zilustrowała tę ideę wstrząsającymi obrazami wynędzniałych dzieci, ale niestety nie przedstawiła pomysłu, jak zboże tam dostarczyć. I nic dziwnego, bo koszty takiego przedsięwzięcia, gdyby nie miało być ono czysto symboliczne, byłyby zapewne porównywalne z państwową interwencją na rynku.

Pewnie uporamy się jakoś w tym roku z klęską urodzaju, rządzący wiedzą, gdzie mamy portfele, w koalicji zasiada partia chłopska, a Rzeczpospolita zniesie niejedno. Ale strach pomyśleć, co się stanie, gdy w przyszłym roku znowu będzie świeciło słońce,

deszczyczek padał, a ziemia-karmicielka dostanie tego swojego obłędu rodzenia.

Widzę w tej sytuacji dwa wyjścia. Pierwsze: bez względu na wrzaski rodzimych grup interesów jak najszybciej dostać się do Unii Europejskiej, a następnie już od środka walczyć o prawo zalewania naszym zbożem innych, zewnętrznych rynków. Drugie: poprosić Księdza Prymasa, żeby zechciał poprowadzić w przyszłym roku modlitwę o prawdziwą klęskę nieurodzaju – może być susza, szarańcza lub coś podobnego. A dla tych, którym się taka alternatywa nie podoba, mam smutną wiadomość: trzeciego wyjścia chyba nie ma.

BARTŁOMIEJ SIENKIEWICZ



czeczot PRZE
KRÓJ

czeczot

Zamurowywanie Palestyny

Najnowszą propozycją pokojową na Bliskim Wschodzie jest płot: miejscami metalowy parkan pod prądem, miejscami betonowy mur wysoki na osiem metrów. To zdaniem izraelskich władz jedyna broń przeciwko palestyńskim kamikadze. Budowa ruszyła w niedzielę 16 czerwca.

Już następnego dnia izraelski patrol zauważył w jej okolicy podejrzanego Palestyńczyka. Chłopak zdetonował ładunek, gdy tylko izraelscy żołnierze zaczęli się do niego zbliżać. Zginął, uszkadzając jedynie wojskowego jeepa. Rząd Izraela natychmiast uznał, że ten incydent to dowód skuteczności muru.

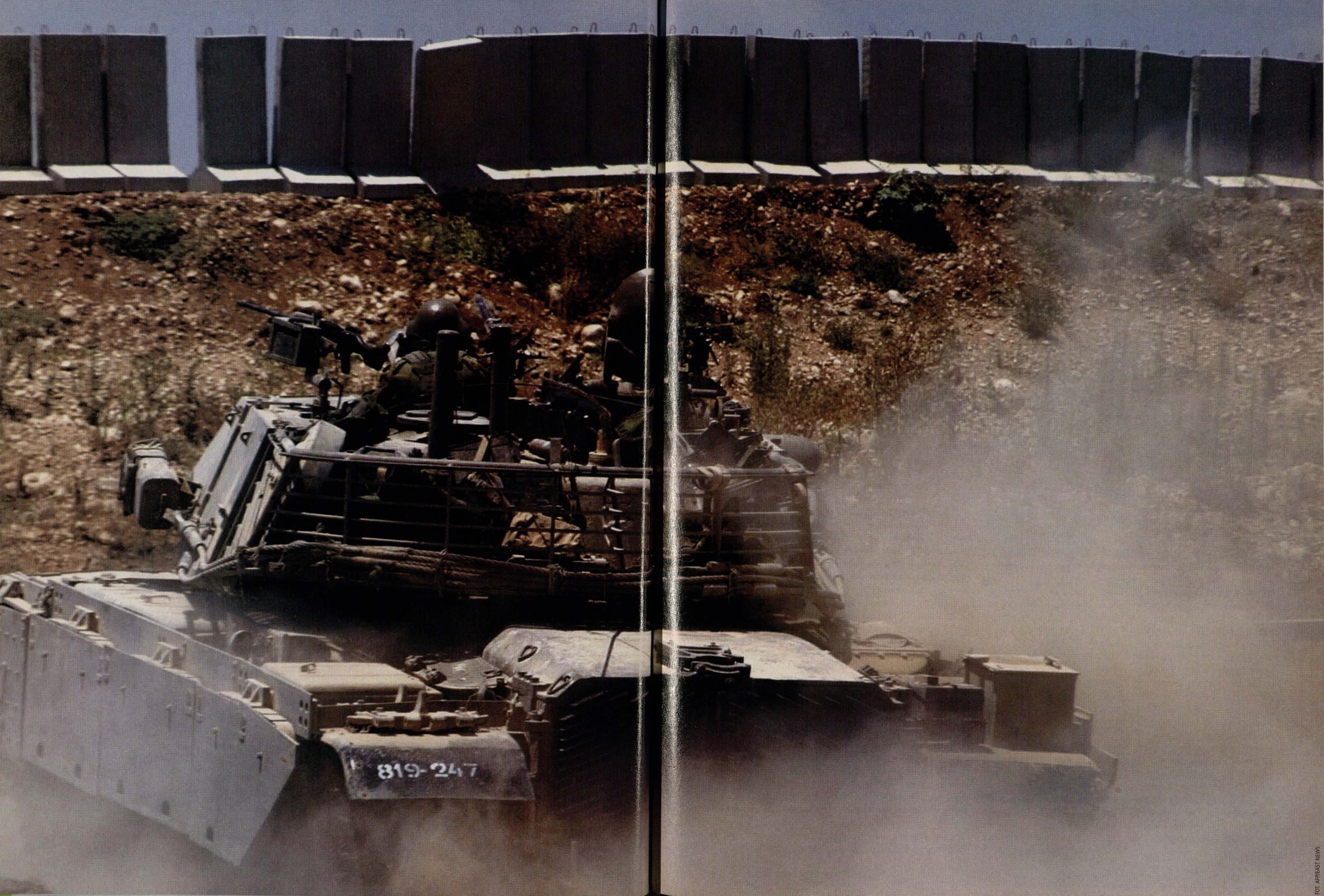
Na razie płot będzie miał 120 kilometrów długości. Będzie się ciągnął z północy na południe wzdłuż tak zwanej zielonej linii, czyli tymczasowej granicy między

Zachodnim Brzegiem a terytorium Izraela. Budowa tego odcinka zakończy się po sześciu miesiącach. W tym czasie powstanie również 11-kilometrowy odcinek w Jerozolimie. Co kilkadziesiąt metrów będą tu zainstalowane wieżyczki, detektory ruchu i kamery termowizyjne. Przez kolejny rok Izrael chce otoczyć zasiekami całe terytorium Autonomii. W sumie betonowo-metalowa granica ma mieć 350 kilometrów. Kosztować będzie w zależności od wykorzystanego materiału od 80 do 300 milionów dolarów.

Jaser Arafat budowę płotu nazwał wyrazem „syjonistycznego rasizmu i apartheidu”.

– To najtańszy i najmniej uciążliwy sposób ratowania moich rodaków. Skojarzenia z zamykaniem Palestyńczyków w getcie to bzdura – tłumaczy Szewach Weiss, ambasador Izraela w Polsce. (MW)





Na 10 miesięcy więzienia z zawieszeniem na trzy lata skazał Sąd Rejonowy w Poznaniu pięciu członków grupy Wolny Kaukaz. W lutym 2000 roku młodzi ludzie wdarli się na teren rosyjskiego konsulatu w Poznaniu i spalili rosyjską flagę. Wśród zatrzymanych był Piotr Lisiewicz. W środę rozpoczął się jego kolejny proces. Teraz Lisiewicz oskarżony jest o podawanie się za Włodzimierza Iljicza Lenina



FOT. REMEK SIKORAPAP

Jestem Lenin, więc palę rosyjską flagę

**Z PIOTREM LISIEWICZEM,
LIDERM ALTERNATYWY „NASZOŚĆ”
ROZMAWIA MICHAŁ WÓJCIK**

w aktach sprawy przeczytałem, że dowodzący akcją Janusz Wiśniewski przybył na miejsce zdarzenia z informacją o naszym zamiarze zniszczenia tego obiektu – biura pani Pusz. W istocie dysponowaliśmy drabiną, tyle że była to papierowa atrapa.

Może policja ma kłopoty z Pana poczuciem humoru? Poprzednio – tym razem na serio – spaliliście flagę rosyjską, a na ścianie konsulat

latu pojawiła się swastyka.
– W lutym 2000 roku w akcji pod konsulem brała udział grupa Wolny Kaukaz, a w listopadzie zeszłego roku Alternatywa „Naszość”.

Przecież to ci sami ludzie.

– Też, ale nie tylko. Ja bym tych dwóch rzeczy nie łączył. Tam chodziło o ludobójstwo w Czeczenii i nasz protest w tej sprawie, a tu o uczczenie rocznicy rewolucji.

Czy jedna akcja nie dezawuuje drugiej?

– Nie. Każdy z nas jest czasami poważny, czasami nie.

Jak w takim razie skomentuje Pan wyrok 10 miesięcy więzienia?

– To i tak mało. Prokurator chciał dla nas po roku więzienia. Ale proszę pamiętać, że pod kon-

sulatem w Poznaniu organizowaliśmy wcześniej osiem manifestacji w sprawie poszanowania praw człowieka w Czeczenii. Wobec tego, że to nie przynosiło efektu, że światowa opinia publiczna nie wywarła nacisku na polityków, aby ci wreszcie coś zaczęli robić w tej sprawie – zdecydowaliśmy się na taki krok. To był nasz krzyk rozpaczy. Zarzut dotyczył naruszenia miru domowego, a nie spalania flagi. Zresztą właśnie te flagi miały rosyjskie czołgi, które wjeżdżały do stolicy Czeczenii.

W ramach retorsji następnego dnia tłum mieszkańców Moskwy spalił polską flagę przed polską ambasadą. I jak się Pan poczuł?

– W Polsce nikt nie zamordował stu tysięcy Czeczenów, nikt nie tłumi czołgami prawa do samostanowienia. My protestowaliśmy przeciw zbrodni, oni za zbrodnią.

Ale w świat poszedł jeden komunikat. My palimy ich flagi, oni nasze.

– Ale nasza spłonęła niezastuszenie. Nasza flaga nie jest symbolem ludobójstwa.

I to mówi inkarnacja Lenina?

– Nie mieszajmy tych rzeczy. Nasze środowisko wybiera różne formy protestu.

MICHAŁ WÓJCIK: Czy sąd poważnie potraktował tę maskaradę z Leninem?

PIOTR LISIEWICZ: W każdym razie zachował się bardzo uczciwie. Protokołował każde moje słowo. Zresztą musiał tak zrobić, bo oskarżycielem w tej sprawie jest policja. To właśnie policjanci zatrzymali mnie 7 listopada zeszłego roku pod biurem poselskim Sylwii Pusz z SLD. W rocznicę rewolucji październikowej „Naszość” zorganizowała tam happening. Legitymującemu mnie policjantowi przedstawiłem się jako Włodzimierz Lenin. Jestem oskarżony o wprowadzenie w błąd funkcjonariusza, ponieważ podałem mu nieprawdziwe dane.

Przed sądem jednak przyznał się Pan do inkarnacji w osobę wodza rewolucji.

– Artykuł 83. konstytucji mówi o prawie do wolności sumienia i religii. Ja akurat jestem wyznawcą reinkarnacji i w związku z tym twierdzę, że jestem trzecim wcieleniem Włodzimierza Iljicza. Powołałem się na fragmenty moich licznych dzieł. Pisałem, że rewolucja to nie przechadzka po Nowskim Prospekcie i w związku z tym liczyłem się z aresztowaniem.

Żartujemy sobie, prawda?

– Do sądu przyszedłem w leninówce. Reszta z podsądnych została oskarżona o podawanie się za członków Biura Politycznego. Też mieli odpowiednie elementy stroju rewolucyjnego. Zresztą

KAZIMIERZ BRAKONIECKI

Kohanna

Kiedy budzisz się całujesz mnie w palce
włosy ramię tak naturalnie
że cały wierzę że jestem nadprzyrodzony

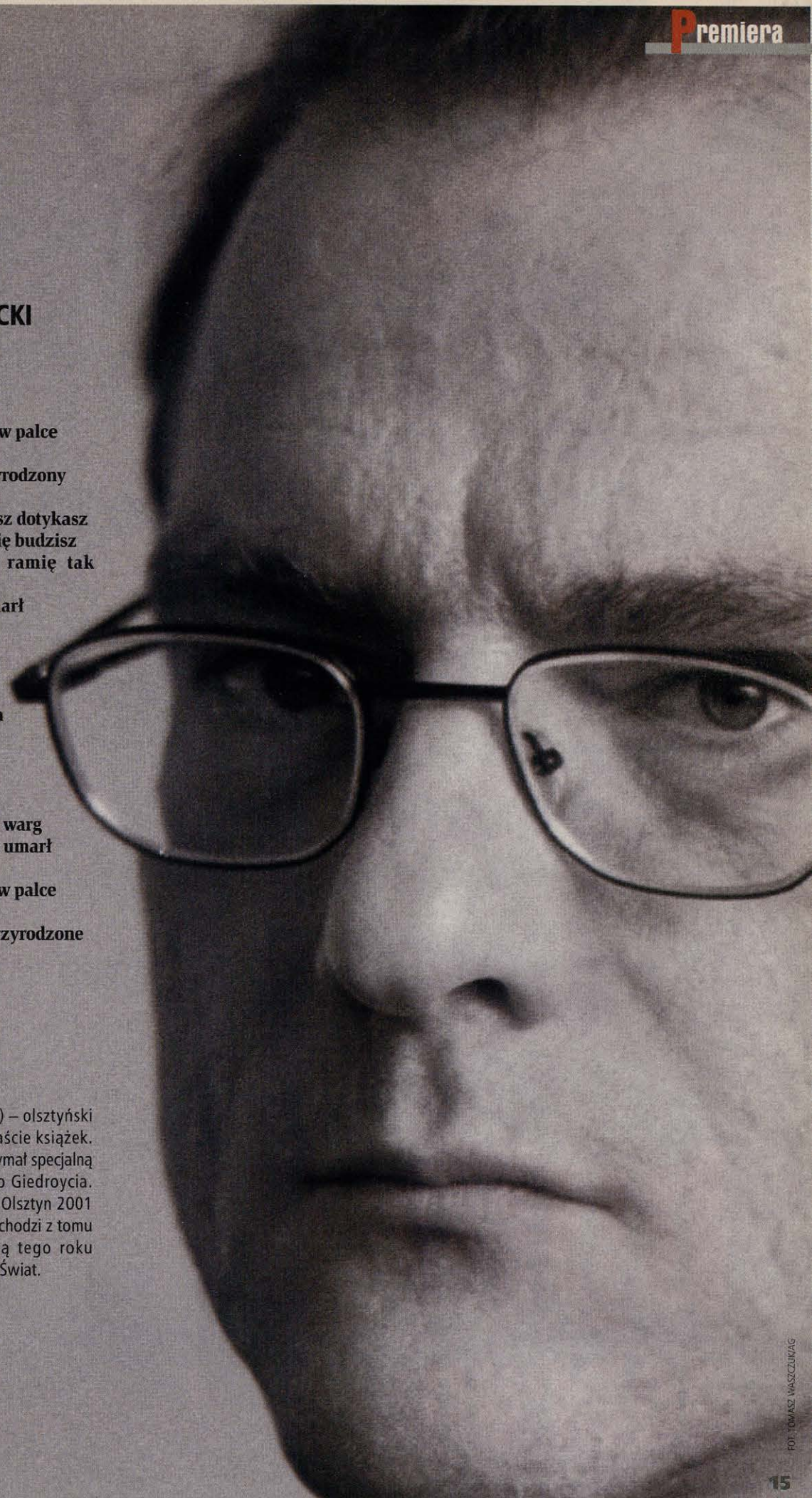
Cieszę się że mnie widzisz czujesz dotykasz
bo chyba wiesz co robisz kiedy się budzisz
całując mnie w palce włosy ramię tak naturalnie
inaczej bym chyba ze wstydu umarł

Cóż z tego że masz 50 lat
coż z tego że mam 50 lat
skoro jesteś miłością świata
Jak pięknie dzisiejszego poranka
zaśpiewała w nas córka
której nie narodziliśmy

Śmierć z ciała je nam czas
i nigdy nie będzie miała naszych warg
inaczej bym chyba z przerażenia umarł

Kiedy budzisz się całujesz mnie w palce
włosy ramię tak naturalnie
że cały wierzę że ciało jest nadprzyrodzone
a ciałość wieczna

Kazimierz Brakoniecki (ur. 1952) – olsztyński poeta i eseista. Opublikował kilkanaście książek. Za redagowanie pisma „Borussia” otrzymał specjalną nagrodę paryskiej „Kultury” Jerzego Giedroycia. Ostatnio opublikował „Światologię”, Olsztyn 2001 (proza i poezja). Wiersz „Kohanna” pochodzi z tomu „Ciałość”, który ukaże się jesienią tego roku w warszawskim wydawnictwie Nowy Świat.



FOT. TOMASZ WASZCZUKA



byłbym dobrymi prezydentami

Chciałby
przez chwilę być
prezydentem Warszawy,
żeby potem zostać
głową państwa.

„Jeśli
przegram Warszawę,
odejdę na zawsze
z polityki”
– deklaruje

ANDRZEJ OLECHOWSKI
w rozmowie
z PIOTREM NAJSZTUBEM

PIOTR NAJSZTUB: Czy Panu się bardzo nudzi?

ANDRZEJ OLECHOWSKI: Nigdy nie miałem poczucia nudy.

Jest taka teza, że nuda to jedna z największych namiętności człowieka, pcha do przełomów, popycha do działania. Mam takie wrażenie, że Pańskie kandydowanie na prezydenta Warszawy może być wyrazem tej namiętności.

– A może już jestem rasowym politykiem, który nie może przejść obojętnie obok wyborów? Tak poważnie, to kiedy mi zasugerowano kandydowanie, to byłem dość zaskoczony. Zdecydowały dwa argumenty: to są pierwsze wybory bezpośrednie władzy samorządowej w III Rzeczpospolitej, a upada ranga samorządów; a po drugie, to szansa dla programu Platformy Obywatelskiej, żeby go podnieść do góry i pokazać w realizacji.

Czemu w pierwszej chwili był Pan zaskoczony propozycją? Za niską rangą urzędu?

– Nie, miałem inne plany. Przez dwa lata po wyborach parlamentarnych nie chciałem się zajmować aktywną polityką.

Tylko czym?

– Miał to być dla mnie okres – jak mówią bracia Kaczyńscy – formacyjny. Czyli oddanie się studiom, napisanie czegoś, opublikowanie. Zabieranie głosu w debacie publicznej.

Jeszcze nie jest Pan dość uformowany? A doktorat, siwizna, stanowiska?

– Niby tak, ale miałem takie doświadczenie przed wyborami prezydenckimi: zamknąłem się na pół roku i usiłowałem wymyślić wszystkie możliwe pytania i znaleźć odpowiedzi. Zrobiłem

to w formie eseju. Myślę lepiej na papierze. To mi pomogło i świadczy o błogosławieństwie takiej izolacji.

Teraz nie ma Pan na to czasu. Czy to oznacza, że będziemy mieli kandydata doktora Olechowskiego nie do końca uformowanego, a przez to niepełnowartościowego?

– Czas przynosi wyzwania chyba prymitywniejsze, niż można było oczekiwać, i na te wyzwania doktor Olechowski jest dobrze przygotowany.

je projekty. I tym albo uzyskać podstawę do bycia prezydentem państwa, albo w pokorze i cichości odejść, kiedy by się okazało, że sobie nie radzę.

Czegoś nie rozumiem... Za cztery lata nie ma wyborów prezydenckich.

– Są za trzy. Więc ten potencjalny terminarz rozsiadania się jest nawet krótszy. Albo jestem w stanie zrobić rzeczy istotne i wtedy mam szansę zostać za trzy lata prezydentem Polski, albo się zorientuję, że to nie jest – delikatnie mówiąc

Murowane już jest.

– ...dużo lepsze i takie, jakie będzie przynosiło zadowolenie.

Dlaczego Pan sądzi, że jest politykiem?

– Lubię wypowiadać się na tematy publiczne i są ludzie, którzy tego słuchają, a następnie dyskutują i zgadzają się bądź nie.

Publicysta też pełni taką rolę.

– Polityk jest po części publicystą, formułując pomysły polityczne.

Chcę pójść do ratusza,
żeby pokazać
mój styl rządzenia,
zrealizować
swoje projekty.
I tym albo uzyskać
podstawę do bycia
prezydentem państwa,
albo w pokorze
i cichości odejść

Jesteśmy przyzwyczajeni do takiego wizerunku poety, przepraszam, polityka...

– Poetą nie jestem, niestety.

Też żałuję. Wizerunku polityka napędzającego się grą partyjną, grą o władzę – oczywiście, wszystko to w interesie społecznym, to jest jego energia. Pan wydaje mi się politykiem farbowanym.

– Prawdziwego polityka od prawdziwego publicysty różni to, że polityk w pewnej chwili powiada: no, dobrze, wiem jak, więc muszę się postarać o możliwość podejmowania decyzji, czuję się do tego przygotowany. I polityk wtedy startuje w wyborach.

Czy pamięta Pan jakiś moment podejmowania decyzji i związany z tym skok testosteronu?

– Nie noszę przy sobie testera, ale pamiętam niewątpliwie, czy to zadowolenie, czy ból głowy, kiedy podejmowałem decyzje, będąc ministrem. Dlatego między innymi nie starałem się nigdy o urząd pośła, bo tam testosteron nigdy nie skacze.

Skacze na pewno gadułom. Co jest przyjemnego w podejmowaniu decyzji?

– Jeśli życie pana do tego przygotowało, jeśli pan uważa, że wie lepiej albo że umie pan odróżnić ziarno od plew, i cholera pana ciska, że inni podejmują złe decyzje, to wtedy możliwość decydowania człowieka napędza.

I pojawia się boski nektar ostatecznej odpowiedzialności?



Posiedzenie sejmiku 4 czerwca 1992 roku. Od lewej: Andrzej Olechowski – minister finansów, Jan Olszewski – premier, Zbigniew Eysmont – minister ds. rozwoju małej przedsiębiorczości

Na powtórkę republiki kolesiów, na karygodne podejście do służby cywilnej, na głupią i szkodliwą politykę rządu przeciwko bankowi centralnemu.

Czyli rzeczywistość nie wymusza na doktorze Olechowskim, żeby był jeszcze mądrzejszy?

– Nie, bo życie okazało się nad wyraz prostolinijne w swojej głupocie.

Pan mówi o swoim kandydowaniu tak: aspekt historyczny (pierwsze takie wybory), ranga samorządu, podnieść program Platformy itd. A gdzie tu jest Warszawa?

– Odpowiem tak: nie mam wątpliwości, że idę do Warszawy na nie dłużej niż jedną kadencję, nie ma więc wątpliwości – nie idę rozsiąść się w Warszawie.

Cztery lata to sporo czasu, żeby się rozsiąść.

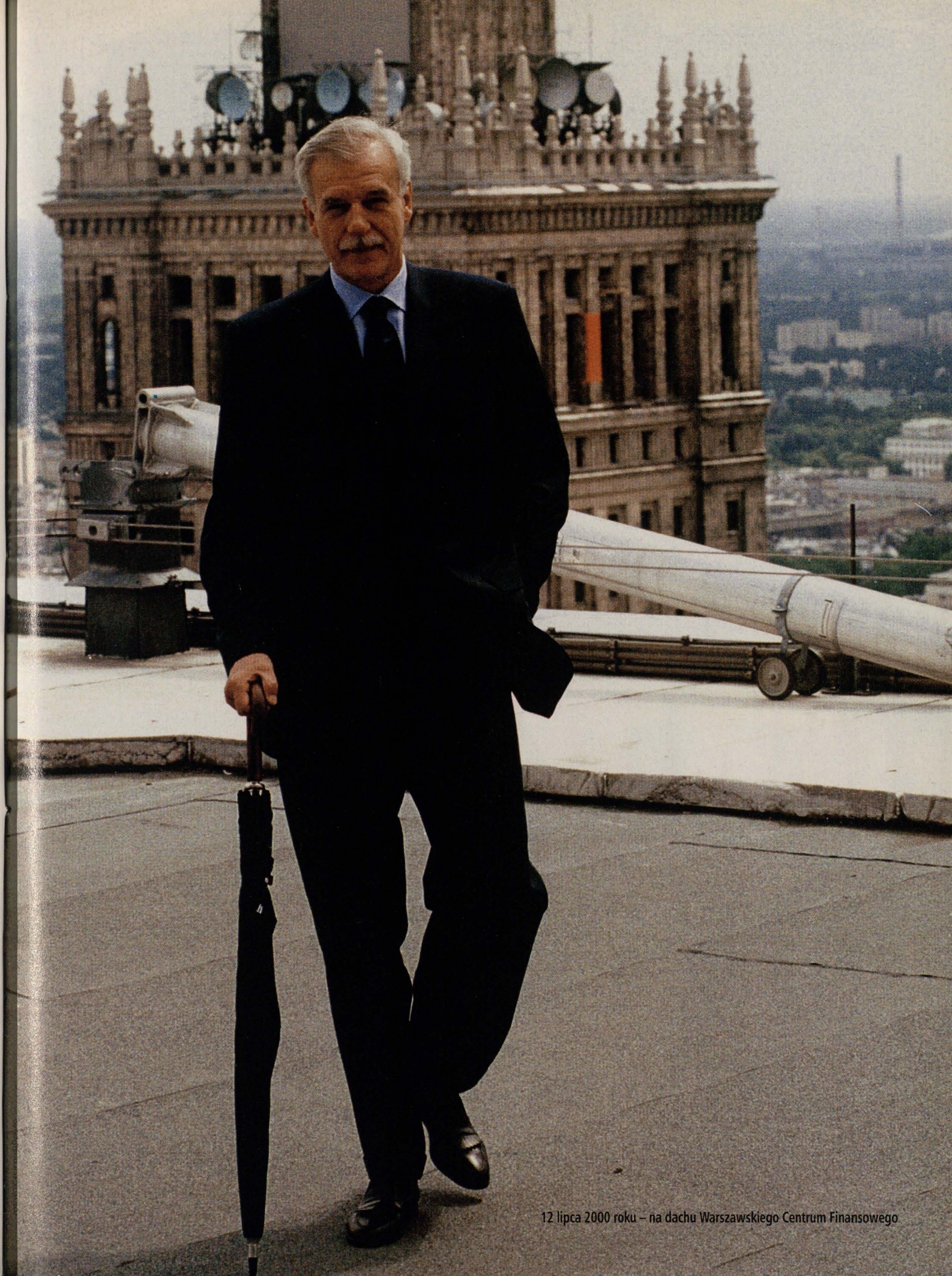
– Ale za mało, żeby zbudować wpływy, które później będą procentować władzą ojca chrzestnego Warszawy. Nie zbuduję dynastii, jak na przykład burmistrz Chicago. Chcę pójść do ratusza, żeby pokazać mój styl rządzenia, zrealizować swo-

– ścieżka do prezydentury i zapomnę o niej. Jednak teraz jestem skoncentrowany tylko na prezydenturze Warszawy. Ja tu wkładam wszystkie jajka do jednego koszyka. Obiekt jest tego godny, to wielkie, prawie dwumilionowe, miasto, z sześciomiliardowym budżetem – prawie małe państwo. **Czyli jeżeli zostanie Pan prezydentem Warszawy i zyska powszechny szacunek dla swoich doktorskich dokonań, to wtedy smyrgnie Pan na rok przed upływem kadencji do Pałacu Namiestnikowskiego?**

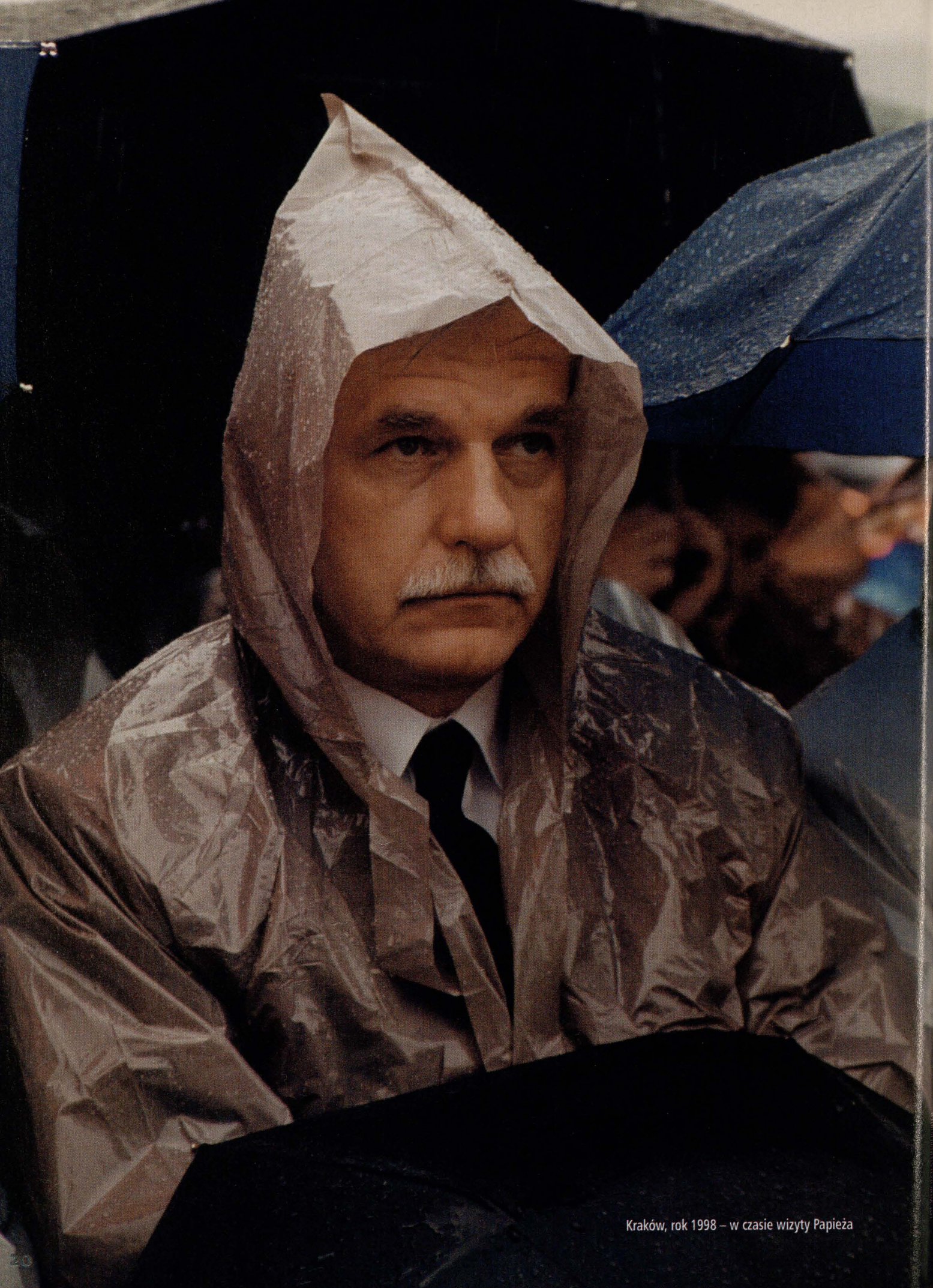
– Szydzi pan z doktorskich dokonań, a ja jestem też magistrem ekonomii w zakresie gospodarki komunalnej. Moje doktorskie dokonania dotyczą handlu międzynarodowego.

Powiem inaczej: mydli Pan warszawiakom oczy. Na ich plecach i tramwajach chce Pan wjechać na urząd prezydenta państwa.

– Nie, nie mydlę oczu, w żadnym wypadku. Panie i Panowie, warszawiacy! Jak mi się uda, to pożegnamy się po trzech latach, a nie po czterech. Ale zostawię miasto...



12 lipca 2000 roku – na dachu Warszawskiego Centrum Finansowego



Kraków, rok 1998 – w czasie wizyty Papieża

– Takiego poziomu pewności siebie nigdy nie miałem.

Nie kłamie Pan?

– Jak Boga kocham! Nie umiem powiedzieć, co by było, gdybym miał wydać rozkaz strzelania, czy byłoby mnie na to stać... Wiem, że umiałbym zamknąć fabrykę czy szkołę.

Wszyscy politycy publicznie odżegnują się od tej przyjemności, jaką daje sprawowanie władzy nad ludźmi. Może Pan nie będzie tak zakłamanym i powie, że to przyjemność dla mężczyzny?

– Będę – dla pana – maksymalnie zakłamanym. Chcę zajmować się polityką, a nie sprawami kadrowymi.

Wiem, że umiałbym zamknąć fabrykę czy szkołę. Nie umiem powiedzieć, co by było, gdybym miał wydać rozkaz strzelania, czy byłoby mnie na to stać...

Z racji wizerunku i fizycznego, i medialnego jest Pan takim ucieleśnieniem niespełnionego kochanka polskiego wyborcy. Znowu powraca Pan w tej roli: wysokiego przystojniaka, który bardzo zgrabnie operuje rękami, słowami, jest dobrze ubrany, kulturalny. Chciałoby się mieć takiego prezydenta czegoś tam... Jeśli znowu Pan nie wygra, wielu rozmiłowanych w Panu przeżyje kolejne bolesne rozczarowanie. Czy długo będzie ich Pan tak katował?

– Nie. To już ostatni raz. Powiedziałem: wszystkie jajka do jednego koszyka.

Więc jeśli Pan przegra, to co?

– Jeśli nie będę w stanie pozyskać dla siebie warszawiaków, to koniec z czynną polityką. Nie stanę już do żadnych wyborów.

Jest Pan w polityce efemerydą. Pojawia się i znika. Co jakiś czas obraża się Pan na rzeczywistość?

– Szukam – może nawet do przesady – słów i gestów, które by mnie odcinały od facetów spoconych biegiem za stanowiskiem i władzą. Moje znikanie czasem z tego wynika. Mam też swoją ocenę tego, co mogę zrobić dobrze, a czego nie. Już nie chcę po prostu „brać” stanowisk, bo się nadarza okazja. Jestem już siwy i dlatego za każdym razem zastanawiam się, czy ja wykonam tę rzecz dobrze, i ona musi też mi sprawiać przyjemność. Nie będę się przecież skazywał na udrękę. Dla mnie cztery lata w parlamencie byłyby udręką, zaczynając od tego, że ławki tam są cholernie wąskie i niewygodne.

Gdybym Pana nie znał, pomyślałbym, że jest naiwny. Nie można nocy spędzić w łóżku z ukochaną i rano uparcie twierdzić, że się jest prawnikiem. Poza rozumem obraża to ukochaną.

– Jestem lojalnym uczestnikiem wspólnych projektów politycznych. Proszę mi znaleźć przykłady mojej nielojalności, niedotrzymania słowa.

Słowa Pan dotrzymuje, bo od początku uprzedza słownie, że nie we wszystkim można na Pana liczyć.

– Muszę powiedzieć z dużym zadęciem: moja lojalność – i to mówię z ręką na sercu – jest do programu, a nie do ludzi.

Nie lubi Pan ludzi?

– Bardzo lubię ludzi, tylko oni niekiedy się zamieniają w tych spoconych w pędzie za władzą, w paczkę, która coś tam ustawia, rozgrywa. Wtedy znikam.

A zna Pan jakąś inną politykę? A przy okazji rozbudza Pan nadzieje, których potem nie spełnia.

– Jeśli chodzi o rozbudzanie poważnych nadziei wyborców, to muszę twardo powiedzieć: moje zobowiązania wobec wyborców nie ulegają przedawnieniu. To mnie paskudnie trafiło po wyborach prezydenckich. Nagle zdałem sobie sprawę, że trzy miliony ludzi w dobrej wierze z Olechowskim połączyło jakieś nadzieje. Pamiętam dziennikarkę, która po wyborach powiedziała mi: „To teraz niech mi pan powie, po co pan im głowę zawracał?”. Taka była geneza Platformy Obywatelskiej, czyli próby spełnienia oczekiwania ludzi na taki program jak mój, na takie mniej więcej sylwety jak moja.

Pan zrobił coś takiego: zebrał paru Olechowsko-podobnych polityków, przyczesał ich i powiedział do tych trzech milionów: „Teraz kochajcie ich, a ja będę pod telefonem”.

– Ja ich nie przyczesałem. Oni sami z siebie są uczesani i mają swoje wyraziste osobowości.

Pan kazał wyborcom teraz ich kochać.

– Każde przedsięwzięcie polityczne wymaga pewnego podziału ról. Od samego początku mówiliśmy, że przewodniczącym partii będzie marszałek Piłsudski itd., itd.

I sympatia, miłość wyborców pozostała mniej więcej na tym samym poziomie estetycznym, więc kiedy Pan wróci, kandydując na prezydenta Warszawy czy prezydenta Polski, to nadal ma Pan ich sympatię. Moim zdaniem tak Pan kombinuje.

– Wszystko można przedstawić na różne sposoby, z jednym poważnym ryzykiem: mogę wrócić, a tam już ktoś zajął wyobraźnię, uczucie, emocje moich wyborców.

Pan jest jednak najwyższy i najprzystojniejszy. Porozmawiajmy chwilę o Pańskim egoizmie.

– Jakoś ten egoizm bilansuje się z poczuciem zobowiązania wobec innych.

Jakiego zobowiązania?

– Żeby w konsekwencji ludzie nie podchodzili do mnie i nie mówili: zawiodłem się na tobie.

Dlaczego byłoby to takie straszne?

– Najważniejszą rzeczą, jaką zyskałem w swoim życiu, jest życzliwość ludzi. Ani razu nie miałem jeszcze awantury polegającej na tym, że ktoś mnie zaczepia i obraża, twierdzi, że napaskudziłem. To mnie też napędza. Właśnie nie zobowiązanie wobec grupy najbliższych politycznie współpracowników, ale reakcje obcych ludzi.

Co Pana obchodzą reakcje obcych ludzi?

– Żyję między obcymi ludźmi.

Jest Pan wystarczająco bogaty, żeby się od nich odgradzić.

– Mur zbudować.

Nie trzeba muru budować, wystarczy zatrudnić ochronę. Skąd się w Panu bierze takie poczucie, że musi się zatroszczyć o tych obcych ludzi?

– To rodzinna przypadłość. Kiedy opowiadałem babci o jakichś swoich planach, to zawsze pytała: „A co z tego wynika dla Polski?”; jestem z takiego domu.

A z czego Pan teraz żyje?

– Jestem w radzie nadzorczej dużego koncernu amerykańskiego niedziałającego w Polsce, jestem w radzie dyrektorów koncernu, który w Polsce prowadzi sieć bankomatów, i mam taki nieduży portfelik doradcy w firmach prywatnych, które nie robią interesów w sektorze publicznym.

Walczy Pan o fotel prezydenta Warszawy. Prezydent ma godziwą pensję?

– Dzisiaj każdy wydatek jest moim prywatnym wydatkiem, łącznie z gazetami. Więc każda pensja mi ulży.

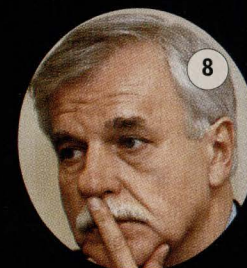
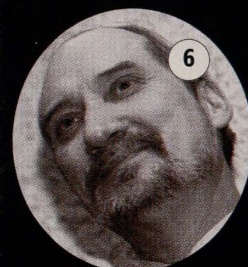
Ma Pan jakieś zawołanie, którym będzie chciał zawojsować wyborców?

– Mam taką pierwszą przymiarkę: warszawiacy płacą europejskie podatki, więc należą im się europejskie usługi. Trzeba też odpowiedzieć na dwa wyzwania: warszawiacy muszą odszukać, odzyskać tę energię, którą utracili, a drugim wyzwaniem jest to, że wchodzimy teraz – jako miasto – do pierwszej ligi europejskiej, przestajemy być tylko stolicą Polski. Będziemy jedną ze stolic jednoczącej się Europy, co jest bardzo przyjemne i nobilitujące, ale oznacza okropną konkurencję. Teraz Warszawa nie będzie konkurować z Poznaniem, tylko z Berlinem, z Wiedniem...

Czy Pańskim zdaniem „warszawiacy” istnieją? Czy pod tą nazwą ukrywają się po prostu ludzie mieszkający w geograficznych granicach Warszawy i okolicach?

– Musimy na nowo zdefiniować warszawiaka. Jeszcze nie wiem, jaka to powinna być definicja.

Rozmawiał
PIOTR NAJSZTUB



MICHAŁ SZCZYGIELSKI

Władza nowego prezydenta Warszawy będzie tak duża, że można go ustawić w jednym rzędzie z książętami mazowieckimi

Książęta nad Warszawą

Pod jego domem stać będzie samochód. Nie byle jaki, limuzyna Volvo S70, niespełna dwuletnia, silnik dwa i pół litra. Gdyby nie był pewien, czy to po niego, może zza firanek sprawdzić jego numer: WI 04242. Kierowca usłużnie otworzy drzwi, zawiezie go na plac Bankowy. Wejdzie głównym wejściem, w holu ciekawie, ale z bezpiecznej odległości, przyglądać mu się będą urzędnicy. Marmurowymi schodami wejdzie na pierwsze piętro i przez otwarte drzwi dziarsko wmaszeruje do pokoju 129. Wszędzie będą

RANKING PRETENDENTÓW

1. LECH KACZYŃSKI – mieszkaniec Sopotu ubiegający się o prezydenturę Warszawy. Ryzykowne, ale ma wielką szansę. Swojej szansy będzie zapewne upatrywać w stworzeniu szerokiego ruchu obywatelskiego, chce akcentować kwestie poprawy bezpieczeństwa, ukrócenia korupcji i biurokracji.

2. RYSZARD KALISZ – bliski współpracownik prezydenta Kwaśniewskiego, uchodzi za jego desant w SLD. Z tego powodu sympatycy Leszka Millera uczynią wszystko, aby nie kandydował w wyborach.

3. CZESŁAW BIELECKI – polityk, architekt. W czasie ostatnich wyborów niespodziewanie oświadczył, że Paweł Piskorski „kieruje mafią w Warszawie”. Sprawę w sądzie przegrał, więc może będzie ciąg dalszy.

4. MAREK BALICKI – psychiatra w fotelu prezydenta? Tego w polityce jeszcze nie było, choć może rzeczywiście bardzo by się przydało. Ma on szansę pogodzić skłócone frakcje warszawskiego SLD i stać się kandydatem kompromisowym.

5. JOLANTA KWAŚNIEWSKA – choć spekulacje o tym, że ma startować w wyborach, pojawiły się na początku roku, odmawia kandydowania. A miałyby wielkie szanse, żeby wygrać. Jak w dobrym romansie – odrzuciła zaszczyty i królestwo, aby trwać przy mężu.

6. ANTONI MACIEREWICZ – kandydat Ligi Polskich Rodzin. Problem w tym, że konkurencyjna frakcja Ligi twierdzi, iż to nieprawda, a Macierewicz jest uzurpatorem. Antoni Samozwaniec?

7. ANDRZEJ LEPPER – publicznie mówił, że interesuje go prezydentura Warszawy lub Łodzi. Warszawiacy mają jednak nadzieję, że chodzi o to drugie miasto.

8. ANDRZEJ OLECHOWSKI – kandydat Platformy zechce zaprezentować się jako dobry menedżer, który będzie zarządzać Warszawą jak przedsiębiorstwem. Dla warszawiaków cierpiących na niemoc miejskich urzędników może to być chwytliwa perspektywa.

9. JÓZEF OLEKSY – uchodzi za wroga numer jeden Leszka Millera. Miller chce go wypchnąć z Sejmu. Pewnie dlatego zaproponował go jako kandydata SLD w wyborach na prezydenta Warszawy.

10. KRZYSZTOF PIESIEWICZ – adwokat, scenarzysta, senator, polityk. Chyba za bardzo egzaltowany jak na prezydenta tak zaściankowego miasta jak Warszawa. Może więc Paryż albo Nowy Jork...

stać wypreżeni na bacność i nieco załękni ludzie. On przejdzie przez sekretariat, salonik dla gości, po czym wejdzie do swojego gabinetu. Usiądzie w skórzanym fotelu, oberwie jedno winogrono z leżącej na pięknym talerzu kiści i włączy telewizor marki Panasonic. Miła buzia z ekranu powie: „Nowym prezydentem Warszawy został...” i wymieni jego nazwisko.

Prezydent stolicy, prezydent Polski

O to, by przeżyć tę scenkę z sobą w roli głównej, zamierza się bić kilku znanych, poważanych i, wydawałoby się, spełnionych polityków: Andrzej Olechowski, Lech Kaczyński, Krzysztof Piesiewicz, może Ryszard Kalisz, może Józef Oleksy albo Marek Balicki. Jeszcze kilka postaci egzotycznych: Antoni Macierewicz bądź Zygmunt Wrzodak albo sam Andrzej Lepper. Konkurencja nie gorsza niż w wyborach prezydenckich. Bo bezpośrednie wybory prezydenta Warszawy w istocie będą „małymi” wyborami prezydenta Polski. Preludium do właściwej rywalizacji, która ma się odbyć dopiero za trzy lata.

Ten argument tkwi w tyle głowy każdego z wymienionych polityków. Dlatego gotowi są zrezygnować ze swojego dotychczasowego wygodnego, poselskiego czy biznesowego życia na rzecz prezydentury stolicy. A jeszcze nie tak dawno było to mimo wszystko marginalne stanowisko, dobry kąsek dla polityków z ambicjami albo przystanek w drodze na polityczną emeryturę. Aż chciałoby się zaśpiewać: „Gdzie są chłopcy z tamtych lat?”. Któż dzisiaj pamięta o Stanisławie Wyganowskim czy Marcinie Świąćkim? A przecież byli oni prezydentami stolicy nie w czasach Stefana Starzyńskiego, tylko kilka czy kilkanaście lat temu.

Dopiero Paweł Piskorski, polityk młody, rzutki i ambitny, usiłował pokazać, że stanowisko to może być trampoliną do przyszłych politycznych sukcesów. Piskorski wiele nie zwojował, w ostatnich wyborach parlamentarnych wcale nie uzyskał dobrego rezultatu (przegrał nie tylko z kandydatem SLD, lecz także z kandydatem PiS-u Jarosławem Kaczyńskim),

ale zostawił po sobie dobre wspomnienie. Chociaż złośliwi powiedzieliby, że wyłącznie dobry PR.

Z pewnością jednak Piskorski więcej zyskał, niż stracił, sprawując funkcję prezydenta stolicy, o czym może świadczyć choćby wymienianie go w puli przyszłych kandydatów centroprawicy na „dużego” prezydenta. Jakkolwiek fantastycznie by to brzmiało, zapracował na to, dobrze „sprzedając” się jako prezydent stolicy.

Względny sukces Piskorskiego, jakim było awansowanie przez niego do wyższej politycznej ligi, specjalnie jednak blichtru i złotej oprawy funkcji prezydenta stolicy nie dodał. Wszystko się zmieniło, odkąd Sejm przerobił tak zwaną ustawę warszawską i odkąd stało się jasne, że nowy prezydent będzie wybierany w wyborach bezpośrednich.

Król Warszawy

Już sama ustawa warszawska wywołała w mieście gigantyczną rewolucję. Po nowych wyborach samorządowych stolica stanie się wielką gminą, nastąpi koniec autonomii burmistrzów.



Paweł Piskorski
– były prezydent Warszawy
– i służbowe volvo

Prezydent Warszawy będzie miał pełnię władzy w mieście. Zdecyduje o być albo nie być stołecznych urzędników i przedsiębiorstw komunalnych. W jego rękę spocznie los około siedmiu tysięcy pracowników samorządu. Będzie decydował o tym, kogo zatrudnić czy zwolnić. Dla polityka to niepowtarzalna szansa na stworzenie własnego aparatu, wiernego i lojalnego na długie lata. Raz zatrudnionych urzędników niełatwo będzie zwolnić. A tort jest tak olbrzymi, że dla wszystkich starczy. I to po niemałym kawałku.

Na przykład gdyby nowym prezydentem Warszawy został Lech Kaczyński, mógłby zatrudnić wszystkich aktywistów PiS-u, na-

wet razem z rodzinami, bo partia ta liczy niespełna dwa tysiące członków. Nieco gorzej byłoby, gdyby prezydentem został Andrzej Olechowski – Platforma Obywatelska ma około 14 tysięcy członków, nie dla wszystkich starczyłoby więc miejsc pracy. Może jednak nie wszyscy będą chcieć?

Nowy prezydent zdecyduje nie tylko o losie tysięcy ludzi, będzie również władcą niezwykle bogatym. Mniejsza już o to, że będzie sprawować nadzór nad budżetem miasta liczącym – bagatela – półtora miliarda dolarów. Znaczną część tej kwoty pochłoną miejskie inwestycje, a to jest kolejny łakomy kąsek i pole do wszelkiego rodzaju umów, zleceń, przetargów.

Ale to nie wszystko. Nowa ustawa warszawska przekształca stołeczne firmy komunalne w spółki prawa handlowego od 1 stycznia 2003 r. Dzięki temu niedługo mogą się pojawić prywatne tramwaje, a wodociągi miejskie mogą wejść na giełdę. Majątek tych spółek jest w dodatku wcale niemały – same wodociągi uzyskały w zeszłym roku ze sprzedaży usług 453 miliony złotych, zatrudniają ponad dwa i pół tysiąca osób, mają liczne grunty, również w centrum Warszawy.

Nowy prezydent Warszawy będzie więc miejskim bogiem, takim lokalnym królem. Nic dziwnego, że podoba się to politykom, którzy nie sprawują żadnej realnej władzy wykonawczej. Kaczyński, Olechowski,

Oleksy, Piesiewicz – każdy z nich miałby okazję sobie porządzić, na wcale niemałą skalę. A używając języka zrozumiałego w świecie polityki: dałby jeść rzeszy wiernych pretorian.

Nie sposób się spalić

Nowy prezydent Warszawy może nie zarobi za wiele (obecne pobory to 11 tysięcy 224 złote brutto), ale realną władzę będzie miał imponującą. Praktycznie nie da się go również odwołać przez cały czas trwania kadencji. Wielki majątek, jakim będzie zarządzał, może działać na wyobraźnię.

Dodajmy do tego niebagatelną prestię – polityk wybrany w wolnych wyborach w największym mieście Polski przez największą liczbę wyborców staje się automatycznie jedną z 10 najważniejszych osób w państwie. Każdemu, kto myśli poważnie o prezydenturze Polski, daje to niezwykle handicap.

Na całym świecie nie brakuje przykładów awansów burmistrzów wielkich miast czy gubernatorów na czołowe pozycje w państwie. Łatwiej wybić się komuś, kto wyróżnia się z całej rzeszy parlamentarzystów, komuś, kto pokazał, że potrafi rządzić w skali mikro. Helmut Kohl, Bill Clinton, Jacques Chirac wybrali tę właśnie drogę i dobrze na tym wyszli. Olechowski czy Kaczyński również o tym marzą.

W polskich realiach rządzenie Warszawą jest czynnością względnie bezpieczną. Trzeba wyjątkowej nieudolności, aby się spalić. Kontrola mediów jest słaba, mało kto tropi lokalne afery korupcyjne. Można więc tylko na tej prezydenturze wygrać, co tłumaczy tak imponującą kolejną chętnych.

MICHAŁ SZCZYGIELSKI



rys. MAREK RACZKOWSKI

Mamma mafia!

26 maja w mafijnej strzelaninie pod Neapolem zginęły trzy kobiety, a pięć zostało rannych. 16-letnia Clarissa Cava i jej ciotka Maria Scibelli (na zdjęciu) poniosły śmierć na miejscu. Szwagierka Marii Michelina Cava zmarła w szpitalu. 19-letnia córka Micheliney Felicia i jej kuzynka Italia wciąż walczą o życie



Poczet matek chrzestnych włoskiej mafii: Rosetta Cutolo, Erminia Giuliano, Maria Licciardi, Giuseppina Sansone

Gdy nie starcza mężczyzn, włoską mafią zaczynają rządzić kobiety

WAWRZYNIEC SMOCZYŃSKI

W niedzielny wieczór pod koniec maja w miasteczku Lauro pod Neapolem kończyły się wybory do rady miejskiej. Na szosie do pobliskiego Quindici panował spory ruch. Zamiejscowi wyborcy wracali do domów, młodzi ludzie jechali na niedzielne dyskoteki.

Tuż przed 20.30 od strony Quindici nadjechało rozpędzone Audi 85. Zaraz za nim mknęły dwie opancerzone alfy romeo z zaciemnionymi szybami. Pościg dopadł ofiary na przedmieściach Lauro. Na ruchliwej Via Cassese jedna z alf wyprzedziła audi i zajechała mu drogę. Druga zablokowała je od tyłu. Z samochodów pościgowych wysiadło siedem osób. 67-letni mężczyzna strzelił jako pierwszy. Potem do egzekucji włączyła się reszta jego rodziny - trzy kobiety i trzech mężczyzn. Podziurawiwszy srebrne audi kilkudziesięcioma pociskami, wsiedli do swoich samochodów i odjechali.

Patrol policyjny wezwany na miejsce zdarzenia znalazł w porzuconym samochodzie same kobiety. Michelina (lat 51), Maria (lat 53) i 16-letnia Clarissa były martwe. 19-letnia Felicia i jej kuzynka Italia (lat 22) wciąż walczą o życie w jednym z neapolitańskich szpitali. Poza ostatnią wszystkie ofiary należały do mafijnej rodziny Cava.

Jeszcze kilkanaście lat temu zabicie kobiety było hańbą nawet dla „ludzi honoru”. Niepisany kodeks mafii wyraźnie zakazywał zabijania bezbronnych. Odnosiło się to zarówno do kobiet, jak i do dzieci. W latach 70. jeden z neapolitańskich *mafiosi* dla ochrony przed zabójcami poruszał się po mieście w towarzystwie żony i dzieci. Mordercy dzieci mogli liczyć na ospałość włoskiego sądownictwa, ale przed wyrokiem mafii nie było ucieczki. Sprawca zabójstwa małoletniej Rafaelli Esposito, którego schwytano w Neapolu w roku 1981, nie dożył nawet procesu. Sprawiedliwość wymierzyła mu w więzieniu członkowie Camorry.

Ale czasy honoru skończyły się nawet w mafii. Odkąd 13 lat temu sycylijska Cosa Nostra po raz pierwszy złamała zakaz, liczba

kobiet ginących w mafijnych porachunkach stale rośnie. Strzelanina pod Lauro to pierwszy przypadek, gdzie kobiety wzięły udział w egzekucji innych kobiet. To również ponury dowód na to, że mafia przestała być wyłącznie męską sprawą, a kobiety odgrywają w niej coraz większą rolę. W Quindici mafijna wojna wypchnęła je na pierwszą linię frontu.

„Zobacz i otwórz”

Trzytysięczne miasteczko na zboczu góry Alvano słynie ze średniowiecznej starówki i kilku renesansowych kościołów. Quindici leży w prowincji Irpinia 40 kilometrów na wschód od Neapolu. Większość mieszkańców żyje z winnic i gajów oliwnych usadowionych na okolicznych wzgórzach. Ostatnio o Quindici było głośno podczas powodzi, która cztery lata temu dotknęła Irpinie. Rzeki błota spływające z góry Alvano porwały 11 mieszkańców i zniszczyły sporą część miasteczka.

Ale dziś w Quindici łatwiej zginąć od zbłąkanej kuli, niż utonąć w powodzi. W kampanijskiej mieścinie rodziny Cava i Graziano od 30 lat toczą wojnę o mafijne wpływy. Są skłócone na śmierć, mimo iż obie należą do tego samego syndykatu zbrodni - neapolitańskiej Camorry zrzeszającej 111 przestępczych rodzin z całej Kampanii.

Rezydencje obu klanów przypominają warowne twierdze. Betonowe wille za trzymetrowymi murami, kraty, kamery, alarmy, kulo odporne drzwi i szyby. Wszystko z obawy przed kolejnym atakiem. Po latach niekończącej się wendety mężczyźni ze skłóconych rodzin woleli siedzieć w domu. Kobiety, jak dotąd nietykalne, jeździły po okolicy w opancerzonych samochodach, demonstrując obecność swoich klanów na terytorium miasteczka.

Pretekstem do strzelaniny na drodze do Lauro była sprzeczka u fryzjera. Kilka dni wcześniej podczas wizyty w miejscowym salonie piękności 16-letnia Clarissa Cava przypadkowo natknęła się na kobietę z przeciwnej rodziny. Na nieszczęście dziewczyny była to

Żona bossa Grazianów Chiara Manzi i jej córka Rosaria w domu w Quindici w chwili aresztowania. Obie oskarżono o przynależność do mafii i współudział w zabójstwie rywalek z klanu Cava

szwagierka wrogiego bossa. 40-letnia Alba Graziano miała wszelkie powody, by nienawidzić rodziny Cava. To oni kilka lat temu zamordowali jej męża. Między kobietami doszło do ostrej wymiany zdań, podczas której dziewczyna obrzuciła dwa razy starszą rywalkę wyzwiskami i groźbami, a potem wymierzyła jej policzek.

W niedzielę wieczór Graziano postanowili wziąć odwet. Gdy tylko na ulice miasteczka wyjechało audi pełne kobiet z klanu Cava, z tyłu natychmiast pojawiła się „firmowa” alfa Romeo Grazianów. Za kierownicą siedział 67-letni boss Luigi Salvatore. Obok niego znieważona szwagierka Alba i jej dwie córki – 20-letnia Stefania i 21-letnia Chiara. Gdy kobiety w audi zdały sobie sprawę, że stary Graziano zamierza wyrównać rachunki, wyjechały na szosę do Lauro i zaczęły uciekać. Po kilku kilometrach do pościgu dołączyła druga alfa z resztą rodziny Graziano. Do ostatniej chwili ustalali przez telefon szczegóły egzekucji.

Z rozmów przechwyconych przez policję wynika, że morderstwo było zaplanowane od początku do końca. O 20.28 z ust niezidentyfikowanego jeszcze mężczyzny padł w końcu zakodowany rozkaz: „Zobacz i otwórz”, czyli: „Sprawdź, czy są wszyscy, którzy mają zginąć, i zabij”. Po strzeleniu mordercy składali sobie gratulacje. – Zabiliśmy je wszystkie! – cieszył się do telefonu Antonio Graziano. Rozmowy wystarczyły, aby za udział w morderstwie skazać całą rodzinę. Nawet Antonia Mazzochiego, zięcia bossa, a z zawodu policjanta. On też strzelał do bezbronnych kobiet. W egzekucji nie przeszkodził nawet patrol carabinieri, który przez chwilę obserwował mafijny pościg.

„To się tutaj nie skończy”

Dziś Quindici czeka na odwet. Pogrzeby ofiar odbyły się za policyjnym kordonem. Wstęp mieli tylko najbliżsi. Ze względu na bezpieczeństwo zamiast mszy na cmentarzu odbyły się tylko krótkie ceremonie pogrzebowe. Mimo obecności 200 policjantów członkowie rodziny Cava zdołali ciężko pobić kamerzystę, który filmował uroczystość.

Boss Biagio Cava, któremu Graziano zabili ukochaną córkę, siostrę i szwagierkę, za dwa miesiące wyjdzie z więzienia w Nicei. Włoska policja nie może na to nic poradzić. Umowa ekstradycyjna z Francją nie obejmuje przestępstw, które Włosi są w stanie mu udowodnić.

Szef policji w Lauro komisarz Gerardo Puopolo wie, że nie zdoła powstrzymać kolejnej rzezi. – Z pewnością dojdzie do odwetu. I to niezależnie od tego, czy Cava wróci do Quindici, czy pozostanie za granicą – mówi zdesperowany policjant. Nawet gdyby schwytano go tuż po powrocie do Włoch, wpływowi *mafioso* bez trudu może zlecić wendetę zza więziennego muru. Dzieci rodziny Grazia-

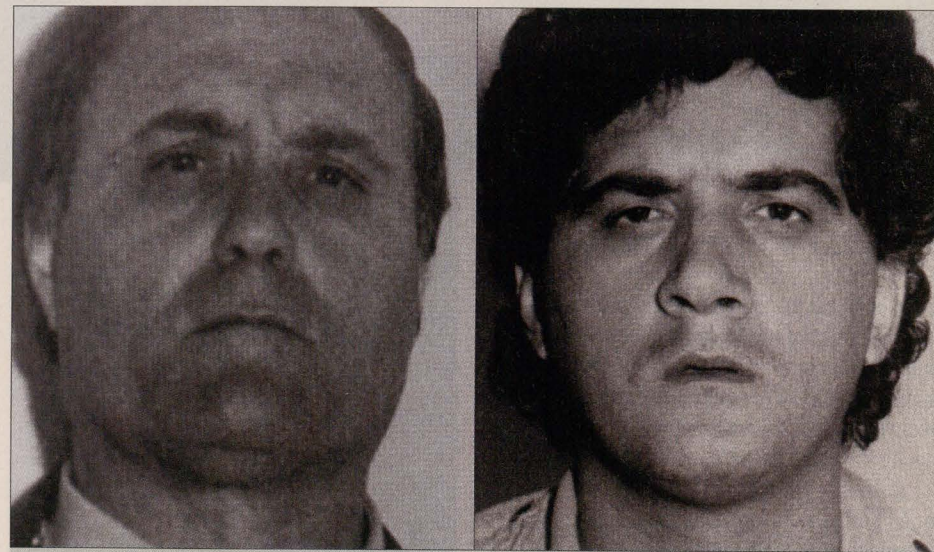
no objęto całodobową ochroną. – To się tutaj nie skończy – powiedziała mieszkanka Quindici, kładąc bukiet na miejscu zbrodni, która pokazała nowe oblicze mafii.

Ojcowie i matki

Awans kobiet w mafii rozpoczął się na dobre mniej więcej 10 lat temu. Po zamordowaniu przez Cosa Nostrę sędziego Falcone w maju 1992 roku państwo wypowiedziało mafii bezwzględna wojnę. W całych Włoszech aresztowano i skazano kilkuset mafijnych bossów. Wiele rodzin przestało działać, a te, które przetrwały, rozpętały między sobą krwawe wojny o wpływy. W latach 90. morderstwo stało się najpopularniejszą metodą rozwiązywania zatargów. Długoletnie wyroki i brutalizacja porachunków przerzuciły szeregi mafii. Wiele rodzin sta-

nęło wobec kłopotów kadrowych, a brak mężczyzny wymusił rewizję mafijnych tradycji i obyczajów.

– Do mafii mogą wstępować tylko mężczyźni. Kobiety mogą do niej należeć tylko o tyle, o ile należą do mężczyzn będących jej członkami – twierdzi profesor Renate Siebert, socjolog z Uniwersytetu w Kalabrii zajmująca się rolą kobiet we włoskich organizacjach przestępczych. Choć oficjalnie wstęp w szeregi mafii pozostaje przywilejem mężczyzn, kobietom, które urodziły się w mafijnych rodzinach lub poślubiły „ludzi honoru”, płęć nie utrudnia przestępczej kariery. Co więcej, kobiety są do niej doskonale przygotowane. Po latach spędzonych u boku ojców i mężów znają wszystkie sekrety zarządzania zbrodnią. Wiedzą, jak robić interesy, komu wręczyć łapówki, gdzie prac pieniądze i kogo wysłać do mokrej roboty. Kobiety mafii posiadają jeszcze jedną cenną



Bossowie wrogich klanów z Quindici: Luigi Salvatore Graziano (z lewej) i Biagio Cava (z prawej)

PIĘTNAŚCIE STOPNI WENDETY

Jeśli wierzyć legendzie, Quindici założyło 15 zbójców (*quindici* znaczy po włosku 15). Dziś miastem rządzą dwie mafijne rodziny, które od 30 lat toczą ze sobą krwawą wojnę. Od roku 1972, kiedy Biagio Cava postanowił odebrać Grazianom władzę nad Quindici, morderstwom nie ma końca. Tylko w latach 90. obie rodziny straciły w porachunkach 16 krewnych. Biagio Cava zbił fortunę na ściąganiu haraczy od firm zajmujących się odbudową miasta po trzęsieniu ziemi w roku 1980. Dzięki kontaktom z neapolitańską Camorrą do końca lat 80. wykluczył Grazianów z handlu narkotykami, haraczy i kontraktów na inwestycje państwowe. Ostatni burmistrz z rodziny Graziano uciekał z ratusza goniony przez zbójców Biagia Cavy. Po powodzi, która cztery lata temu zniszczyła Quindici, większość przetargów na odbudowę infrastruktury „wygrały” firmy Cawów. Dla Grazianów zostały same ochłapy.

Ale dla Biagia Cavy to wciąż było za mało. Gdy został już panem Quindici, zapragnął raz na zawsze rozprawić się ze swoim zniechęconym rywalem. 5 maja 2000 r. do rezydencji Luigiego Salvatore Graziana wpadł szwadron śmierci przebrany w mundury carabinieri. Choć morderstwo nie doszło do skutku (Graziano był poza domem), zuchwała próba na nowo rozkręciła spiralę przemocy. W styczniu 2001 roku Graziano zabili płatnego mordercę Cavów Alda Ferrentina. Pół roku później zginął kuzyn Biagia Cavy Francesco Santaniello. Boss Cavów z pewnością wzięłby odwet za oba morderstwa, gdyby w lutym tego roku nie wpadł w ręce policji. Zatrzymano go na lotnisku w Nicei, skąd usiłował odlecieć do USA z fałszywymi dokumentami. Wiadomość o ostatnim akcie wendety, w którym śmierć poniosły jego ukochana córka Clarissa, siostra Michelina i szwagierka Maria, zastała go w więzieniu w Nicei.



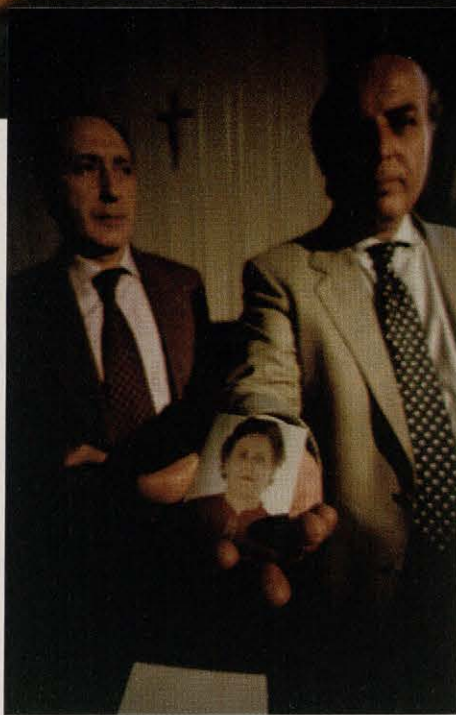
Powyżej: Rosetta Cutolo tuż po aresztowaniu w roku 1993; obok: policjanci, którzy ją schwytali

zaletę: są niezwykle lojalne wobec rodziny. Jak powiedział kiedyś jeden ze skruszonych *mafiosi*, „najcenniejsze, co może posiadać człowiek honoru, to żona, która wszystko wie, na wszystko się zgadza, a przede wszystkim zachowuje milczenie”.

Kobiety opanowały już finansową działalność mafii. Jako nominalne właścicielki rodzinnych przedsiębiorstw *de facto* zarządzają praniem pieniędzy z handlu narkotykami, haraczy i prostytucji. W latach 1996–2000 liczba kobiet skazanych za pranie pieniędzy skoczyła we Włoszech aż o 600 proc. Ale płęć piękna robi furorę nie tylko w księgowości. Zdarza się, że pojedyncze kobiety osiągnęły najwyższe szczeble mafijnej hierarchii. Obok *padrini* na czele włoskich rodzin przestępczych coraz częściej pojawiają się zaradne *madrine* – matki chrzestne.

Rosetta o mroźnych oczach

Camorra kroczy w awangardzie przestępczego „równouprawnienia”. Według danych neapolitańskiego Obserwatorium Camorry 60 proc. kobiet z miejscowych rodzin mafijnych bierze udział w działalności kryminalnej. – W przeciwieństwie do innych mafii struktura Camorry opiera się na więzach krwi. Dlatego gdy w rodzinie zabraknie mężczyzn, żony mają większe szanse zając miejsca mężów niż mężczyźni spoza rodziny. Poza tym neapolitanki mają silne charaktery i cieszą się u męż-



FOT. FORNASSIS/GAMAFREE (2)

czynn dużym poważaniem – mówi Maurizio Vallone, zastępca dowódcy brygady śledczej policji w Neapolu.

Pierwszą matką chrzestną Neapolu była Rosetta „Mroźne Oczy” Cutolo. Siostra legendarnego bossa Camorry Don Raffaelego zaczęła przestępczą karierę w wieku 35 lat. Gdy na początku lat 70. jej sławny brat wylądował w więzieniu, Rosetta została jego łącznikiem i prawą ręką. Dzięki niej Raffaele Cutolo przez lata rządził Neapolem zza krat. Na jego życzenie zleciła dziewięć morderstw. W roku 1978 Rosetta uwolniła brata, wysadzając ścianę w szpitalu psychiatrycznym, do którego go przeniesiono. Gdy w roku 1984 Cutolo ponownie trafił do aresztu, Rosetta sama objęła rządy. Na trop

pierwszej matki chrzestnej policja trafiła dopiero 10 lat później. Jej płęć kompletnie zmyliła organy ścigania. Aresztowano ją w lutym 1993, po 20 latach działalności. Prokuratura nie zdołała udowodnić Rosetce zlecenia żadnego z dziewięciu morderstw. Skazano ją za przynależność do organizacji o charakterze mafijnym. Po sześciu latach więzienia, gdzie w ramach resocjalizacji grała nawet w teatrze, Rosetta Cutolo wyszła na wolność. Dziś ma 66 lat i przeszła na mafijną emeryturę.

10 lat temu kobiety mafii były praktycznie niewidzialne dla włoskiego wymiaru sprawiedliwości. Nawet jeśli stawiały przed sądem, prawie zawsze je uniewinniano. Sędziowie albo nie wierzyli, że są zdolne do popełnienia zarzucanych im czynów, albo uważali, że ze względu na patriarchalny charakter mafii oskarżone nie mogą brać za nie pełnej odpowiedzialności. Podczas gdy w roku 1990 za przynależność do mafii skazano zaledwie jedną kobietę, w 1995 w więzieniu było ich już 89, zaś trzy lata później 500. – Policja nigdy nie doceniała roli kobiet w Camorry – mówił kilka lat temu Amato Lamberti, ówczesny dyrektor Obserwatorium Camorry w Neapolu. Dziś jest inaczej. Matkę i dwie córki, które uczestniczyły w egzekucji pod Lauro, oskarżono już o współudział w morderstwie.

„Księżniczka” wypowiada wojnę

Jedną z kobiet, które postanowiły pójść w ślady Rosetty Cutolo, była Maria Licciardi. W latach 90. jej brat Gennaro „Małpa” Licciardi

zawiązał w Neapolu mafijny kartel 20 rodzin zwany sojuszem z Secondigliano. Pranie pieniędzy Gennaro powierzył swojej młodszej siostrze. Charyzmatyczna, a jednocześnie chłodna i stanowcza była urodzonym przywódcą. Po śmierci Gennaro rodziny kartelu solidarnie przeszły pod rządy Marii. „Księżniczka” – jak nazywano ją w neapolitańskim półświatku – bezbłędnie zarządzała handlem narkotykami, prostytucją i wymuszeniami.

Pod przywództwem Marii sojusz z Secondigliano wyrósł na najpotężniejszy kartel mafijny w mieście. Wkrótce potem Licciardi zaczęli działać również poza Neapolem – nawiązali nawet kontakty zagraniczne w Niemczech i Czechach. Sojusz uległ rozpadowi wiosną 1999 roku, kiedy jedna z rodzin pokłóciła się z szefową o dostawę heroiny. Towar ze Stambułu był zbyt mocny i Licciardi zakazała jego dystrybucji. Klan Lo Russo mimo to zaczął sprzedawać śmiercionośny proszek. W ciągu miesiąca w Neapolu zmarło 11 narkomanów, a na ulicach wybuchła mafijna wojna. Znana ze stanowczości Licciardi postanowiła spacyfikować pozostałe rodziny. W ciągu dwóch tygodni zleciła 13 zabójstw. Wojna, którą wydała konkurencji, zapewniła jej miejsce na liście 30 najgroźniejszych włoskich przestępców. Była wśród nich jedyną kobietą.

Choć trzęsła całym Neapolem, o jej istnieniu policja dowiedziała się jako ostatnia. W roku 1997 Marię zdemaskował jeden ze skruszonych *mafiosi*. Wkrótce potem dostał wiadomość, że jeśli nie chce pożegnać się z życiem, to powinien natychmiast powiedzieć policji, że dał się ponieść fantazji. Zdrajca miał mocne nerwy. Odpowiedział Licciardi, że wycofa zeznania, ale oprócz nietykalności jemu i jego rodzinie przyda się też trochę pieniędzy. W styczniu 1998 policjanci przypadkowo zatrzymali samochód matki chrzestnej. Nie wiedzieli jeszcze, dlaczego skruszony *mafioso* wycofał obciążające ją zeznania. Odpowiedź leżała na fotelu obok kierowcy. W skórzanej walizce było 300 milionów lirów – pierwsza część zapłaty za milczenie niewygodnego świadka.

Zaraz potem Licciardi jakby zapadła się pod ziemię. Śledczy nie wiedzieli nawet, jak wygląda. Na próżno szukali w jej mieszkaniu rodzinnych albumów. Znaleźli szafy pełne męskich ubrań, wieczorowe suknie, kilkanaście par butów i dwie litrowe butelki perfum. Były też zdalnie sterowane drzwi, podziemne skrytki i obrotowy prysznic prowadzący do ukrytych pomieszczeń. Ale po Marii Licciardi nie było śladu. Policja sądziła, że „Księżniczka” wybrała banicję w Europie Wschodniej. Trzy lata później okazało się, że cały czas ukrywała się w Neapolu. Po siedmiu nieudanych próbach aresztowania zatrzymano ją w końcu latem 2001 roku. Dziś Maria Licciardi czeka na proces.

Wbrew pozorom wzrost roli kobiet w mafii nie ma żadnego związku z feminizmem

czy równouprawnieniem. Mafia pozostała organizacją na wskroś patriarchalną, która dopuszcza kobiety tylko z braku mężczyzn. – We wszystkich organizacjach mafijnych pojawienie się kobiet na stanowiskach kierowniczych jest następstwem aresztowania mężczyzn – mówi socjolog Alessandra Dino, specjalistka od roli kobiet w mafii z Uniwersytetu w Palermo. Żadna z matek chrzestnych nie zdobyła swojej pozycji kosztem mężczyzny. Kobiety, którym udało się stanąć na czele rodzin, całkowicie weszły w role swoich poprzedników i rządziły dokładnie tak samo jak mężczyźni.

Swoją pierwszą matkę chrzestną wydała nawet patriarchalna Cosa Nostra. 30-letnia Maria Filippa Messina objęła schedę po swoim mężu. Policja przyłapała ją na planowaniu pięciu morderstw na członkach wrogiej rodziny. Messina jako pierwsza kobieta odbywa karę zgodnie z tak zwanym paragrafem 41 bis – zastrzonym regulaminem więziennym, który uniemożliwia skazanym *mafiosi* kontakty ze światem zewnętrznym. Sąd uznał, że jest zbyt niebezpieczna i mogłaby zlecić morderstwa nawet z więzienia.

Pełne prawa, pełne obowiązki

Potrafia być bezwzględne, okrutne i bezlitosne. Kryminolodzy twierdzą, że to właśnie kobiety przyczyniły się do brutalizacji mafii w latach 90. i zapoczątkowały morderstwa kobiet i dzieci. Matki chrzestne są bardziej zjadłe w porachunkach niż ich męscy poprzednicy, śmieiej sięgają po przemoc i rzadziej rezygnują z odwetu. „Kobiety okazują się bardziej przywiązane do mafijnych »wartości« niż mężczyźni” – pisze Clare Longrigg w książce poświęconej roli płci pięknej we włoskich rodzinach przestępczych.

Serafina Battaglia była żoną jednego z sycylijskich bossów. Gdy wroga rodzina zastrzeliła jej męża, wdowa zapagnęła odwetu i zmusiła syna, aby go pomścił. Kupiła broń, wynajęła mu ochronę. Gdy spoczął na cmentarzu obok ojca, a zaprzyjaźnione rodziny odmówiły wykonania wendety w imieniu osamotnionej kobiety, Battaglia postanowiła posłużyć się państwem: poszła do sędziego i wyspała 30 mafijnych bossów, w tym morderców swoich męża i syna.

W przypadku większości kobiet przywiązanie do mafijnej tradycji znajduje ujście w wychowaniu dzieci. W końcu to matki wychowują synów na przyszłych *mafiosi*, wpajają dzieciom kulturę przemocy, reguły *omerty* i ślepą lojalność wobec rodziny. Pod tym względem są opoką mafii. Według Longrigg to kobieta „jest moralnym punktem odniesienia, jedynym rodzicem cały czas obecnym przy dzieciach i w związku z tym odpowiedzialnym za wpajanie im wartości mafijnych. To właśnie kobiety zapewniają mafii przetrwanie”.



W chwilach złości Erminia Giuliano zwykła podobno mawiać, że dla odprężenia musi kogoś zastrzelić

Gdy kilka lat temu karabinierzy z Neapolu chcieli aresztować młodego dealera narkotyków, jego siostra wymierzyła do policjantów i bez zastanowienia trzykrotnie pociągnęła za spust. Do tragedii nie doszło tylko dlatego, że niedoszła morderczyni nie umiała odbezpieczyć broni. Jak dotąd podobne przypadki należały jednak do rzadkości. Zdarzało się, że kobiety zlecały morderstwa, ale same rzadko kiedy trzymały broń. Strzelanina pod Lauro to dowód na to, że może być inaczej.

„Królowa” abdykuje

Mniej dramatyczny koniec spotkał półtora roku temu błękitnooką Erminię Giuliano. W Neapolu nazywano ją „królową”. Nie bez powodu. Gdy po rocznym pościgu wpadła wreszcie w ręce policji, miała pod sobą jedną z najpotężniejszych rodzin Camorry. 45-letnia Giuliano – *nota bene* córka króla powojennej kontrabandy papierosowej Pio Vittoria – wspięła się na szczyt swojej rodziny po uwięzieniu ostatniego z jej pięciu braci. Z pokoju ukrytego za ścianą kuchni organizowała handel narkotykami, wymuszenia, przemyt, nielegalny hazard, a nawet prostytucję.

Policja odkryła jej kryjówkę półtora roku temu. Zanim „królowa” pozwoliła założyć sobie kajdanki, zażądała sprowadzenia fryzjera. Na drogę do komisariatu założyła buty na wysokich obcasach, a na ramię zarzuciła skórę lamparta. Wychodząc w towarzystwie karabinierów, powiedziała do córek: – Liczę na was. Ale jestem spokojna, bo pokazałam wam wszystkie prawdziwe wartości życia.

WAWRZYNIEC SMOCHYŃSKI



JAKUB MIELNIK

The Spadek

Naftowa fortuna Teksasu należy się Polakom. Rodzina Dębickich walczy o trzy miliardy dolarów

Ziemia nad rzeką Wichita pachnie ropą i pieniędzmi. Dużymi pieniędzmi. Szyby naftowe ciągną się tu na przestrzeni kilkunastu kilometrów kwadratowych. W tej części Teksasu ropę wydobywa się od prawie stu lat. Wartość ziemi i wypompowanej z niej w ciągu wieku ropy wyliczenia się na trzy miliardy dolarów. W księgach stanu Teksas napisano, że jej właścicielem 160 lat temu został Napoleon Dębicki, jednak nazwisko Dębicki nie widnieje w żadnym zestawieniu naftowych potentatów – ani w Teksasie, ani na Starym Kontynencie. Spadkiem i pieniędzmi, po którym nie zgłosił się dotąd żaden wiarygodny spadkobierca, od 160 lat zarządzają władze stanowe.

Kolejne pokolenia Dębickich z Kielc, Wielkopolski i Białostocczyzny dorastają w cieniu legendy o rodowej fortunie i umierają ze świadomością, że być może ich dzieciom dane będzie skorzystać z majątku, który jeszcze parę lat temu zrównoważyłby dług Polski wobec Stanów Zjednoczonych. Od lat Dębicy łączą się w klany, organizują jazdy i kombinują, jak odzyskać fortunę, za którą dziesiątki lat temu oddał życie ich przodek.

Pamiętajcie Goliad, pamiętajcie Alamo!

W Niedzielę Palmową roku 1836 Napoleon Dębicki obudził się przed świtem. Tego dnia miał zostać rozstrzelany. Wraz z nim przed meksykańskimi plutonami egzekucyjnymi stanęły setki ochotników z formacji Texas Rangers, którzy po dwóch miesiącach podjazdowej wojny, upadku miasteczka Goliad i fortu Alamo dostali się do niewoli. „Pamiętajcie Goliad, pamiętajcie Alamo!” – pod takim hasłem kilka lat po egzekucji Amerykanie likwidowali ostatnie ślady meksykańskiego panowania w Teksasie. Poległych i ocalałych bohaterów walk o amerykański Teksas rząd w Waszyngtonie nagroził ziemią, bo o nią było wówczas najłatwiej. Kilkanaście kilometrów zdobytej na Meksyku prerii dostał pośmiertnie Napoleon Dębicki.

Pod koniec XIX wieku w owianym legendą bohaterów walk Teksasie trysnęła ropa i bezużyteczne pustkowia należące do polskiego oficera stało się prawdziwym eldorado. Do Polski wieści o posiadłości Dębickiego dotarły dopiero w roku 1923, po odzyskaniu niepodległości. Zainteresowały się nimi setki Dębickich, zazwyczaj skromnie żyjących potomków podupadłego szlacheckiego rodu. Wtedy też zaczął rodzić się inny, choć również bardzo amerykański, mit. Mit bajecznej, naftowej fortuny, który do dziś karmi wyobraźnię rodziny.

Kwit od krawca

– Byłem nad Wichita i widziałem, jak pompują z ziemi „naszą” ropę – mówi Jerzy Kossakowski-Dębicki. Nie ma w sobie nic z teksańskiego milionera. Nominalny właściciel majątku wartego trzy miliardy dolarów mieszka w bloku w Kielcach i jak większość Dębickich nie bardzo potrafi sobie

przypomnieć, kiedy po raz pierwszy usłyszał o spadku. W rodzinie mówiło się o tym od zawsze. Dziadkowie przekazywali rodową tajemnicę wnukom w nadziei, że następne pokolenia przejmą spadek.

– Nam się nie udało, ale może wy, młodzi, będziecie kiedyś bogaci – krewny Jerzego Zygmunt Dębicki z Poznania usłyszał te słowa jeszcze przed II wojną światową, gdy jego ojciec składał się z krewnymi na adwokata, który miał za oceanem zbadać szansę na odzyskanie ziemi Napoleona. Spadkobiercy, których było wówczas około tysiąca, nie śmierzeli groszem, zatem kilka lat trwało, zanim uskładali potrzebną sumę. Zaopatrzonego w pełnomocnictwa rodziny prawnik wynajęty do odzyskania majątku przypadł jednak razem z pieniędzmi. Jak głoszą rodzinne plotki, podobno nieźle się kosztem Dębickich zabawił. – Widziano go potem w Paryżu, gdzie wszystko przeżuła – mówi Zygmunt Dębicki.

Po wojnie z tysiąca Dębickich zostało ledwo kilka setek i ci zainteresowani zabrali się do sprawy bardziej metodycznie. Przeczesał archiwa i księgi parafialne, szukając odpowiedzi na pytanie, kto jest, a kto nie jest spadkobiercą fortuny. Znaleźli niewiele. W czasie powstań i wojen spłonęły rodzinne archiwa, księgi parafialne są niekompletne. Według chętnie powielanej wśród Dębickich plotki to emisariusze eksploatujących teksaską ropę koncernów zadbali o to, by zatrzeć wszelkie ślady pokrewieństwa między setkami współczesnych Dębickich a powstańcem listopadowym z Kieleckiego. Przez lata najbardziej wiarygodnym dokumentem potwierdzającym, że obdarowany złożem nafty teksański bohater i syn szlachcica z Grzymałkowa to jedna i ta sama osoba był... kwit na garnitur wystawiony prawie 200 lat temu przez radomskiego krawca.

Państwo albo mafia

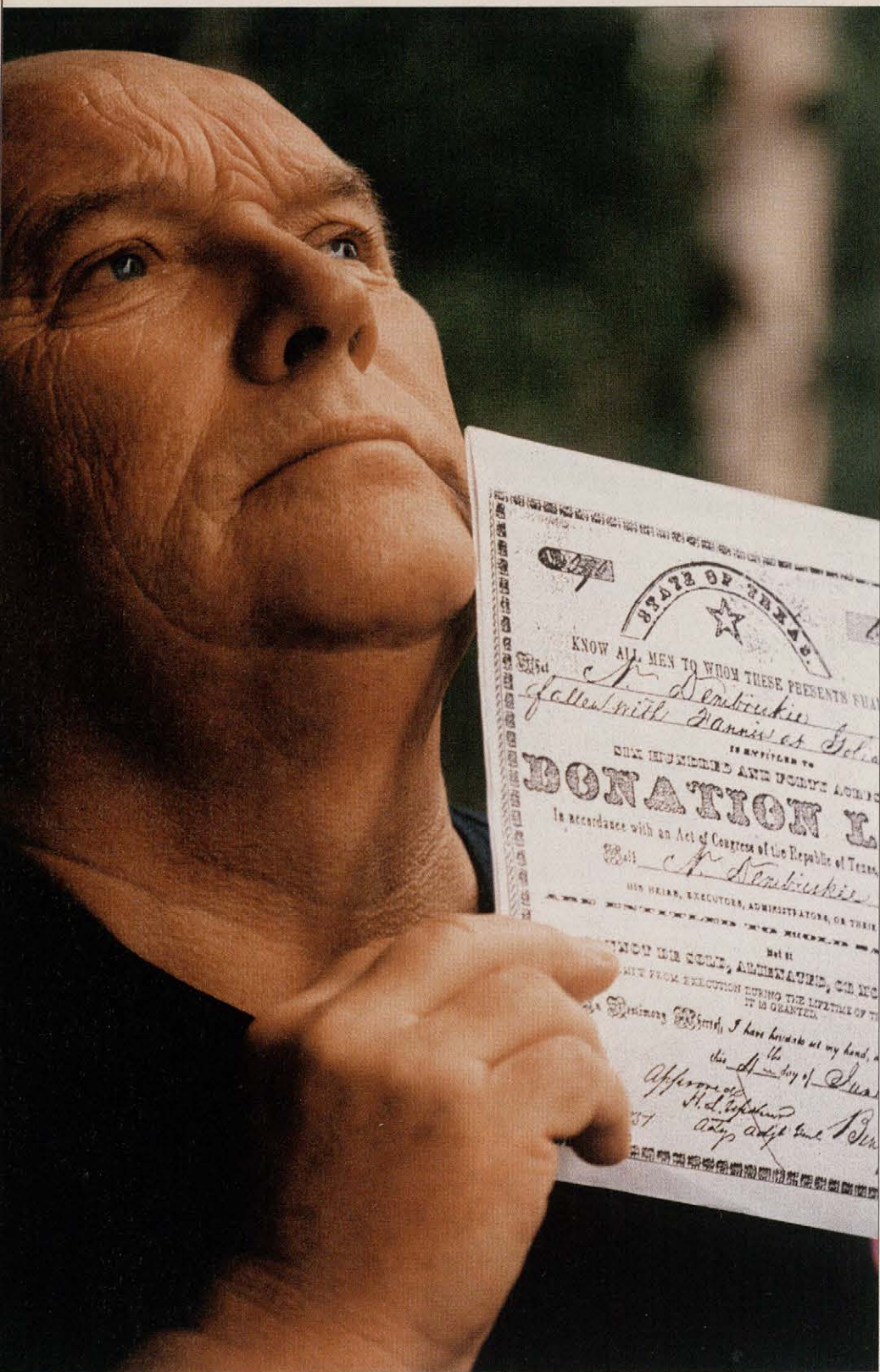
Jednak mit żył swoim życiem, uwodząc coraz to nowych spadkobierców. Uległ mu choćby Mieczysław Danef, który w roku 1956 chciał się dostać do Teksasu przez zieloną granicę. W czasach popaździernikowej odwilży Dębicy zaczęli zbierać pieniądze na proces spadkowy za oceanem. Uskładali ledwie 15 tysięcy z potrzebnych na wadium sądowe 80 tysięcy dolarów. Mimo to Mieczysław Danef ruszył przez Sudety po majątek, o którym słyszał od dziecka. Daleko nie zaszedł. Sudeccy wopisci wybili mu z głowy marzenia o amerykańskiej fortunie. – Może w Teksasie jesteś milionerem, ale i tak zostaniesz tutaj – usłyszał od pograniczników 20-letni student łódzkiej politechniki. Wopisci musieli użyć skutecznych argumentów, bo aż do śmierci nie interesował się losami spadku.

Mijały lata, ale wizja zarobionych na nafcie dolarów nie traciła nic ze swojej siły.

– W domu krążyły opowieści dziadków i wyciniki z przedwojennych gazet – wspomina Robert

W miejscu oznaczonym kropką znajduje się warta trzy miliardy dolarów działka, o którą bezskutecznie upominają się spadkobiercy w Polsce





Jerzy Kossakowski-Dębicki z podpisanym przez gubernatora stanu Teksas aktem nadania jego przodkowi Napoleonowi Dębickiemu roponośnej działki koło Wichita Falls

Dębicki z Poznania. Pod koniec lat 80. zaczął studiować archiwistykę, by uzupełnić rodzinne archiwa i odzyskać schedę. Jerzy Kossakowski-Dębicki po latach pracy za granicą też zainteresował się spadkiem i rozpoczął własne badania. Jeszcze inni, jak Wilhelm Dębicki, profesor ekonomii z Krakowa, próbowali bezskutecznie zainteresować spadkiem po Napoleonie Dębickim polski rząd. Pisał w tej sprawie do premiera Pawlaka i prezydenta Wałęsy.

- Chcieliśmy przekazać pieniądze na spłatę polskiego zadłużenia wobec USA - tłumaczy Jerzy Kossakowski-Dębicki, który w połowie lat 90. zebrał całą dostępną dokumentację i jako pierwszy od prawie pół wieku przedstawiciel rodu pojechał za ocean. Naftowe włości w Teksasie obejrzał dokładnie, jednak zarządzających majątkiem władz stanu Teksas nie przekonał, że pole nad rzeką Wichita należy się właśnie jemu. Odesłany z Teksasu z kwitkiem Jerzy szukał też pomocy polskich dyplomatów. Usłyszał, że o sto milionów dolarów można by powalczyć, ale trzy miliardy są nie do zdobycia. - Jedyna szansa to ożenić córkę z członkiem sycylijskiej mafii, oni w miesiąc załatwią panu ten spadek - oto rada, jaką Jerzy usłyszał w polskim konsulacie w Los Angeles.

Może moje wnuki...

Dziś Dębickich zostało około setki. Coraz mniej jest wśród nich ludzi, którzy wierzą w odzyskanie choćby części majątku przyznanego Napoleonowi Dębickiemu. Człowiek, który stał się jednym z bohaterów Teksasu, ma w Ameryce pamiątkową tablicę i wart fortunę kawał ziemi, który ciągle czeka na jego spadkobierców. Problem w tym, że w Polsce pozostawił po sobie jedynie kwit od krawca i wzmiankę w akcie zgonu młodszego brata, a to dla władz amerykańskich o wiele za mało, żeby oddać spadek. Zresztą znalezienie brakujących metryk nie przesądza sprawy. Problem w tym, że syn znanej z bonapartystowskich sentymentów rodziny zmienił w Ameryce otrzymane na chrzcie w Grzymałkowie imię Leon na Napoleon i na takie imię wystawiono akt własności naftowego pola. Antoni Kossakowski-Dębicki z Białegostoku ma na ten temat własną teorię. - Każdy pretekst jest dobry. Wszystkie zyski z wydobywania ropy wpływają do kasy stanu Teksas, to za duże pieniądze, żeby kiedykolwiek wypuścili je z rąk - mówi pan Antoni. Mimo to o wartym trzy miliardy dolarów polu naftowym w Teksasie ciągle jeszcze opowiada się przy rodzinnych kolacjach, a im mniej ludzi zna fakty, tym większą obrastają one legendą i tym większe padają sumy.

Krystyna Olszówka, siostra Mieczysława, któremu wopięści wybili z głowy marzenia o Teksasie, utrzymuje się z 600-złotowej renty i wartość spadku trudno jej nawet sobie wyobrazić. - Trzy miliardy? Mnie uszczęśliwiłyby dwa tysiące na miesiąc, ale moje wnuki? Kto wie... - pani Krystyna powtarza pytanie, które w jej rodzinie powraca już od czterech pokoleń. Młodzi Dębicki jak na razie obojętnie podchodzą do tradycji. - Szkoda czasu na te rodzinne legendy, choć z drugiej strony, gdyby ktoś miał pomysł, jak wyciągnąć tę forszę, to dlaczego nie? - Robert Dębicki z Poznania nie na darmo kończył archiwistykę. Na razie prowadzi własne interesy, ale któregoś dnia przyjdzie jego kolej, by ruszyć do wyścigu o spadek po przodku.

JAKUB MIELNIK

FUTBOL NA ŁAPU-CAPU

Wymiana koszulek po meczu piłkarskim jest odmianą rytuału wojennego

Nie wiem, kto pierwszy powiedział, że futbol to wojna, ale ten ktoś miał rację. W trakcie meczu jedni bronią, drudzy atakują, rzesze ludzi zagrzewają swoich do boju, śpiewają hymny, machają flagami, a po meczu oceniają plany trenerów, których nazywają strategami.

Jednym z najważniejszych rytuałów wojny jest zbieranie trofeów wojennych, co tłumaczy takie zjawiska, jak na przykład kolekcjonowanie skalpów przez amerykańskich Indian, odcinanie wrogom głów przez Murzynów i umieszczanie czaszek na dzidach, a nawet nieco ekscentryczne zamiłowanie Brytyjczyków do zbierania hełmów niemieckich z II wojny światowej albo Niemców - do kolekcjonowania czapek radzieckich oficerów. Wymienianie koszulek przez piłkarzy po zakończeniu meczu należy postawić w tym samym rzędzie zachowań wojennych.

Przy okazji obecnego mundialu warto zwrócić uwagę na kilka nowych aspektów tej tradycji. Po pierwsze, wskutek zbrutalizowania gry piłkarze nieustannie ciągną się za koszulki, co powoduje, że niektórzy kończą mecz w łachmanach. Piłkarze - jak to ludzie mediów - są niezwykle czuli na punkcie własnego wyglądu. Wystarczy popatrzeć na ich

dopracowane do ostatnich szczegółów fryzury: indiańskie pióropusze, punkowe koguty na żel czy też najbardziej obecnie popularne mafijne tyse pały. Tak drobniawym profesjonalistom z pewnością niechętnie wymieniają na koniec meczu swoją śmierdzącą, ale jednak całą, odzież na śmierdzącą i na dodatek porwaną odzież wroga. Być może tym właśnie należy tłumaczyć fakt, że niektórzy gracze zaraz po końcowym gwizdku sędziego zamiast bratać się z przeciwnikiem, uciekają do szatni.

Przeciwko wymianom koszulek przemawiają także względy praktyczne. No, bo co mianowicie zrobić z tymi śmierdzącymi i porwanymi koszulkami wroga? Finalista mundialu musiałby pakować siedem koszulek pokonanych do torby (najlepiej plastikowej) i trzymać pod łóżkiem w hotelu. Do niektórych drużyn zakwalifikowanych do półfinałów przyjechały żony i kochanki, więc ewentualnie one mogłyby poprać, ale co ma zrobić kawał? Pozostaje mu prac samemu za cenę wypoczynku i koncentracji przed kolejnymi meczami.

Reprezentacje Kamerunu i Włoch próbowały przemycić na mistrzostwa koszulki ściśle przylegające do ciała, za które ponoć nie dało się ciągnąć, bowiem były zbyt

oślizłe. Na sparingach doskonale się sprawdziły zarówno w grze, jak i w wymianie pomeczowej. Czuje władze FIFA nie zezwoliły jednak na wprowadzenie nowej technologii, co może tłumaczyć fakt, że Kamerun odpadł już w pierwszej rundzie, a Włosi zaraz potem.

Koszulka piłkarska służy nie tylko do wymiany i ciągnięcia, lecz także do zdejmowania w celu okazania przez piłkarza radości po zdobyciu bramki.

Tu krótka dygresja historyczna. W połowie lat 90. plaga nagich piłkarzy szalejących po zdobyciu bramki stała się dotkliwa szczególnie w Anglii. Przerażone władze futbolowe zareagowały, wprowadzając karę żółtej kartki za zdjęcie koszulki i pokazanie gołego torsu. Ponieważ przepis ten był głupi, piłkarze wymyślili fortel polegający na zakładaniu pod koszulkę meczową podkoszulka - najczęściej z jakimś napisem: a to w obronie dokerów z Liverpoolu, a to z pozdrowieniami dla syna, a to z krytyką polityki Stanów Zjednoczonych. FIFA dała za wygraną i dziś sędzia nie karze za ekshibicjonizm na boisku. Większość piłkarzy po strzeleniu gola pokazuje zatem swoje umięśnione klaty z napisami lub bez, a tacy Senegalczycy to nawet tańczą wokół koszulki strzelca bram-

ki, oddając jej w ten sposób cześć niczym jakimś fetyszowi.

Rozbijanie się ma jednak swoje złe strony. Napastnik Chorwacji Ivica Olić po strzeleniu drugiej bramki Włochom zdjął koszulkę w celu okazania radości, a następnie nie umiał jej założyć - moim zdaniem dlatego, że podszewka wyszła mu przez rękawy. Zdesperowany Chorwat szamotał się przez kilka minut i gdy wydawało się, że jego radość przerodzi się ostatecznie w dramat człowieka bez wyjścia, podbiegł do lekarza drużyny. Ten początkowo też nie wiedział, co robić, ale na koniec przytomnie odciął podszewkę nożyczkami. Olić kończył mecz, wyglądając strasznie głupio w koszulce z odciętą podszewką. Mimo to jakiś Włoch wymienił się z nim po meczu.

Nie wiadomo dokładnie, co było dalej, ale nie zdziwiłbym się, gdyby Olić odszukał w szatni tego Włocha i zmusił go do oddania swojej zdezelowanej koszulki. Według mnie w szatniach, gdy nikt nie widzi, piłkarze zwracają sobie wymienione wcześniej koszulki, a jeśli przeciwnik chce zachować za wszelką cenę swoje trofeum wojenne, to wybucha bijatyka. Te serdeczności i obściskiwania to tylko taki pic na pokaz, dla kibiców.

DARIUSZ ROSIAK



Holender Pierre van Hooijdonk obnaża klatę po strzeleniu bramki Borussia Dortmund w tegorocznym finale Pucharu UEFA



Senegalczycy oddają hołd koszulce Pape Bouba Diopa - zdobywcy bramki w meczu z Francją



Chorwat Ivica Olić po strzeleniu gola Włochom. Na podkoszulku syn (albo córka)

Tu, na pograniczu,
nie liczą się
zasady moralne,
a dzieci wychowuje się
w kulcie zaradności.
Bo granica jest po to,
żeby z niej żyć

MAŁGORZATA FIEJDASZ: Przeprowadził Pan badania, z których wynika, że połowa nastolatków w Polsce zachodniej nie widzi niczego złego w zarabianiu prostytutką. W latach 1992–1995 co trzeci 13–25-latek na zachodnim pograniczu uprawiał tak zwaną jumą, czyli kradł w niemieckich sklepach. To wszystko z biedy?

JACEK KURZĘPA: Przyjechała pani do mnie, do przygranicznego powiatu krośnieńskiego, gdzie jest 35-procentowe bezrobocie. Gdy bieda jest tak przejmująca, to ani Bóg, ani uczciwość, ani sprawiedliwość nie mają znaczenia. Znaczenie ma tylko to, że jestem głodny, że nie mam jak wyposażyć dzieci. Ludzie przyjmują perspektywę na krótką metę: napaść się na dzisiaj, a co jutro – zobaczymy.

Ale to nie znaczy, że juma zrodziła się wyłącznie z biedy. Nawet jeśli chłopcy mówili mi, że kradną z przyczyn ekonomicznych, to – podobnie jak przy prostytutce – była to zasłona dymna, alibi. Juma była modna, bo wiązała się z nią atmosfera kręgu subkulturowego. Chłopcy mieli gest, byli wyluzowani, fajni, zadbani, z nażelowanymi włosami. Pachnieli pieniędzmi. Kręciło się wokół nich sporo dziewczyn, które wiedziały, że warto z nimi trzymać, bo sfinansują wejście na techno party, na koncert. Browerek jest za friko i życie przyjemnie płynie.

Skąd właściwie wzięła się nazwa „juma”?

– Też się zastanawiałem i nie udało mi się tego ustalić. Yuma to miasto leżące na pograniczu meksykańsko-amerykańskim, synonim bezprawia. Był słynny western „15.10 do Yumy” – klasyczna opowieść o Dzikim Zachodzie, gdzie rządzą kolt, męska siła i buta przestępcy. No tak, ale z drugiej strony jumacze nie



pustka, nuda, juma, pus

**Z JACKIEM KURZĘPĄ, socjologiem i terapeutą
młodzieży uzależnionej, rozmawia MAŁGORZATA FIEJDASZ
Zdjęcia Filip Łepkowicz/SE**

Krosno Odrzańskie. Kina nie ma, dom kultury zamknięty.
Jedyne rozrywki to bilard i piwo



Nowogród Bobrzański. Na tych płytach miał kiedyś powstać dom. Jest „klub”, do którego można wpaść po szkole

wspominali mi, że miałyby to być ich kultowy film... Więc sam nie wiem.

Pierwsi jumacze zaczęli od czekolad, snickersów. Skoro towar leżał w Niemczech bez nadzoru, to żaden problem ściągnąć z półki, włożyć do worka foliowego i wyjść.

– Wywodzili się ze szkół ponadpodstawowych i internatów. To stamtąd ruszali na pierwsze wypadki. Wracali z czekoladą, częstowali kolegów batonikami. Na piętrze rozchodziła się informacja, że wystarczy odrobina napięcia, adrenaliny – i już jest towar. Młodzież z internatów szybko się w tym połączyła. Szli całymi pokojami na jumę. Znam przykłady dwóch wychowawców w internatach, którzy stali się paserami – to oni rozprowadzali towar. Ponieważ mnie też kojarzono z tymi grupami, nawet moi znajomi przychodzili do mnie z prośbami: „Zbliżają się święta. Może załatwisz mi, Jacek, jakieś kosmetyki?”. „Ale to jest kradzione”. „Ależ co ty opowiadasz?! Przecież to z jumy”.

Bo juma to już nie kradzież, a jumacz nie jest złodziejem?

– Kategorie pojęcia „kradzież” czy „złodziejstwo” zostały wyparte ze świadomości. Zastąpiła je „juma” – eufemizm, pojęcie rozmiękczone, bez imperatywu moralnego.

W pewnym momencie jumacze w ogóle przestali się certyfikać, przewożąc towar przez granicę. Niektórzy z nich byli zresztą dziećmi oficerów Straży Granicznej. Pakowali do samochodu paki, celnik pytał: „Co macie?”, a oni na to: „Gabryśki, whiskacze”...

Gabryśki?

– Perfumy Gabrieli Sabatini. Więc celnik mówił: „Dobra, dwa kartony dla mnie”. Przyjeżdżał do domu i rozpakowywał samochód. Co 72 godziny wracał ze służby z pełnym bagażnikiem. A w oknach – Big Brother. Sąsiedzi przyglądali się, jaką kasę złożył, i wysnuwali

odpowiednie wnioski. Poczucie bezkarności przestępczej było powszechne.

Rówieśnicy, rodzice i handlowcy z bazarów kupowali towary z jumy. Nikt nie miał poczucia, że to coś złego?

– Tu, na pograniczu, zawsze uciekano od zasad moralnych i wychowywano dzieci w kulcie zaradności. Bo granica jest po to, żeby z niej żyć. W PRL-u ludzie jeździli stąd do pracy kontraktowej w Niemczech i przywozili stamtąd rozmaite towary – młynki do kawy, skutery, handlowali markami. Kiedy Niemcy uciekali z NRD, przewóz przez Polskę i do tarcie do konsulatu RFN kosztowały od 100 do 300 marek zachodnich.

Nic więc dziwnego, że gdy przyszedł przełom lat 1990–1991, młodzi ludzie potraktowali otwartą granicę jak drogę do eldorado.

Czym się dzisiaj zajmują dawni jumacze?

– Ci, którzy potraktowali jumę jako zawód, przeszli do bardziej wyrafinowanej działalności. Pieniądże zdobyte na jumie przeznaczali na zakup nieruchomości i ziemi, żeby uzyskać akceptację otoczenia. Udało im się. W niedużych miasteczkach jak Cybinka, Sulechów, Dychów ludzie, którzy zbudowali majątki na przestępstwie, dzisiaj są szanowanymi obywatelami. Ktoś ma pensjonat, ktoś sad i dzięki temu daje

JACEK KURZĘPA (lat 40) – wykładowca socjologii na Uniwersytecie Zielonogórskim, terapeuta młodzieży uzależnionej, radny lubuskiego sejmiku i harcerz. Materiały do swoich książek: „Młodzież pogranicza – juma” (1998) i „Młodzież pogranicza – świnki” (2001) zbierał metodą obserwacji uczestniczącej. Przyglądał się jumaczom podczas ich wypraw, zwiedzał nocne kluby i berlińskie place, żeby opisać prostytucję nieletnich. Niedawno opublikował książkę o dorastaniu „Moje wędrowanie, czyli o pracy z młodzieżą starszą”.

innym pracę. Ktoś sponsoruje kluby sportowe, zaprasza na otwarcie galerii. Jeden z liderów przemytu papierosów i alkoholu co pewien czas finansuje akcje charytatywne, zapraszając na otwarcie lokalnych notabli, od burmistrzów i starostów po księży, komendanta policji, prezesa sądu. I wszyscy przychodzą.

Wielu z nich to dzisiaj rekiny świata przestępczego – zachłanne, okrutne, brutalne. Część dawnych jumaczy stanowi zaplecze do prania brudnych pieniędzy. Inni występują jako poręczyciele majątkowi w sądzie.

Jak na ludzi, którzy zaczęli od kradzieży czekoladek, daleko zaszli.

– Opowiem historię jednego z moich harcerzy, to typowy życiorys jumacza.

„Łapa” wszedł do mojej drużyny, kiedy miał 13 lat. Był trudny, mało bystry, niezbyt urodziwy i rówieśnicy traktowali go jak kozła ofiarnego. Kiedyś padał deszcz i harcerze przyszli na zbiórkę w kangurkach. Koledzy powkładali mu prezervatywy z wodą do kaptura. Gdy go nałożył, one wypadły. Chłopaki oczywiście leżeli na glebie pokotem, mieli ubaw po pachy. A on w bek.

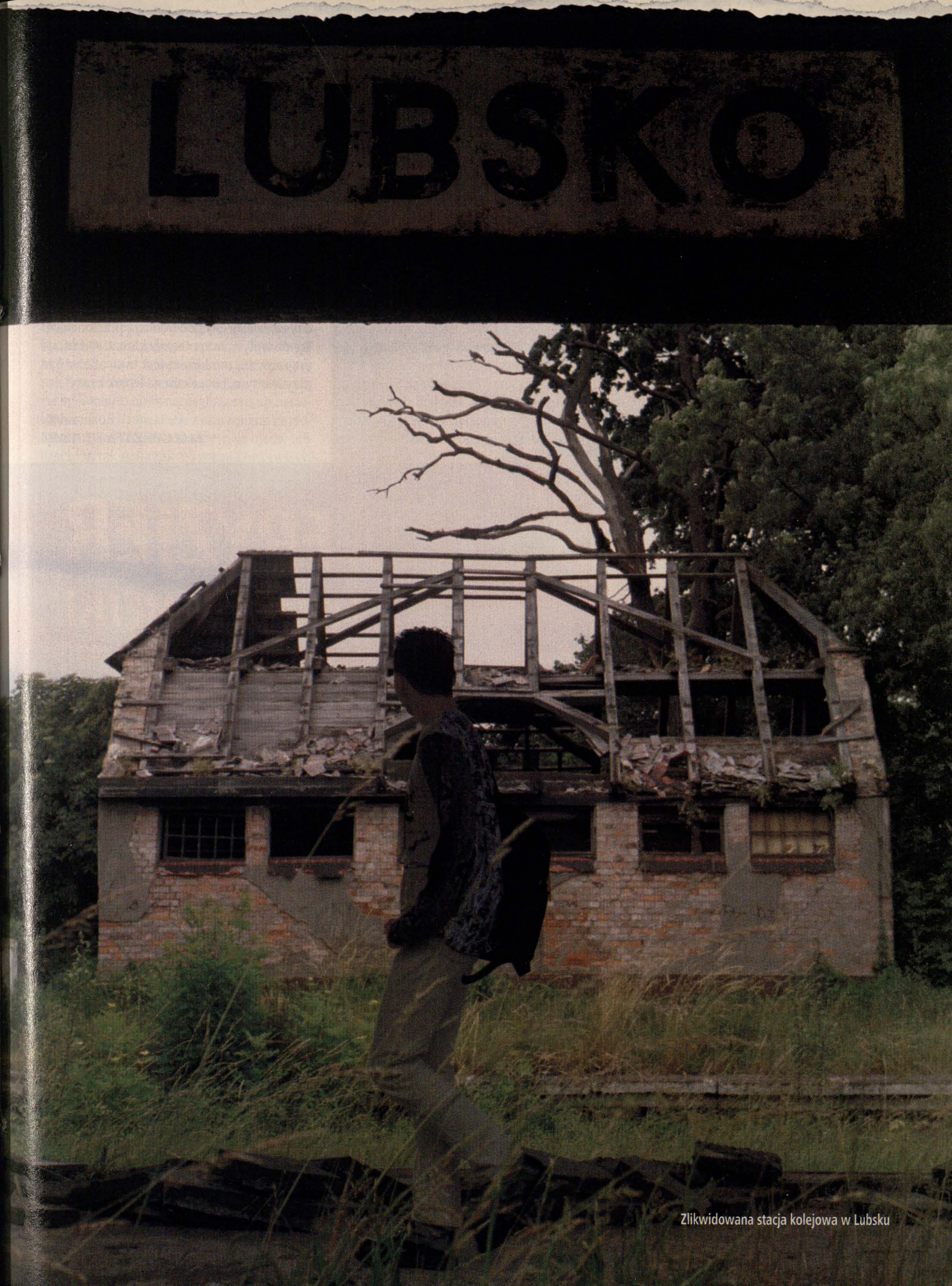
W wieku 15 lat zaczął robić skoki do altanek na działkach, potem do kiosków. Próbowalem jakoś mu pomóc – byłem w dobrej komisji z rodzicami, rozmawialiśmy, ale oni mieli jeszcze sześciu synów, więc nie mogli mu poświęcić więcej uwagi. Chłopak nie mógł znaleźć dla siebie miejsca w drużynie. Wreszcie znalazł je wśród rówieśników, którzy prowadzili złodziejski tryb życia. To były lata 1992–1994, najbardziej aktywna epoka jumy. Potem część jumaczy zaczęła się specjalizować. „Łapa” w wieku 16 lat stał się jednym z głównych organizatorów sprzedaży płyt kompaktowych z Niemiec.

Jeśli chciał zdobyć akceptację, musiał być dobry w tym, co robi. Ta determinacja doprowadziła go do tego, że dorobił się wielkich pieniędzy, kupił samochód swojej rodzinie. W pewnym momencie jego tata zaczął wozić jego i jeszcze trzech jego młodszych braci na jumę. Ojciec stał się ich wozakiem!

Dziś „Łapa” ma za sobą kilka krótkich odsiadek, ale jest bogaty i ustosunkowany. Nie musi już kraść. Jest dystrybutorem pirackich nagrań.

Część chłopaków jeżdżących na jumę na początku lat 90. zaczęła się prostytuować.

– Wtedy jeszcze ten proceder był względnie wstydlivy. Natomiast od 1995–1997 roku chłopcy całymi grupami jeżdżą z Lubuska albo Nowogrodu Bobrzańskiego w pobliżu Żar do Berlina i Frankfurtu, żeby tam prostytuować się homoseksualnie. Tworzą komuny, tak zwane gejsbandy, żeby zabezpieczyć się przed klientami sadystami. Razem wynajmują mieszkania. Potem wracają i wszyscy w środowisku wiedzą, co robili.



Zlikwidowana stacja kolejowa w Lubsku

Prostytucja nie jest już karana wyrzuceniem poza nawias środowiska. W ubiegłym roku w jednej z lubuskich miejscowości w pobliżu gimnazjum powstał pensjonat i gimnazjaliści chodzą tam na godziny do klientów. Mieszkańcy miasteczka o tym wiedzą. Wiedzą też nauczyciele. Zwrócili się do mnie, pytając, jak się mają zachować. Mówię, żeby powiedzieli rodzicom. „Ale rodzice wiedzą o wszystkim...”.

A policja?

– Karalne jest tylko działanie seksualne w stosunku do osób poniżej 15. roku życia.

Jaka jest skala prostytucji wśród nieletnich?

– Szacuję, że taką aktywność podejmuje – zwłaszcza latem – około 1500–2000 młodych osób, od Szczecina do Jeleniej Góry.

W trakcie badań spotkałem się ze 164 prostytuującymi się dziewczynami i chłopcami. Mam z nimi cały czas kontakt przez SMS-y, Internet, program Gadu-Gadu. Jestem na bieżąco i czasami podpytuję: „Jak tam załoga, poszerza się? Pojawił się ktoś nowy? Czy jest świeży towar? Jakaś nowa księżniczka?”. To środowisko jest bardzo rozgadane, emocjonalne, lubi z siebie wylewać różne rzeczy.

Młodzi ludzie nie widzą niczego złego w takim sposobie zarabiania na życie?

– Zadałem to pytanie w ankiecie przeprowadzanej wśród maturzystów i wynik był jednoznaczny: młodzież pytana o to, czy akceptuje zachowania pozaprawne, między innymi jumę i prostytucję, odpowiada: nie ma dla mnie znaczenia, co kto robi, ale jakim jest człowiekiem.

W socjologii używa się pojęcia „sprywatyzowanie perspektywy”, to znaczy, że najistotniejsze jest to, co dzieje się wokół mnie i co dotyczy mnie samego. To, co robią sąsiedzi przy stoliku obok – czy uprawiają seks, czy grają w szachy – jest już mniej istotne.

W minionym 10-leciu w środowisku polskiej młodzieży wrażliwość wspólnotowa, ogólnospołeczna została wyparta przez egocentryczny punkt widzenia. Nastąpiło – jak mówi Mirosława Marody – spienienie światłości ludzkiej. Kalkulowanie.

Cały czas ma Pan kontakt z młodymi ludźmi – począwszy od narkomanów, którzy chodzą do Pana grupy terapeutycznej, a skończywszy na harcerzach z Pana drużyny. Zdarza się, że ci pierwsi to Pana byli wychowankowie wyniszczeni jumą. Jak odpowiada Pan sobie na pytanie, dlaczego nie udało się ich powstrzymać?

– Mam wrażenie, że wina tkwi w tym, iż dorosli i wychowawcy się wycofali. Nie rozumieją tego świata i nie chcą komuś dawać recept, bo nie mają ich nawet dla siebie. Taka oferta, jaką mam do zaproponowania w harcerstwie, przegrywa z komercyjną papką współczesności.

Łatwą, liberalną formułą pod tytułem „Bądź cool”. Bądź uśmiechnięty, wyzwolony. A ja proponuję pracę nad samym sobą, własnym charakterem, budowanie męstwa, dyscypliny, dochodzenie do bycia dobrym ojcem i matką, tak po prostu. Wyjeżdżamy razem na biwaki, siedzimy przy ognisku, gadamy. Ale jeśli chłopak nie ma wsparcia od rodziny, od szkoły, to taki jeden koleś jak ja nie pomoże. Niestety, mam poczucie, że w tym wszystkim jestem Don Kichotem.

Spirala seksbiznesu zapętla się na szyi każdego z nich. Wchodzą zagłuszacze, żeby wyciszyć lęki, niepokoje, wstręt do własnego ciała i siebie. To powoduje uzależnienia, stępie wrażliwość. W przypadku jumy – ci, którzy potraktowali ją jak zawód i weszli w struktury zorganizowanej przestępczości, prędzej czy później zaczną do siebie strzelać, bo zacieśnia się rynek. Dochodzą grupy z zewnątrz – mafia rosyjska, włoska. Mieszkam w Krośnie Odrzańskim. Zeszły tydzień

– sytuacja jak z Chicago lat 30. Dwie czarne beamki i jeden mercedes ścigają się po ulicach, strzelanina z okien samochodów. W Krośnie liczącym 13 tysięcy mieszkańców! W ubiegłym roku popełniono tu cztery morderstwa – najwięcej na ziemi lubuskiej.

Wyjazd stąd to najlepsze rozwiązanie?

– To byłaby katastrofalna konkluzja. Moglibyśmy równie długo rozmawiać o młodych politykistach, którzy sobie radzą, odnoszą sukcesy i nie łamią prawa. Problem w tym, że oni też widzą, jak subtelna, krucha jest tutaj granica między normą a patologią i jak łatwo koleś ze szkoły czy podwórka ją przekracza. To ma wpływ na społeczny klimat. A dziś, na pograniczu, ten klimat jest taki: „Żeby być przyzwoitym, poczekam na lepsze czasy”.

Rozmawiała
MAŁGORZATA FIEJDASZ



Centrum Lubuska, 2002

Tureczynki grzeszą na Cyprze

W Turcji wprowadzono całkowity zakaz przeprowadzania zabiegów *in vitro* przy wykorzystaniu nasienia dawcy innego niż mąż kobiety. Bogate Tureczynki jeżdżą więc na Cypr

Turcja, o której politycy chętnie mawiają, że jest pomostem między Europą a Azją, od kilkudziesięciu lat nie wie, jakim ma być państwem. Z jednej strony chce być wysepką liberalizmu w świecie islamu, z drugiej jednak pozostaje w dalekim kącie Europy. Na ulicach Stambułu obok rozneglizowanych nastolatków widać ich równolatków z czarczafami na głowach spacerujących w towarzystwie ojców lub braci, bo tak nakazuje obyczaj. Dwa światy. Pierwszy – proamerykański, kontestujący w oparach marihuany, i drugi – zaskorupały, przyjmujący tradycję religijną. Od lat toczą pełną wzajemnej pogardy wojnę podjazdową.

Obydwa te światy mają w ręku silne argumenty – za pierwszym stoi postęp i potężny Zachód, za drugim kilkusetletnia tradycja i niezaprzeczalna dominacja kultury Wschodu. – Dlaczego mam godzić się na fakt, że mój mąż może chodzić po ulicy, obejmując swego brata, a kiedy ja całuję go w policzek w centrum miasta, wszyscy są oburzeni? – mówi mi 30-letnia Nene Gürel, nie kryjąc złości. Takie głosy, choć wciąż traktowane jak niezdrowe wybryki feminizmu, w tureckich mediach słychać coraz częściej. Nene, podobnie jak wiele jej rówieśniczek, z radością przyjęła niedawną ustawę zezwalającą jej na zachowanie po ślubie panieńskiego nazwiska. – Chociaż w ten sposób mogę zmanifestować jako taką odrębność – mówi.

Jednak deklaratywnie laickie państwo tylko pozornie jest w stanie rozdzielić zasady religijne od prawodawstwa cywilnego. Nadal pozostaje ostro zarysowana granica między płciami. Zwyczaj, które w kulturze europejskiej niezmiennie odczytywane są jako ograniczenie wolności kobiet, tutaj stają się ogólnie przyjętym sposobem na utrwalenie charakterystycznych dla islamu stosunków społecznych. – Nie łudźmy się, na wsi jeszcze kilka pokoleń kobiet nie będzie wychodziło z domów – mówi Nene.

Stambulskie autorytety religijne uznały niedawno, że niedopuszczalne jest przeprowadzenie zabiegu zapłodnienia pozaustrojowego z nasieniem nienależącym do małżonki pacjentki. Opinię tę natychmiast ujęto w odpowiedniej ustawie. Toteż gdy bezdzietność pary wynikała z bezpłodności męża, zamożne Tureczynki decydowały się na wyjazd za grani-



W lipcu 1999 roku Sukran Gonenc ze Stambułu dokonała samospalenia, ponieważ rodzice jej narzeczonego nie zgodzili się na ich ślub. Sprzeciwili się, bo Sukran nie była dziewicą

cę – do Stanów Zjednoczonych lub Izraela. Ta niezwykle kosztowna „turystyka inseminacyjna”, siłą rzeczy dostępna bardzo wąskiemu kręgowi rodzin, stała się nad Bosforem tajemnicą poliszyneł.

Tureccy lekarze szybko uznali, że na tej turystyce da się zarobić. Rozwiązaniem okazała się teoretycznie niezawisła, w praktyce całkowicie zależna od Ankary, turecka część Cypru. Setki kobiet zgłaszających się do Centrum Technik Wspomaganego Rozwoju w cypryjskiej Nikozji skłoniły tutejszych lekarzy do utworzenia jedynej w świecie Turecko-Muzułmańskiego Banku Nasienia. Legalnie i zgodnie z tutejszym prawem można w nim przeprowadzać zabiegi z użyciem materiału dowolnego dawcy. Dawcy, który musi wszakże być Turkiem i – co oczywiste – muzułmaninem, tak, aby pacjentki były pewne, że nie trafią na niechciane „obce nasienie”. – Gdyby nie ta klinika, pewnie zdecydowalibyśmy się na adopcję – powiedzia-

ła mi jedna z pacjentek. – Sam fakt, że nie możemy mieć dziecka, bardzo dotknął mojego męża. Początkowo sprzeciwiał się zabiegowi, nie mógł znieść myśli, że to w pewnym sensie nie jego dziecko...

W klinice panuje żelazna reguła zabraniająca powtórnego wykorzystywania spermy jednego dawcy, co według dyrektora placówki prof. Ümita Özekici wynika z poszanowania tureckiej kultury i tradycji.

Założyciele placówki przygotowani są na ostracyzm tureckich społeczności religijnych, poparcie środowisk postępowych i duże wpływy do kasy. Grzeszny proceder odbywa się przecież poza polem widzenia grupy wzburzonych imamów, a zamożne pacjentki nie muszą już znosić dolegliwości podróży nad Atlantyk. Czyli można połączyć liberalizm Zachodu z zasadami islamu. Pod warunkiem, że nikt nie widzi.

ANNA POLAT



OLGA WOŹNIAK

Włosy na ludzkim ciele są spadkiem po naszych włochatych przodkach. Od tysięcy lat bezskutecznie próbujemy się pozbyć tej pamiątki po zwierzęcości

O duży włos

Dziś włosy nie chronią nas już przed zimnem, a nawet gdy się atawistycznie jeżą, nie nadają nam odstraszaającego wroga wyglądu. Są w zasadzie niepotrzebne i za takie zwykliśmy je uważać. Poza szczególnym przywiązaniem do owłosienia głowy nie cenimy pokrywającej nas żałosnej resztki futra. Jego brak stał się wręcz symbolem zadbania i cywilizacji. Włosy jednak wciąż trzymają się nas kurczowo. Są co prawda i takie, które poddają się bez walki – najczęściej na męskich głowach – ale ta historia dotyczyć będzie ludzkich zmagani z włosami prężnymi, silnymi i pełnymi wigoru.

Bezwłosa arystokracja

Zwyczaj usuwania włosów z ludzkiego ciała sięga prawdopodobnie epoki kamiennej. Archeolodzy twierdzą, że mężczyźni zaczęli golić twarze już 20 tysięcy lat temu. Zamiast maszynek mieli do dyspozycji kawałki kamienia i muszle o ostrych brzegach.

Upór w usuwaniu włosów z twarzy jest charakterystyczny także dla wielu późniejszych cywilizacji. Dawni Sumerowie golili się za pomocą specjalnych szczypcyków, wyrrywając włos po włosie. Nieco bardziej wyrafinowanej metody używali starożytni Arabowie. Wymyślili oni tak zwany *bandondoz* – bawełniany sznurek przesuwany szybko po skórze. Oczy-

wiście usuwanie włosów nie było sprawą tylko męską. *Bandondoz* używany był także przez panie do depilacji nóg.

W starożytnym świecie najbardziej kategoryczne „nie” włosom powiedzieli Egipcjanie. Królowa Kleopatra, a za jej przykładem i inne elegantki, usuwała włosy z całego ciała za pomocą brzytwy z brązu. W owym czasie pojawił się również pomysł stosowania do depilacji pszczelego wosku oraz cukru.

Starożytni Egipcjanie gładkie, bezwłose ciało i twarz uważali za symbol wysokiego statusu społecznego. Za depilacją przemawiały także względy higieniczne. Klimat, w jakim żyli, był ciepły i wilgotny – włosy stawały się idealnym

wie dbano tylko o te jej kawałki, których nie skrywała odzież. W średniowieczu – zgodnie z zaleceniami świętego Pawła – uważano, że długie włosy u mężczyzn są hańbą, kobietom zaś nawet przez myśl nie przechodziło skracać swoje warkocze. W XV wieku zapanowała natomiast wśród pań moda na wyszczypywanie sobie włosów z czoła, albowiem wysokie czoło znamionowało szlachetne urodzenie. Obyczaj ten przetrwał do czasów elżbietańskich.

Aby jednak uchronić córki przed bolesnymi zabiegami, matki zaczynały dbać o urodę swych pociec już w dzieciństwie. Obwiązywały czoła dziewczynek bandażami nasączoneymi roztworem octu i... kocich odchodów.

Modne mysie skórki

Poócz utrzymywania wysokiego czoła nowożytna elegantka powinna również dbać o linię swoich brwi. Stosowano różne techniki: golenie, depilowanie, wyskubywanie, malowanie. Zabiegi te miały też chronić przed ślepotą.

Najpierw korygowało się grubość brwi piętą, a potem malowało kredką cienki łuk na tym, co zostało. Oczywiście, można było również całkiem usunąć naturalne owłosienie i namalować sztuczne linie w miejscu, które najbardziej odpowiadało gustowi. A że o gustach się nie dyskutuje, nie powinien nikogo dziwić dość niezwykły zwyczaj przyczepiania sobie – po ogoleniu właściwych – brwi sztucznych z... mysich skórek. Robiono tak w Anglii na początku XVIII wieku.

Skoro wyskubywanie brwi miało na celu nadanie im bardziej kobiecego wyglądu, zostawianie ich w stanie nienaruszonym miało wydźwięk aseksualny. Naturalnych brwi jeszcze po II wojnie światowej wymagano od kobiet pracujących w zawodach, w których nie należało się afiszować płcią. Nie mogły ich wyskubywać nauczycielki ani pielęgniarki.

Jak wygląda kobieta

Z roku 1762 pochodzi pierwsze bezpieczne narzędzie do golenia włosów. Wynałazł je francuski fryzjer Jean Jacques Perret. Był to rodzaj maszynki – ostrze znajdowało się w metalowej osłonce, która miała chronić przed głębokim zacięciem skóry. Jednak XVIII-wieczne Amerykanki wciąż wypalały włosy z nóg okładami ze żrących substancji chemicznych. Wołały to niż metodę Indian – wrywanie włoska po włosku za pomocą muszli małży.

Z czasem przekonanie, że włochatość jest cechą bardziej męską niż kobiecą, przybrało na sile. Panowie poprzestali więc na goleniu twarzy, panie zaś w chęci pozbywania się nadmiernego owłosienia popędziły dalej. Na warsztat trafiły włosy z intymnych okolic ciała. W cywilizacjach starożytnych pozbywanie się ich polegało na wyskubywa-

niu lub – dość niebezpiecznym – opalaniu płomieniem.

Ten rodzaj depilacji ma długą tradycję wśród modelek pozujących artystom. W minionych epokach wszystkie dzieła sztuki (z wyjątkiem z założenia pornograficznych) przedstawiały postaci kobiece bez śladu włosów łonowych. Zatajano je tak skutecznie, że mężczyźni wychowywani w purytańskich rodzinach nie zdawali sobie sprawy, iż kobiety w ogóle je mają.

Krytyk sztuki John Ruskin był tak przerażony, gdy odkrył u swej żony owłosienie w intymnym miejscu, że – jak głosi plotka – nie był w stanie spełnić swej małżeńskiej powinności. Ociągał się całymi latami, aż w końcu żona poddała się badaniu, które potwierdziło, iż nie straciła dziewictwa. Po unieważnieniu tego małżeństwa poślubiła artystę Johna Milliasa, który – w odróżnieniu od krytyka sztuki – oglądał także żywe modelki i szczegóły ich anatomii nie były mu obce.

Dawni filozofowie, którzy mieli odwagę roztrząsać problem istnienia włosów w tak intymnym miejscu, wyrażali przekonanie, że Bóg umieścił je tam po to, by zakryć wstydlive części ciała ludzkiego. O ile jednak u kobiety zdało to egzamin, w przypadku mężczyzny – zupełnie nie. Po co więc mamy takie włosy? Prawdopodobnie służą one po prostu do przechowywania feromonów woni wabiących partnera.

Siła na głowie

Długie włosy są jednym z atrybutów kobiecości. Mężczyźni mają nosić włosy krótkie – wtedy są męscy. Przekonanie takie mogło powstać w czasach starożytnego Rzymu. Ogolona głowa żołnierza miała tę zaletę, że pozabawiała wygodnego chwytu przeciwnika i... wszy. Dziś ogoleni na łyso bywają często sportowcy: bokserzy, zapaśnicy, pływacy.

Radykalne ogolenie głowy (stosowane nie raz jako wybieg przez łysiejących mężczyzn) znamionuje w dzisiejszych czasach supermęskość. Natomiast przymusowe golenie było zawsze aktem upokorzenia – stanowiło łagodną formę okaleczenia uznawaną za symboliczną kastrację. Pod koniec II wojny światowej praktykę tę stosowano również wobec kobiet oskarżanych o kolaborację z okupantem.

Włosy symbolizowały więc również siłę. Słowo „cezar” pierwotnie oznaczało kogoś „owłosionego” czy „długowłosego”. Podobne wnioski płyną z opowieści o Samsonie. Dobrowolnie golili sobie głowę jedynie ci, którzy chcieli wyrazić pokorę wobec bogów. Taką praktykę stosują do dziś mnisi ze Wschodu.

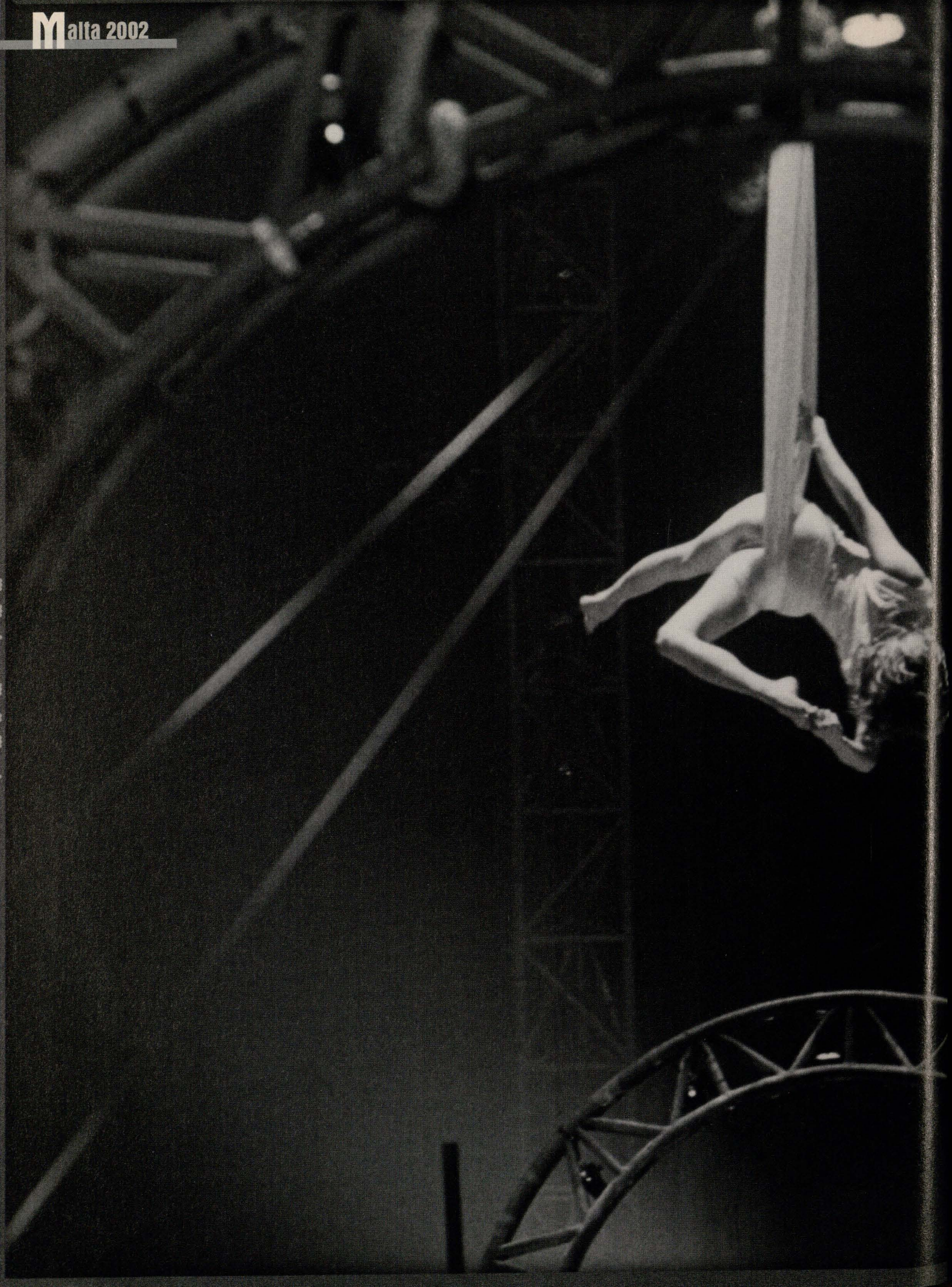
Człowiek ma na swoim ciele kilkaset tysięcy włosów. Wielu z nas uważa, że gdy się ich wszystkich wreszcie pozbędziemy, stanemy się bardziej ludzcy. Na co przyjdzie kolej potem? Pewnie na włochate myśli...

FOT. FREE

miejscom rozwoju różnego rodzaju mikrobów. Dlatego bez mrugnienia okiem zarówno kobiety, jak i mężczyźni golili nawet głowy. Wszyscy, których było na to stać, nosili peruki.

Owłosienie z całego ciała usuwali także starożytni Grecy. Człowiek bezwłosy uważany był za czystego i cywilizowanego. Stosowano metody mechaniczne, choć już wtedy pojawiły się pierwsze chemiczne depilatory. Produkowano je z pestek brzoskwini, białego wina, wyciągu ze specjalnej odmiany bluszczu, krwi nietoperza i sproszkowanej żmii. Czy były skuteczne? Tego kronikarze nie piszą.

W kolejnych epokach do gładkiej skóry podchodzono nieco mniej radykalnie. Właści-



Teatr ryzykujący upadkiem

Bajeczny teatr latających Francuzów
– akrobatów, cyrkowców, tancerzy
– rozpoczyna tegoroczny
festiwal Malta,
gdzie oglądamy spektakle
z wielu zakątków Ziemi.
Porządny Poznań staje się na pięć dni
największym teatralnym
cudowiskiem świata

Teatralne szaleństwo ogarnęło Poznań wcześniej niż zazwyczaj: pierwszy spektakl XII Międzynarodowego Festiwalu Teatralnego Malta 2002 odbył się 18 czerwca, na tydzień przed oficjalną inauguracją. Pięć ciężarówek przywiozło z Francji 60 ton dekoracji i sprzętu. W ciągu trzech dni stanął nad jeziorem Malta ogromny namiot przypominający obserwatorium astronomiczne. 20 metrów wysokości, 1400 metrów kwadratowych powierzchni, a w środku 900 leżaków. Spektakl ogląda się na... leżąc. Wygodniejszego przedstawienia na tegorocznej Malcie na pewno nie będzie.

„Kayassine”, czyli cyrk w języku laotańskim, jest drugą premierą (z 1998) teatru Les Arts Sauts. Tworzą go wywodzący się z cyrku akrobaci – 13 artystów tańczących w powietrzu w rytm „żywej muzyki” (dwie wiolonczele, kontrabas, dwie wokalistki).

Najpierw w mroku pojawia się piękna dziewczyna w zwiewnych szatach, spokojnie przecina powietrze na swoim trapezie. Wkrótce w jej świat wkraczają postaci rodem z mrocznych baśni, czy może rozbójnickich opowieści; w fantastycznych strojach zastygają nad ziemią, jakby prawo grawitacji ich nie dotyczyło. Ta sekwencja to preludium. Potem ogromny pomost z rur wędruje w górę, ciężkie kostiumy opadają, zaczyna się prawdziwy cyrk – z solowymi występami i opowieściami o tym, co się dzieje, kiedy trwa praca nad kolejnym spektaklem: są żarty, jest miłość, poezja i dzień codzienny. I wszechogarniająca muzyka. Komentująca, nadająca rytm i sens całości – połączenie klasyki, jazzu i techno.

Francuzi są perfekcyjni i piękni w swej sztuce. Tańczą pod niebem i śpiewają. Ich opowieść wciąga, choć ten, kto szuka „prawdziwego” teatru, srodze się zawiedzie: nie ma tu dyskusji o świecie, ten spektakl można raczej porównać z seansem terapeutycznym. Wielkie widowisko. Ponad 70 minut emocji.

„Kayassine” to forpocztą tegorocznej Malty i zapowiedź tego, co będzie się tu działo przez pięć dni (25–29 czerwca). Wystąpi 50 zespołów w 80 spektaklach (w tym sześć premier) przed – w sumie – stutysięczną widownią. Cały Poznań zamieni się na ten czas w wielką scenę.

KATARZYNA INCZEWSKA



Jedna z ofiar Krwawej Niedzieli na bruku Londonderry 30 stycznia 1972 r.

Krwawa Irlandia

Rozmowa z **Paulem Greengrassem**, reżyserem „Krwawej Niedzieli”

TADEUSZ JAGODZIŃSKI: Jakie są Pańskie osobiste wspomnienia z Krwawej Niedzieli? Wychowywał się Pan z dala od tamtych wydarzeń, ale czy tak jak dla Irlandczyków i mieszkańców Ulsteru 30 stycznia 1972 był przełomową datą dla Pana?

PAUL GREENGRASS: Bardzo wyraźnie pamiętam tamten dzień. Miałem wtedy 17 lat, czyli tyle, ile Gerry Donaghy, jedna z postaci naszego filmu. Na pewno był to jeden z tych przełomowych momentów, kiedy nawet bardzo młoda osoba zdaje sobie sprawę, że to, co dzieje się wokół niej, jest szalenie ważne, a przy tym wręcz niewiarygodne: przecież na ulicach mojego kraju strzelało wojsko i zabijało ludzi.

Czy ten szok w Wielkiej Brytanii, poza Ulsterem, nie minął jednak

zbyt szybko? Czy Brytyjczycy – inaczej mówiąc – nazbyt szybko nie przeszli do porządku dziennego nad tym, co wydarzyło się w Derry?

– Zasadniczy problem z Krwawą Niedzielą polegał na tym, że jako „wydarzenie” bardzo szybko utonęła ona w powodzi innych spraw. Wkrótce potem zaczęli ginąć żołnierze, w angielskich miastach eksplodowały ładunki wybuchowe podkładane przez IRA, co miało oczywisty wpływ na nastroje Brytyjczyków. Birmingham czy Londyn odkryły swój własny gniew i ludzie przestali się przejmować Krwawą Niedzielą i przyczynami konfliktu.

W Ulsterze do dziś trwają spory na temat przebiegu wydarzeń Krwawej Niedzieli. Różnice zdań dotyczą na przykład tego, kto od-

dał pierwsze strzały: czy żołnierze z pułku spadochronowego, czy też bojówkarze IRA ukryci wśród demonstrantów? Jak weryfikować materiał do filmu?

– Nie trzeba być detektywem, żeby opowiedzieć historię Krwawej Niedzieli. To, co się tamtego dnia wydarzyło, jest aż nazbyt jasne. Brytyjski Ulster znajdował się wtedy na krawędzi anarchii. Siły bezpieczeństwa miały ogromne problemy z utrzymaniem porządku. Masowy ruch na rzecz praw obywatelskich (głównie katolicki, choć znajdowali się w jego szeregach także protestanci, jak choćby Cooper, jeden z bohaterów naszego filmu) wyprowadzał na ulice dziesiątki tysięcy ludzi. I w takiej atmosferze IRA zaczynała organizować zamachy na wojskowych i policjantów, nawet tuż przed marszem w Londonderry.

Wojsko domagało się więc prawa do stosowania coraz ostrzejszych środków przymusu, aby – w swoim rozumieniu – przywrócić kontrolę nad rozwojem wydarzeń. Przypuszczam zatem, że do Krwawej Niedzieli musiało prędzej czy później dojść, i tylko los zrzucił, że to się stało 30 stycznia 1972 roku. Irlandia Północna była beczką prochu, której eksplozję mogła wywołać najmniejsza nawet iskra. Ale kiedy wieczorem tego dnia podsumowywano bilans wydarzeń: 30 osób postrzelonych, z czego 13 śmiertelnie, to kwestia: „Kto pierwszy strzelał?” nie miała już większego znaczenia.

W Pańskim filmie wyczuwa się z jednej strony wolę dbałości o fakty, a z drugiej o to, by przedstawić skonfliktowane ze sobą punkty widzenia. W rezultacie

widzowie uzyskują panoramiczny niemal wgląd w kluczowe dla północnoirlandzkiej historii kilkanaście godzin, mogą obserwować tragedię na różnych poziomach. Ta wielowarstwowość sprawia też, że oceny w sprawie winy dotyczącej rozlewu krwi mogą być bardzo różne...

– Staraliśmy się zrealizować ten film w duchu pojednania, nikogo nie demonizując. Przede wszystkim przyświecała nam chęć zrozumienia i odtworzenia tego, co się wydarzyło w Derry. Chcieliśmy przyjrzeć się temu w miarę możliwości beznamytnie, chociaż jednocześnie chcieliśmy dołożyć swoją cegiełkę do mozolnie wznoszonej budowli pokoju w Ulsterze.

Cały czas mieliśmy w pamięci sentencję Jima Sheridana [znany filmowiec irlandzki, był jednym z producentów wykonawczych filmu – przyp. red.], że historia Krwawej Niedzieli jest historią, której Irlandczycy nie mogą zapomnieć, a której Brytyjczycy nie chcą pamiętać. W jakimś sensie chcieliśmy naszym filmem zmienić tę sytuację. Czuliśmy, że jeśli to my, Brytyjczycy, zrobimy ten film, opowiadając o krzywdzie Irlandczyków, to może zdołamy wynieść debatę w sprawie Ulsteru na inny poziom, nakłaniając ich też do myślenia o naszej krzywdzie, bo przecież wielu niewinnych Brytyjczyków zginęło w Anglii w zamachach bombowych w Londynie czy w Manchesterze.

Ale wracając do kwestii odpowiedzialności za wydarzenia 30 stycznia 1972 roku, w moim odczuciu najistotniejsze było to, że władze brytyjskie postanowiły wtedy, że konflikt w Irlandii Północnej trzeba traktować jako problem dotyczący bezpieczeństwa, rebelię (bo tak to postrzegał Londyn), którą należy stłumić przy użyciu wojska. Świadomie podjęto decyzję o zignorowaniu roszczeń politycznych Ruchu na Rzecz Praw Obywatelskich. I to był zasadniczy błąd. Wszystko, co wydarzyło się później, miało swoje źródło w tej pomyłce polityków. A owo „wszystko” obejmowało zwielokrotnienie gniewu katolickich mieszkańców Irlandii Północnej, ich alienację, wreszcie popchnięcie wielu młodych ludzi



FOE EAST NEWS

Co się zdarzyło w Londonderry?

30 stycznia 1972 r. żołnierze brytyjscy otworzyli ogień do uczestników marszu pokojowego w Londonderry. Marsz, w którym wzięło udział około 10 tysięcy ludzi, zorganizowano w proteście przeciwko ustawie zezwalającej władzom na internowanie bez wyroku sądowego podejrzanych o terroryzm. W strzelaninie śmierć poniosło 14 uczestników marszu, a dzień przeszedł do irlandzkiej i brytyjskiej historii jako Krwawa Niedziela. Przez 26 lat Brytyjczycy rozpowszechniali wersję ustaloną po pierwszym dochodzeniu w sprawie wypadków. Według niej armia zareagowała na ostrzał ze strony terrorystów z IRA. Katolicy odrzucają tę wersję, a członkowie IRA twierdzą, że ani wśród uczestników marszu, ani w domach, z których miały paść strzały w kierunku żołnierzy, nie było uzbrojonych republikanów. Według wielu północnoirlandzkich katolików i części brytyjskiej opinii publicznej akcja wojska była zwykłą masakrą cywilów. W wyniku Krwawej Niedzieli zdecydowanie wzrosła niechęć północnoirlandzkich katolików wobec brytyjskiej obecności w Irlandii Północnej.

W roku 1998 rząd Tony'ego Blaira zarządził ponowne dochodzenie w sprawie Krwawej Niedzieli. Świadkowie składający zeznania są wyłączani spod odpowiedzialności prawnej, ponieważ jedynym celem dochodzenia jest ustalenie prawdy. Końcowy raport zostanie opublikowany w roku 2004.

DR

w ramiona Irlandzkiej Armii Republikańskiej. W ten sposób pokojowy w swoich metodach działania ruch praw obywatelskich przeobraził się w walkę zbrojną, której ton nadawała IRA.

Odpowiedzią na eskalację jest nieodmiennie radykalizacja?

– Oczywiście. Ale kiedy rozwija się spirala przemocy, to bardzo szybko dochodzi do sytuacji patowej – po obu stronach narasta poczucie krzywdy, ludzie szczególnie zamykają się w gettach. Nie interesuje ich punkt wi-

dzenia drugiej strony. Dialog staje się niemożliwy, są tylko długie katalogi wzajemnych zarzutów. Trzeba było 25 lat rozlewu krwi, żeby to się zmieniło. W tym sensie nasz film był jakby drobnym elementem procesu pokojowego. Bo nie ma przecież pokoju bez zrozumienia przyczyn konfliktu. To trzeba wyraźnie powiedzieć: północnoirlandzcy katolicy czuli się dyskryminowani, trudniej im było o przydział mieszkań, o pracę, o zarobki równe z protestanckimi. Dlatego wychodzili na ulice.

I jako społeczność Brytyjczycy dopiero teraz zaczynają zdawać sobie sprawę, że przyczynili się do stworzenia klimatu w Irlandii Północnej, w którym wielu katolików czuło, iż jedynym wyjściem jest dla nich walka zbrojna. W tym przekonaniu utwierdzała ich jeszcze pamięć Krwawej Niedzieli, niezwykle trwale zapisana w zbiorowej świadomości.

Czy w Pana odczuciu można dopatrywać się jakichś szerszych, uniwersalnych znaczeń w doświadczeniu Bloody Sunday i jej skutków w Irlandii Północnej, czy też było to wydarzenie najściślej związane ze specyfiką Ulsteru?

– Sądzę, że wszystko to miało szersze znaczenie, co więcej, znaczenie bardzo aktualne. Bo z pozoru film „Krwawa niedziela” opowiada o wydarzeniach w niedużym mieście, gdzieś na zachodnich rubieżach Europy. Ale poruszane w nim kwestie zachowują aktualność: czy to w Kaszmirze, czy w Izraelu zamieszkiwanych przez zwaśnione wspólnoty, na pewno też w kontekście tak zwanej globalnej wojny z terroryzmem.

Bo należy sobie zadać pytanie: czy prowadząc taką wojnę środkami czysto militarnymi, nie popełniamy tego samego błędu, jaki we wczesnych latach 70. popełnili Brytyjczycy, próbując stłumić sprzeciw wobec swej polityki metodami wojskowymi? Czy postępując dzisiaj w ten sam sposób, nie zepchniemy przypadkiem na margines umiarkowanych muzułmanów? A przecież ich poparcie będzie kiedyś niezbędne do zbudowania trwałego pokoju.

To są kwestie, nad którymi wypadałoby się poważnie zastanowić. Bo ryzyko popchnięcia młodych ludzi rozgoryczonych bezrobociem, beznadziejnością swojej sytuacji – a jest ich przecież wielu w dzisiejszym świecie muzułmańskim – w ramiona skrajnych działaczy takich jak Osama ben Laden jest chyba podobne jak w przypadku ulsterskiej młodzieży, która po Krwawej Niedzieli zasilila szeregi IRA?

Rozmawiał
TADEUSZ JAGODZIŃSKI,
Londyn



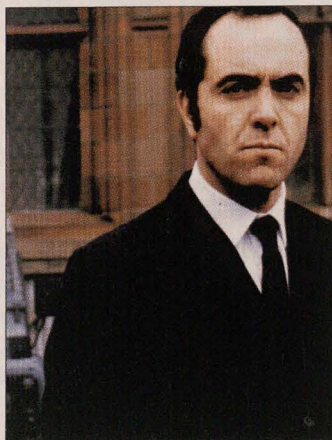
Brytyjskie wojsko strzela – kadr z filmu. Poniżej: James Nesbitt jako Ivan Cooper, przywódca pokojowego marszu

Słuchać masakrę

„Krwawa Niedziela” dostarcza odpowiedzi na pytanie, dlaczego żaden z polskich filmów na temat stanu wojennego nie stał się takim wydarzeniem jak dzieło Greengrassa

Widzom, hm..., nieco starszym „Krwawa Niedziela” przypomni z pewnością czasy stanu wojennego. Godzinę policyjną, mundurowych grzejących się przy koksownikach, marsze przeciwko, atmosferę napięcia i oporu, oczekiwanie na straszne, które jeszcze nastąpi. To skojarzenie i u mnie wywołuje grymas niechęci, bo, mówiąc szczerze, nie lubię wracać do tamtych, wygasłych już dzisiaj, emocji, zwłaszcza że nikt – ani w polityce, ani w sztuce – nie uporał się w zadowalający sposób z problemem pod tytułem „stan wojenny”.

Krwawa Niedziela zdarzyła się 10 lat wcześniej – w północno-irlandzkim mieście Londonderry. Jednak nie w sporej odległości czasowej (która być może pozwala widzieć rzeczy z lepszej perspektywy) upatrywać należy głównej przyczyny sukcesu filmu Paula Greengrassa. Reżyserowi udało się harmonijnie połączyć estetykę z etyką, choć nie wiem, czy słowo „harmonijnie” jest na miejscu w kontekście tragicznych wydarzeń. Tak to jednak często bywa, że po latach artyści muszą naprawiać to, co spieprzyli politycy.



FOT. BEST FILM (2)

„Krwawa Niedziela” ma bardzo jasne i proste przesłanie – tylko na drodze współpracy i dialogu da się rozwiązać konflikty wszelkiego rodzaju. Ta szlachetna myśl nie jest nam jednak oznajmiana z wyżyn jakiegoś autorytetu moralnego, lecz staje się jedyną sensowną odpowiedzią na masakrę dokonaną przez brytyjskich żołnierzy.

Głównym „nosicielem” pokojowego przesłania czyni Greengrass Ivana Coopera (James Nesbitt), członka parlamentu Irlandii Północnej i jednego z liderów ruchu The Northern Ireland Civil Rights Association. Choć jest pro-

testantem, Cooper upomina się o prawa dla katolickiej większości, zdaje sobie bowiem sprawę, że wszelkie przepisy dyskryminujące tę czy inną grupę społeczną odbijają się rykoszetem na wszystkich obywatelach. Sam ma narzeczoną katoliczkę, z którą boi się pokazywać w brytyjskiej części miasta.

Przez pierwszą część filmu oglądaliśmy ostatnie przygotowania do niedzielnego „marszu pokoju” organizowanego przez grupę Coopera. Twórcy konsekwentnie stosują poetykę reportażu na żywo. Ruchliwa kamera nie tylko jest świadkiem, lecz także uczestnikiem zdarzeń. Udziela jej się nerwowość bohaterów, których nie zawsze łapie w pełnej ostrości i dobrym oświetleniu.

Oprócz Coopera i jego współpracowników poznajemy także między innymi 17-letniego Irlandczyka Gerry’ego Donaghy (Declan Dudd) – zadymiarza i sympatyka IRA – dowódców brytyjskiego wojska, a także grupę żołnierzy szykujących się (za murem, którego nie można zburzyć nawet czołgami) do ataku na manifestantów.

Szkicowy, siłą rzeczy, portret psychologiczny bohaterów, którzy raczej reprezentują określone postawy, niż są pełnowymiarowymi postaciami, nakreślono jednak pewną ręką. Dzięki niemu nie gubimy się w tłumie atakujących i atakowanych. W Londonderry naprzeciwko siebie stają nie dwie czy trzy anonimowe siły, lecz konkretni ludzie. I to konkretni ludzie ponoszą odpowiedzialność i konsekwencje za czyny swoje i innych.

Jedyny ostentacyjny chwyt, jaki stosuje Greengrass, to zaciemnienia między kolejnymi sekwencjami. Dzięki nim mamy czas, by przenieść się z ulic do domów, z domów do kwatery dowodzenia. Brak natomiast w filmie muzyki ilustracyjnej (dopiero pod napisy końcowe podłożono słynny song U2 „Sunday, Bloody Sunday”, zresztą także w wersji *live*). Jest za to znakomicie uchwycone tło dźwiękowe: urwane dialogi, nerwowe kroki, pomruk tłumu, szum miasta w stanie oblężenia...

Podczas oglądania „Krwawej Niedzieli” otrzymałem odpowiedź na pytanie, dlaczego żaden z polskich filmów na temat stanu

CIARÁN CARSON

Confetti Belfastu

Kiedy wkroczyły oddziały przewencyjne, zaczął łać deszcz wykrzykników, Nakrętek, śrub, gwoździ, kluczy samochodowych. Zdekompletowane czcionki. I sama Eksplozja – asterysk na mapie. Ta linia przerywana, gwałtowny błysk z automatu... Usiłowałem złożyć w myślach jedno zdanie, lecz zacinąło się, A wszystkie przejścia i boczne ulice zablokowane były przez kropki i dwukropki.

Tak dobrze znam ten labirynt – Balacława, Raglan, Inkerman, Odessa Street – Dlaczego nie mogę uciec? interpunkcja wstrzymuje każdy ruch. Crimea Street, znów ślepy zaułek. Saracen z odrutowaną kopułą. Przyłbice z makrolonem. Krótkofalówki. Jak się Nazywam? Skąd jestem? Dokąd idę? Kanonada znaków zapytania.

Przełożył PIOTR SOMMER

Ciarán Carson (ur. 1948) jest jednym z najwybitniejszych i najlepiej znanych w świecie poetów irlandzkich. Urodził się w Belfaście i tam mieszka do dziś. Wiersz „Belfast Confetti” (termin ten w lokalnym slangu oznacza koktajl Mołotowa) ukazał się w książce „The Irish for No” (1987). Przekład podajemy za tomem wierszy Carsona „Tak, tak” (Legnica 1998), który – w opracowaniu i przekładzie Piotra Sommera – wydano dla uczczenia wizyty poety na festiwalu poetyckim Fort Legnica '98.

wojennego (choćby „Śmierć jak kromka chleba” Kutza) nie stał się takim wydarzeniem jak dzieło Greengrassa. Nasi twórcy, choć często występują z pozycji antykomunistycznych, po marksistowsku dbają znanadto o nadbudowę swoich filmów – symbole, ideologie, wielkie słowa. Natomiast reżyserzy brytyjscy, znani przecież z lewicowych przekonań, pamiętają o przestrodze, że „diabeł tkwi w szczegółach”. Są realistami, dla których świat i jego sprawy składają się z detali.

Gdy wstrząśnięty Krwawą Niedziela Cooper wygłasza na końcu mocne przemówienie, w jego słowa co rusz wdzierają się dzwonek telefonu. Scena ma miejsce tuż po masakrze, w biurze prasowym. No właśnie, telefon musiał wtedy dzwonić bez przerwy. Brytyjczycy wiedzą, jak robić „kino zaangażowane”. Czyli takie, które angażuje intelekt, emocje i zmysły widza.

BARTOSZ ŻURAWIECKI

„Krwawa Niedziela” („Bloody Sunday”), reż. Paul Greengrass, Wielka Brytania – Irlandia 2001, Best Film

A. S. BYATT

Dziennik w oku słowika

Prószyński i S-ka

A.S. Byatt

DZINN W OKU SŁOWIKA

Młody dzielny bohater, piękna dziewczyna w potrzebie, zagadkowe i tajemnicze istoty znane nam z dzieciństwa w rękach mistrzyni opowieści, A.S. Byatt, stanowią cudowny pretekst do snucia rozważań o sztuce, społeczeństwie i wolności. Każda z przedstawionych bajek jest barwną, intrygującą historią, pełną nie od razu widocznych znaczeń – a także małą rozprawką o sekretach związków między literaturą i życiem.

O tak... urzekające wizje autorki wspaniałego „Opętania” (Prószyński i S-ka 1998 r.) niejednemu sułtanowi nie pozwoliłyby zasnąć przez tysiąc i jedną noc...

A.S. Byatt pisze krystalicznie i ze wspaniałą wyobraźnią... To są perfekcyjnie uformowane baśnie.

Cudowna przyjemność... To jest nie tylko niezwykle, ale zaskakujące i wspaniałe.

Washington Post Book World

Boston Globe

Patronat medialny: **PRZE KROK ZYCIE onet.pl** księgarnia internetowa www.merlin.pl

KSIĄŻKI MOŻNA KUPIĆ TANIEJ

ZADZWOŃ, NAPISZ – PRZEŚLEMY CI KATALOG KKKK

adres: Garażowa 5, 02-651 Warszawa

tel.: 0-801-120-121, fax: (0-prefiks 22) 843-41-61

e-mail: klub@kkkk.com.pl

oraz w księgarni internetowej www.merlin.pl

SALON Nr 7 WYTRZEŻWIEŃ

POD REDAKCJĄ **TADEUSZA NYCZKA**

WŁODZIMIERZ BOLECKI LITERATURA, **ANDRZEJ CHŁOPECKI** MUZYKA,
PAWEŁ DUNIN-WĄSOWICZ KULTURA ALTERNATYWNA, **MARIA KORNAŁOWSKA** FILM,
PIOTR RYPSOŃ SZTUKA, **MARYLA ZIELIŃSKA** TEATR

RYUNKI MARCIN MACIEJOWSKI

Nyczek: Witam koleżeństwo. I polecam zachowywać się ze szczególną ostrożnością, jako że mamy dziś na tapecie temat drażliwy, a nawet miejscami bolesny. Będziemy się też narażać. Być może nawet własnej macierzy, „Przekroju”. Mamy otóż rozmawiać o sytuacji mediów publicznych w czasach dzisiejszych. Niezależne są prawdziwie – czy tylko tak się wydaje. I co się z nimi stało, kiedy z klasowego narzędzia służącego władzy, jak to było za Peerelem, zmieniły się w klasę już tej władzy jakoby niesłużącą.

Zwracam uwagę,

że wrabiając się w tę rozmowę, wrabiamy też samych siebie.

Bolecki: To była rewolucja.

Nyczek: Wrabianie samych siebie?

Bolecki: Miałem na myśli bunt służby przeciw państwu. Mediów przeciw władzy.

Nyczek: No, to się właśnie okaże. Bo stoi tu następujące pytanie pomocnicze: o zakres wolności tego, co się teraz ładnie nazywa czwartą władzą i o czym panowie Legutko i Rodziewicz wykonali instruktywną książkę – „Mity czwartej władzy”. Czym władza ta władza i za jaką cenę? A może i ta władza ma nad sobą jakąś władzę? Czytelnikom „Salonu” mającym w głębokim poważaniu historię przypominam,

może zresztą niepotrzebnie, że jest pewna zasadnicza różnica między mediami peerelowskimi a dzisiejszymi. Otóż tamte nie miały szans na bycie jakkolwiek władzą: trzecią, czwartą czy siódmą. Władza była jedna – KC PZPR – i tylko ona miała moc kreatywną. Mogła bez pytania coś albo kogoś wynieść albo obalić, a media robiły co najwyżej za propagandową szkieletkę.

Bolecki: Nie ma zgody. Media peerelowskie miały potężną władzę. Nie tylko dlatego, że stał za nimi KC, ale że wielka część społeczeństwa z dobrą wolą przyjmowała wszystko, co się z nich sączyło. A ponieważ w Peerelu nie istniały media alternatywne, to te oficjalne po prostu robiły, co chciały, z ludzkimi mózgami, zwłaszcza jeśli ktoś nie miał innych życiowych doświadczeń poza peerelowskimi. Do tych urobionych należy duża część elektoratu SLD, PSL, Unii Pracy czy Samoobrony. Zresztą wśród innych partii też by się ich sporo znalazło. Nie przypadkiem mówiono o tamtych mediach „środki masowego rażenia”.

Nyczek: Ale to dopiero dzisiejsze media pretendują do władzy, bo same mają taką kreatywną siłę.

Bolecki: Tu zgoda. W Peerelu były zależne od dyspozytora politycznego, dziś częściej rządzą nimi układy finansowe. Ale moim zdaniem pełnią nadal funkcję usługową wobec polityki i polityków. Na przykład kreują osoby anonimowe, czyniąc z nich głośne zjawiska medialne, bo jest zapotrzebowanie na nową twarz w polityce. To zresztą mechanizm ogólnoswiatowy. Pytanie, czy ta kreacyjna działalność, oczywiście zawsze przykrywana frazesami o „obowiązku przekazywania informacji”, nie rodzi negatywnych skutków społecznych. Na przykład przed laty wywiad z Tejkowskim w „Gazecie Wyborczej” czy wyborcza medialna kariera Leppera. Ten ostatni jest zresztą dla mnie fortepianem, na którym

gra wiele rąk – tyle tylko, że głowy są starannie ukryte w cieniu.

Kornatowska: Panowie mówicie o sile i władzy mediów. W Peerelu nie były niezależną władzą i miały nad sobą cenzurę. Ale opowiem taką historię. W roku 1996 w Nowym Jorku odbył się Przegląd Filmów Polskich organizowany przez Film Society of Lincoln Center. Pokazano ich ze 40. Potem odbył się panel między innymi z udziałem Andrzeja Wajdy, Agnieszki Holland i Bolesława Michałka. I wtedy Agnieszka Holland, pracująca już od jakiegoś czasu wyłącznie za granicą, powiedziała, że w latach 70., za Gierka, kiedy rodziło się kino „moralnego niepokoju”, miała znacznie większe poczucie wolności artystycznej. To brzmiało szokująco, ale wyjaśniła, że oczywiście działała cenzura, ale głównie na etapie zatwierdzania scenariusza, i kiedy doszło się z nią do ładu, reszta była wewnętrzną sprawą artystów. Istniały zresztą skomplikowane, ale też skuteczne, mechanizmy osławiania i rozmiękania cenzorów bazujące na ich kompleksach, a nawet poczuciu politycznej winy, i z niektórymi to osławianie nieźle się udawało. W rezultacie ingerencje nie były aż tak bolesne jak te, które wynikają z powodów czysto komercyjnych – traktowania filmu jako produktu rynkowego. Nie liczyły się wtedy dwie rzeczy dziś podstawowe: koszt filmu i oglądalność. W tych paradoksalnych czasach produkowało się nie tyle dla kasy, ile dla idei, skądinąd nie zawsze słusznych. I tu leży pies pogrzebany. Bo jak by powiedział Poncjusz Piłat: czymże jest wolność, jeżeli praktycznie trudno z niej korzystać? Ile ciekawych projektów Agnieszki Holland przepadło z przyczyn finansowych, bo producent uznał je za nazbyt ambitne!

Chłopecki: Nie taki trudny ten paradoks. Komunistom nie zależało na pieniądzu, bo



nie swoimi obracali, a zależało im na prestiżu. Ale czwarta władza to nie jest kasa, tylko dziennikarstwo.

Rypson: Różne byty salonowe

i kuchenne składające się na pejzaż telewizyjno-radiowo-prasowy.

Zielińska: Krótko mówiąc, niewolnicy. Także niewolnicy kasy.

Chłopecki:

No, ostro to waci panu ujęłaś. Ale dobrze, niech będzie to też temat: „Niewolnictwo wczoraj i dziś”.



Nyczek: Bez przesady. Jesteśmy wolnym salonem w piśmie „Przekrój”.

Bolecki: Wolnym na tyle, na ile sobie napiszemy w nagłówku „Salonu”, że trzeźwiejemy w „piśmie niekontrolowanym”, a potem przyjdzie jakiś nadredaktor „Przekroju”, który i tak nas skontroluje. I jak zechce, wyrzuci nietrzeźwy salon na bruk. Wtedy będziemy naprawdę wolni.

Chłopecki: „Jestem wolny – rzekł raz zając, na ogniu się przypiekając”.

Zielińska: Koleżanka Kornatowska wspominała o peerelowskiej cenzurze. Wydaje mi się, że to, co kiedyś było prostą cenzurą, teraz przybrało kształt tak zwanej polityki redakcyjnej, która czyni z dziennikarzy inny gatunek niewolników.

Rypson: Toż to zjawisko stare jak świat. Po to powołuje się gazety czy stacje radiowe, żeby uprawiać jakąś politykę redakcyjną!

Zielińska: Ale chyba nowe jest to, że otwiera się byle gazetę i każdy tekst jest do siebie podobny, jakby przeszedł przez jednego redaktora. Jakaś urawniłowka panuje pomiędzy kolorowymi czasopismami i, o dziwo, dziennikami.

Rypson: To jest inna kwestia, związana nie tyle z polityką redakcyjną, ile z inercją świata mediów.

Zielińska: Ale jednak z zabijaniem indywidualności dziennikarzy i swoistym szantazem, bo wymusza się na nich naśladowanie tego, co odniosło sukces. Kiedyś aż tak nie

było, świat tekstów był bardziej kolorowy. Artykuły we „Wprost” nie tak bardzo różniły się od tych w „Polityce”, „Newsweeku”. „Wyborcza” stała się punktem odniesienia nie do ominięcia. Nawet jak się patrzy na „Przekrój”, który stara się trochę inaczej pisać, i tak to jest nic wobec barwności stylistycznej i autorskiej dawnego „Przekroju”.

Rypson: To syndrom echa: sukces pierwszego głosu ciągnie za sobą następne.

Nyczek: No i tego, że wszystkie media nastawione na sukces komercyjny, łącznie z tak zwanymi publicznymi, nacelowane są na odbiorcę masowego, który nie powinien mieć trudności ze zrozumieniem tego, co widzi albo czyta. Komplikacja stylistyczna odbiera odbiorców. Ot i cała filozofia, banalna jak piosenki zespołu Ich Troje.

Zielińska: Banalne to może i jest, ale nie zmienia faktu, że dziennikarze zmuszeni do takiej urawniłowki mogą mieć paskudne samopoczucie. Czyli wracamy do motywu ukrytego niewolnictwa. A jak jeszcze dołożyć do tego politykę szefów, którzy wręcz narzucają interpretację konkretnych zjawisk i faktów, bo mają w tym swój polityczny interes...

Bolecki: Mam dużo negatywnych obserwacji dotyczących dzisiejszych mediów i ich dziennikarzy, ale

chcę powiedzieć bardzo wyraźnie: najważniejszym osiągnięciem

III Rzeczypospolitej są właśnie wolne media.



I to, że w ostatnim kilkunastoleciu tyle wiemy o sobie i o świecie, nie byłoby możliwe bez wolnej prasy i innych wolnych mediów. Inna rzecz, że to, jaki media robią z tego użytek, specjalnie mnie nie za-

chwycą. Bez wolnych mediów mielibyśmy jednak nadal opaskę na oczach i knebel na ustach. I to jest moja deklaracja: irytuje nas wiele rzeczy w mediach, ale ich wolność jest warunkiem demokracji. Proszę sobie wyobrazić, że wolność mediów zostanie ograniczona, na przykład w duchu polityki uprawianej przez Putina, która powolutku staje się wzorem dla władzy także i u nas, i wówczas możemy sobie mieć demokratyczne wybory, czyli demokrację formalną, ale będziemy żyli pod kłosem.

Nyczek: W pełni popieramy stanowisko profesora. Choć nie możemy się oprzeć podejrzeniu, że wolny handel usługami lepiej niż media

wykorzystał swoją wolność. Jest mianowicie więcej lepszych restauracji niż pism, nie mówiąc o telewizji, coraz bardziej niejadalnej.

Kornatowska: Mam mimo wszystko wrażenie, że pogoń za kasą wypacza w tej chwili prawie wszystko, co media zyskały w nowych czasach. W Łodzi ukazywał się jedyny tego typu dodatek kulturalno-artystyczny do „Gazety Wyborczej” – „Verte”. Łódź ma duże środowisko artystyczne, więc dodatek miał spory krąg odbiorców. Ale już go nie ma, bo zapewne nie przynosił zysków z reklam. A ja od jakiegoś czasu muszę co i raz dopłacać do egzemplarza „Gazety”, bo mi wciskają różne śpiewanki, Arki Noego albo jakieś pieśni o drużynach piłkarskich.

Bolecki: A kto Pani każe kupować „Gazetę” z płytą? Są gazety bez płyty.

Kornatowska: Kiedy ja sobie upodobałam „Gazetę”, ale bez płyt, a tu mi podtykają jakieś gadżety, żeby tylko zwiększyć sprzedaż, i to moim kosztem, bo ja muszę do tego interesu dopłacać.

Chłopecki: No, to już jest demagogia.

Kornatowska: Czy „New York Times” sprzedaje płyty?

Chłopecki: Ale kupuje też w nim Pani dwa i pół kilo różnych dodatków i ogłoszeń, które Pani od razu wyrzuca do kosza.

Kornatowska: W „Wyborczej” też kupuję, bo to należy do stałej ceny. A płyta jest dodatkowym kosztem jako dodatek do dodatku! Jeśli płyta zwiększa im sprzedaż, niech ją sobie dokładają, ale niech mi nie każą za nią dopłacać! Niech sprzedają egzemplarze bezpłytowe!

Bolecki: Pani Mario. Żyjemy w wolnym kraju. Kupowanie „Gazety Wyborczej” nie jest wpisane do konstytucji...

Kornatowska: Ale zostało wpisane do mojej kieszeni!!!

[Straszny wrzask się podnosi i nic już nie wiadomo].

Nyczek: Proszę państwa o spokój! Przypominam, że mamy mówić o wolności mediów, a nie wolnościach obywatelskich.

Chłopecki: No, dobrze. Czy istnieje niezależne dziennikarstwo? Szefie, czy jako etatowy pracownik różnych teatrów byłeś wolny jako krytyk? Czy kolega Dunin, właściciel wydawnictwa Lampa i Iskra Boża, ma poczucie niezależności jako dziennikarz kiedyś „Machiny”, teraz „Przekroju”? A czy ja sam, prowadząc różne audycje muzyczne i pisząc o muzyce przede wszystkim współczesnej, nie jestem w coś dwuznacznego zaplątany, bo miewam osobiste kontakty z różnymi kompozytorami? Kto ma tak całkiem czyste ręce i umysł? Chciałoby się niechciane – manipulacje są na każdym etapie. Nie ma się co za bardzo dziwić, że media też są uwikłane.

Kornatowska: To są sprawy sumienia poszczególnych ludzi, które każdy musi na własną rękę rozstrzygać. Wróćmy do medialnych

mechanizmów. Los pism filmowych bardzo zależy na przykład od dystrybutorów filmów. Dają reklamy, choćby. Jak krytyk ma się czuć wolny w swoich opiniach o jakichś filmach, drukując w gazecie, na którą pieniądze pochodzą od tych, którzy na owych filmach chcą zarabiać?

Dunin-Wąsowicz: W „Machinie” były swego czasu układy barterowe: wy wykupujecie u nas reklamę, a my publikujemy ekskluzywny wywiad z waszym artystą. Potem „Machina” trochę się wyzwoliła z tych zależności i można było rzetelniej oceniać płyty w odróżnieniu na przykład od „Tylko Rocka”, który totalnie dawał d...



Każda płyta była tam albo świetna, albo genialna, zwłaszcza jeżeli pochodziła

z koncernów fundujących wyjazdy zagraniczne

– żeby na przykład zrobić wywiad ze znanym artystą. Idealnym rozwiązaniem byłoby niewchodzenie w układy bezpośrednich zależności. Przedwojenne „Wiadomości Literackie” pisały o książkach, a reklamy dostawały od firm kosmetycznych.

Bolecki: Zaraz, zaraz. To jest wąska sprawa na styku pewnej branży z pismem quasi-branżowym. Natomiast pisarze czy wydawcy nie utrzymują pism literackich, malarze nie utrzymują pism o sztuce, teatr nie utrzymuje pism teatralnych, filharmonie nie utrzymują pism muzycznych, więc akurat ten przykład do tych pism nie pasuje.

Nyczek: No, niekoniecznie. Przez jakiś czas wysoce intelektualny miesięcznik „Res Publica Nowa” był dotowany przez Harlequina. W końcu wydawnictwo, cokolwiek by o tym nie myśleć.

Bolecki: Ale tu akurat nie było żadnej dwuznaczności, bo wzajemna usługa nie była dwuznaczna etycznie; w końcu nikt nie wymagał od „Res Publici” chwalenia autorów Harlequina, że wybitni i umysłowo na miarę profesora Kołakowskiego. Pismo dostawało pieniądze na życie, w zamian drukując na okładce logo Harlequina z napisem: „Kultura masowa kulturze wysokiej”.

Rypson: Są media powołane tylko po to, by robić pieniądze na pewnej gamie produktów. „Tylko Rock” nie różni się w moim przekonaniu od jakiegoś „Tylko Sedesu” czy „Twojej Łazienki”, ponieważ jest podłączony pod stru-

mień określonych towarów. Problem naprawę pojawia się wtedy, gdy deklarowana misja publiczna gazety czy telewizji zaczyna się rozmiąć z praktyką. Gazety zaczynają tworzyć dodatki mające służyć wyłącznie napędzaniu reklam, a łódzki dodatek pani Marii jest kasowany, ponieważ ich nie napędza. Wtedy mamy problem, bo pojawia się świadome lub nieświadome oszukiwanie czytelników. Zauważcie, że nie mówię o manipulacjach politycznych, bo to są rzeczy dobrze znane i prowadzone przez różne redakcje od zawsze.

Chłopecki: Z tymi misjami jest coraz większy kłopot. Tarcia na styku „misyjności” z dochodowością tylko się nasila, awantury o publiczną telewizję czy radio są na porządku dziennym. A media prywatne tego dylematu nie mają. „Nie” może sobie wypisywać dowolne świństwa i nikomu nic do tego, TVN puszczać w kółko „Big Brothera”. Problem się pojawia, kiedy widz albo czytelnik, którego przeżwanie nie obchodzi kwestie własnościowe, zaczyna mylić publiczne z komercyjnym. Tym bardziej gdy taka na przykład ściśle prywatna „Wyborcza” czy „Rzeczpospolita” przyzwyczaiła go do częstej obecności na łamach kwestii społecznych, etycznych itd. A potem nagle się okazuje, że i one mają jakieś swoje prywatne interesy, biznesy, kombinacje.

Nyczek: ...I na przykład w jednym numerze mojej ulubionej „Gazety” cały dział kultury zostaje zapełniony tekstami pięciu chyba autorów reklamujących... jeden spektakl Teatru Telewizji w reżyserii Andrzeja Wajdy. Rozumiem, gdyby szło tylko o wsparcie dla Narodowego Arcydziała, którym *nota bene* ten spektakl nie był. Ale sprawa nieco traci na szlachetności, gdy wiemy, że Wajda był jednym z ojców założycieli spółki Agora. Raczej niedźwiedzia przysługa, bo w sumie żenada.

Dunin-Wąsowicz: Z Wajdą jeszcze pół biedy. Są zabawniejsze sytuacje. Ta sama „Wyborcza” dwa lata temu weszła w promocję fascynującej płyty folkowej Brathanków, która spożytkowała folk polski, węgierski, czeski, rumuński i serbski. Superpłyta, świetnie się sprzedawała, ale po miesiącu okazało się, że najważniejsze kompozycje zostały zerżnięte z płyty wydanej na Węgrzech dwadzieścia parę lat temu. „Gazeta” sama pierwsza to odkryła, ale zamiast wprost napisać: przepraszamy, oszukano nas, weszliśmy w szemraną płytę, stwierdziła, że niby nieporozumienie, ale w ogóle to superpłyta i my teraz robimy wielki show z odnalezionym kompozytorem i odtwórcami.

Nyczek: To się nazywa inteligentne wyjście z twarzą.

Dunin-Wąsowicz: Może, ale dla mnie to było żenujące.

Bolecki: Zgodziliśmy się, że media w III Rzeczypospolitej ma-

ją wolność, która jest fundamentem życia publicznego. Czy sądzicie, że ta nasza wolność stworzyła coś, po czym się rozpoznaje wolne dziennikarstwo, mianowicie czy stworzyła wielkie osobowości, to znaczy autentyczne autorytety? Znakomitych dziennikarzy, świetne pióra, o których można powiedzieć: nie byłoby ich, gdyby nie ta wolność?

Dunin-Wąsowicz: Popatrzmy, jak to jest w książce Legutki i Rodziewicz. Z jednej strony wszystkie istotne afery mające wymiar ogólnospołeczny odkryła i opisała prasa, natomiast osobowości, które wygrywają w rankingach i plebiscytach na tak zwanych dziennikarzy roku, nie tylko w telewizji, ale również w pismach, to w ostatniej kolejności dziennikarze prasowi. Ludzie cały czas postrzegają dziennikarza jako prezentera, dobrze ubranego faceta albo przystojną niewiastę z telewizji, z dziennikarstwem niemających, szczerze mówiąc, wiele wspólnego. No i w branżowych pismach prasowych jeszcze się pisze o funkcyjnych – szefach, kierownikach. A kto wspomni o takim Pawle Walewskim z „Polityki”, dziennikarzu od publicystyki medycznej? Albo o Adamie Wajraku z „Wyborczej” zajmującym się publicystyką zwierzęcą i ekologiczną?

Kornatowska: To typowe dla kultury medialnej, że performer jest ważniejszy od autora.

Rypson: Pytanie było, czy wykreowano nowe postaci, które wnoszą jakąś wartość w życie publiczne. Bo to, że różne szczebelki rządzą wyobraźnią zbiorową, wygląda na rzecz dowiedzioną.

Bolecki: Czyli zgadzamy się, że dziennikarze nadal bardzo silnie są związani z mediami preferującymi określoną opcję – środowiskową lub polityczną. Nawet transfery personalne między pismami czy telemediami są spektakularne jedynie na poziomie wydarzeń towarzyskich, a nie merytorycznych. Poza nielicznymi nie widzę dziennikarzy, którzy bez względu na miejsce swych publikacji zachowywaliby niezależność, czyli po prostu suwerenność. Pisma stały się przez to bardzo przewidywalne i trudno znaleźć w nich komentarze, które by nas nagle zaskoczyły nowym głosem, nową opinią.

Zielińska:

Gdzie są nasze czy nasi Oriany Fallaci? A nawet jeśli taka niezależna postać się pojawia,



powiedzmy Ryszard Kapuściński...

Dunin-Wąsowicz: ...Stefan Bratkowski chyba też...

Zielińska: ...to akurat ich nie wyprodukowała III Rzeczpospolita, tylko poprzednia epoka, co jest dziwne i może politycznie niepoprawne, ale prawdziwe.

Nyczek: To może być puenta naszej rozmowy: że wciąż nam brak niezależnych,

wielkich dziennikarzy, którzy mogą się pojawić wszędzie na prawach własnych, a nie na warunkach danego medium.

Bolecki: I że ta niezależność i autorytet zostaną przez wszystkie media uszanowane. Mam wrażenie, że do tego jeszcze nie dorośliśmy.

Kornatowska:

Wciąż za mało jest w ludziach osobistej niezależności. Może



ta wolność musi potrwać trochę dłużej, głębiej się zakorzenić.

Nyczek: Zakorzeniajmy więc ku chwale ojczyzny. A na razie rozejdźmy się w pokój, amen.

„Salon W.” tradycyjnie dziękuje klubowi Bagatela przy warszawskiej Bagateli za tradycyjną gościnę.



Książka z książki

Autorka „Harry’ego Pottera” Joanne K. Rowling,
powołując do życia fikcyjne książki, podąża tropem Romana Bratnego

Widmowych książek istniejących jedynie w fikcji literackiej jest multum. W Polsce prym wiedzie w tym Stanisław Lem – wyłącznie fikcyjnym książkom poświęcone są jego „Wielkość urojona” i „Doskonała próżnia”. Zdarza się również, że autor książki prawdziwej opisuje własne dzieło jako utwór nieistniejący.

W większości przypadków książka realna poprzedza fikcyjną. Tak działo się na przykład, gdy Melchior Wańkowicz w „Drodze do Urzędowa” zapragnął zacytować proroczy fragment z własnej książki „Na tropach Smętka”. Wprowadził wzorowaną po części na sobie postać Jana Haukego, autora rozprawy „Wotan w Gänsepromenade” zawierającej identyczne wizje zagonów niemieckich czołgów i samolotów pokrywających mapę Polski, jak właśnie te ze „Smętka”.

Wydawane właśnie i u nas książki Joanne K. Rowling „Quidditch przez wieki” i „Fantastyczne zwierzęta i jak je znaleźć” to przypadek odwrotny. Pozytywnie się pojawiły się najpierw wśród kilkudziesięciu tytułów powołanych do życia przez tę pisarkę razem z całym czarodziejskim światem Harry’ego Pottera jako jego ulubione lektury. Przez parę lat były wyłącznie książkami widmowymi. Kiedy Rowling pokusiła się je napisać i wydać, fikcja literacka zdobyła kolejny przyczółek w rzeczywistości. Wcześniej bowiem na rynku pojawiły się potterowskie słodycze, jak czekoladowe żaby oraz fasolki „Bertie Botts” o zdumiewających smakach (niestety, zabrakło wśród nich wymienianego w pierwszym tomie

przygód Pottera smaku wymiocin; czyżby właśnie dlatego nie osiągnęły w moim osiedlowym supermarkecie sukcesu handlowego i trafiły na precenę?).

To przenikanie się fikcji i rzeczywistości dostrzegamy wyraźniej dopiero w przypadku takiego megabestsellera jak cykl książek o Harrym Potterze. Wcześniejsze doświadczenia tego typu pozostają jedynie w pamięci wytrwałych moli książkowych. A przecież nawet nasza najnowsza rodzima literatura zna takie przypadki. Czymże jak nie urealnieniem fikcji było ćwierć wieku temu wydanie przez Romana Bratnego „Pamiętnika moich książek”, dzieła o tytule wymienianym jako tytuł zapisków Czernego – bohatera jego wcześniejszej powieści „Życie raz jeszcze”? Podejrzewać należy też, że za autorem książki Paula Scarrona Jr. „Piąty jeździec apokalipsy” kryje się Andrzej Bart, który cztery lata temu w swojej powieści „Pociąg do podróży” wspominał „Piątego jeźdźcę...” – kilka miesięcy przed jego ukazaniem się na księgarskich półkach.

Spośród fikcyjnych autorów nieistniejących książek niewątpliwie najciekawsza przygoda przydarzyła się jednak Kilgore’owi Troutowi, bálnemu pisarzowi *science fiction* wymyślonemu przez Kurta Vonneguta. W „Rzeźni numer 5”, „Niech Bóg pana błogosławi, panie Rosewater” i „Śniadaniu mistrzów” naliczyłem aż 15 „wydanych” przez Trouta książek. Nie ma jednak wśród nich dzieła „Venus on the Half-Shell”, która pod nazwiskiem Trouta naprawdę ukazała



się w roku 1975, kiedy to nazwisko od Vonneguta wypożyczył Philip José Farmer i opublikował pod nim własną powieść.

Troutowi przydarzyła się jednakże również najmniej ciekawa przygoda. W polskim przekładzie ostatniej powieści Vonneguta „Trzęsienie czasu” niefrasobliwy tłumacz (niech jego imię zostanie zapomniane) konsekwentnie przełożył to nazwisko na polski. I tak oto w klasycznych powieściach występuje Kilgore Trout, a w najnowszej... Pstrąg Zabijucha. Czy jedyna pociecha w tym, że w każdej ze swoich książek Vonnegut podaje inne daty urodzin (a czasem także śmierci) swojego ulubieńca?

PAWEŁ DUNIN-WĄSOWICZ



Na świętego Güntera



Kiedys 4 grudnia był dla mnie zwykłym dniem tygodnia. Wszystko się zmieniło po tym, jak przyjechałem do Polski. Okazało się bowiem, że właśnie w ten dzień wypadają imieniny Krystiana. Ludzie się trochę dziwią, kiedy mówię, że obchodzę imieniny w Barbórkę. Mało kto o nich pamięta i często wychodzę w tym dniu na minus – w końcu trzeba ludziom w pracy jakieś ciastka kupić z tej okazji – ale ważne jest to, że mogę świętować imieniny tak jak Polacy.

Imieniny to prawdziwy as w rękawie dla Polski, która zrobiła z nich zbyt mały użytek w czasie negocjacji unijnych. Proszę sobie wyobrazić: Bruksela, 10 w nocy, burzliwa dyskusja na temat okresów przejściowych dla polskich rolników, zerowe szanse kompromisu, wszyscy są zmęczeni – nagle ktoś z polskiej delegacji wstaje i mówi: „A tak w ogóle, Panie Günterze, to przecież dzisiaj są pańskie imieniny. Wszystkiego najlepszego!”. Wszyscy zaczynają śpiewać „Sto lat”, ktoś wręcza mu kwiaty, może też jakiś pamiątkowy album o warszawskich Łazienkach. A gdyby jeszcze wódkę postawiono na stole dyskusyjnym, to kto wie, ile można byłoby wtedy dla polskiej sprawy wywalczyć. Zaś unijni dygnitarze mogliby się zawsze tłumaczyć tym, że w ogóle nie pamiętają, jak to się stało, że zgodzili się, by Polska dostała pełne dopłaty dla swoich rolników z dniem jej wejścia do Unii.

Ekspert od marketingu zastanawiają się ostatnio, jak należy promować Polskę na świecie. Nic prostszego – cały plan marketingowy powinien być oparty na wprowadzaniu powszechnego programu imieninowego w krajach europejskiej Piętnastki. Tylko jak by to miało funkcjonować?

Pierwszy problem to oczywiście to, że nie wszystkie imiona mają swoje święto. Należałoby powołać komisję, która odgórnie decydowałaby o tym, w jaki dzień są świętowane poszczególne imiona. Tam, gdzie dane imię nie ma polskiego odpowiednika, komisja wskazywałaby, jaki polski odpowiednik najbardziej przypomina imię wnioskodawcy. Wayne na przykład mógłby obchodzić imieniny w dzień świętego Wawrzyńca, co gwarantowałoby ogólną wiedzę na temat daty świętowania.

Ważne byłoby dbanie o to, żeby imieniny miały prawdziwie polską oprawę. Obowiązkowe spożywanie szarlotki, makowca, szynki, śledzi marynowanych oraz polskiej wódki mogłoby znacznie pomóc polskiemu eksportowi. Słynne



Guillermo MORDILLO

„Sto lat” należałoby przetłumaczyć na wszystkie języki unijne (a więc Francuzi śpiewaliby „Cent ans, cent ans”), łącznie z tradycyjnym „Zdrowie gości” oraz „Nie, nie, zdrowie gospodarzy”. Dobrze byłoby też, żeby chociaż część gości fałszowała, tak by impreza była jak najbardziej autentyczna. Komisja mogłaby nawet postarać się o to, żeby wydać listę proponowanych tematów rozmowy: rząd, pogoda, „Złotopolscy”, „Klan” oraz czy ta wasza Zośka kiedykolwiek wyjdzie za mąż?

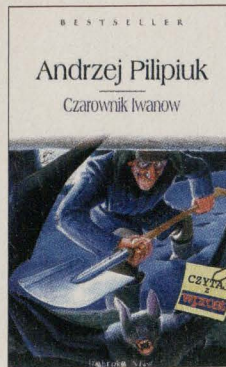
Najprawdopodobniej każdy obywatel musiałby zdecydować, czy chce obchodzić urodziny, czy też imieniny (świętowanie i imienin, i urodzin mogłoby grozić utratą zbyt dużej liczby dni roboczych w ciągu roku), i wszelkie te informacje zostałyby umieszczone w wielkiej bazie danych imieninowych. Oczywiście, firmy

z branży sprzedaży wysyłkowej, banki, firmy ubezpieczeniowe itd. miałyby dostęp do tej bazy, tak żeby nękać klienta nową formą korespondencji („Drogi kliencie. Wszystkiego najlepszego z okazji imienin. Czy wiedziałeś, że aż 17 proc. imienin w Belgii kończy się przedśmieniem? Z myślą o tobie stworzyliśmy specjalną polisę...”).

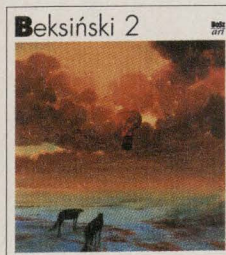
Tak naprawdę to chyba źle zrobiłem, że nie opublikowałem tego artykułu później, na przykład w listopadzie – znowu nikt nie będzie pamiętał o święcie mojego patrona. Ale naprawdę zależało mi na tym, żeby właśnie teraz było o tym tak polskim zwyczajem głośno. Póki trwają negocjacje z Unią. No, bo kto wie, może Günter jeszcze nie miał imienin w tym roku?

Christiaan van Lierop

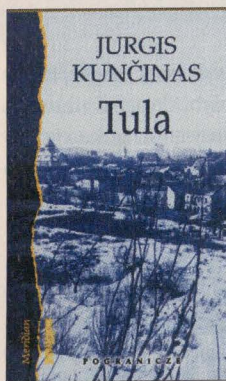
Polski Anglik



Andrzej Pilipiuk
„Czarownik Iwanow”,
Fabryka Słów, Lublin 2002



„Beksiński 2”,
komentarze Wiesław Ochman,
Wiesław Banach,
Bosz art, Olszanica 2002



Jurgis Kunčinas „Tula”,
przel. Alicja Rybalko,
Pogranicze, Sejny 2002

Latem nasze mózgi parują, w związku z czym słusznie zabrania się czytania w lecie mądrych książek. Na szczęście, wydawane są także książki wyjątkowo niemądre, wręcz głupie. Drugi tom opowieści młodego lubelskiego archeologa o wiejskim egzorcystie-bimbrowniku Jakubie Wędrawyczu odznacza się zarówno wyjątkową głupotą, jak i nieodpartym urokiem. Autorowi niewątpliwie udało się powołać do życia oryginalnego bohatera i osadzić go więcej niż sprawnie w realiach województwa chełmskiego lat 80., z wierzącym w duchy gminnym sekretarzem PZPR, przyglupim komendantem posterunku milicji oraz sklepem cierpiącym na permanentny niedostatek miedzianego drutu. Bulwersować może jedynie to, że w odróżnieniu od takiego Kira Bułyczowa (którego siemiężna prowincjonalno-sowiecka fantastyka „Opowiadań gulsarskich” może stanowić najbliższe odwołanie) Pilipiukowi fantastyczna konwencja służy głównie do łamania jej zasad. Anachronizmy (duch słowiańskiego pogańskiego kapłana używa z powodzeniem broni palnej z mocno późniejszych czasów) przyjmujemy z całym dobrodziejstwem inwentarza. Gdyby zatem współczesna, rubaszna polska kultura wiejska oprócz muzyki disco polo wytworzyła również swoją literaturę, Pilipiuk byłby jej Kingiem (dosłownie i w tłumaczeniu na polski). Do czytania w temperaturze powyżej 25 stopni znakomite! (PDW)

Ileokroć za PRL-u udało mi się wyjechać na Zachód, godzinami przesadywałem w księgarniach, najbardziej zazdroścąc nie tyle tego, że wszystko można było dostać, ile – albumów o sztuce. Każdemu szanującemu się artyście z nazwiskiem wydano ich kilka albo i kilkanaście, pięknie i z uwaganiem. I kiedy trzymam teraz w ręce ósmy albo i dziesiąty z kolei album poświęcony Zdzisławowi Beksińskiemu, myślę, że akurat ten malarz miał wyjątkowe szczęście. Choć nie ma z czego się tak cieszyć – większość wyszła na Zachodzie: we Francji, Niemczech, Ameryce. Pan Bogdan Szymanik, szef ekskluzywnej firmy Bosz, ma ambicję dorównania na rodzimym gruncie tamtym edycjom. Trzy lata temu wydał pierwszy ze swoich albumów, teraz „Beksińskiego 2”. W środku znajdziemy wybór dawnych rysunków węglem z lat 70., potem przegląd ze wszystkich okresów twórczości malarskiej Z.B. aż po ostatnie prace – fotomontaże komputerowe. Coś dla entuzjastów i coś dla wrogów, bo wobec tej sztuki nikt nie pozostaje obojętny. Jeśli marzyłbym o czymś jeszcze, to o porządnym wyborze rysunków – od lat 50. do dziś. Beksiński jest bowiem rysownikiem absolutnie genialnym i każdy gatunek rysowania spośród przezeń uprawianych to klasa mistrzowska sama dla siebie. Może „Beksiński 3”? (TN)

Tula to imię dziewczyny i tytuł nostalgicznej historii, która „dręczy, drażni i zmusza duszę do krzyku” jak ballada wyśpiewana przez pijaka waga-bundę. Oniryczna opowieść o wileńskim Zarzeczcu i o miłości idealnej, ale nieszczęśliwej, która mogła się zdarzyć tylko wśród zapuszczonych, mrocznych zaułków historycznego miasta. Miejscami smutna jak łagrowa piosenka, czasami dosadna jak męski żart powieść Jurgisa Kunčinas urzeka zmysłowym opisem kulturowego pogranicza. Pokrewna prozie Babla czy Jerofiejewa wydaje się też bliska polskiej tradycji romantycznej. Dwoje kochanków jest sobie przeznaczonych, ale pozycja społeczna i fatalizm losu udaremniają ich miłość. Galerii barwnych mieszkańców Wilna – artystów, zdegradowanych inteligentów i mementów – przedstawił Kunčinas na tle nieznośnie bezstylowej epoki schyłkowego komunizmu. Litwa lat 80. to, co prawda, jak píše ironicznie: „kulturalny Zachód, gdzie ludzie – trzeźwi i uśmiechnięci – chodzą po chodnikach, piją kawę i nie pluą na trawniki”. Pobyt na oddziale odwykowym, a potem w więziennej kolonii dla alkoholików i włóczęga przez Ukrainę na Krym podsycają tylko wspomnienia bohatera o utraconej miłości. (MB)

140 perełek

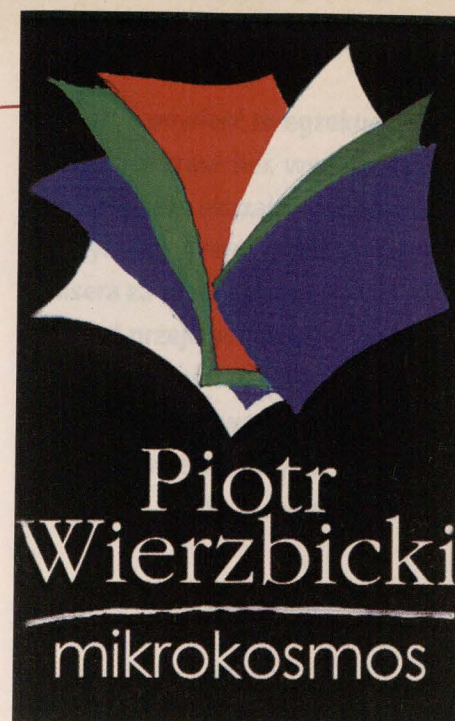
Wszystko,
co dobre – cieszy,
ale dobry felietonista
cieszy najbardziej

Felietonista to bowiem sól czasopisma, sam jego smak i esencja. Dobry felietonista jak magnetycznie piękna kobieta przyciąga spojrzenia i uwagę czytających pań i panów. Dobry felietonista sprawia, że strona pisma, na której drukowany jest jego felieton – niezależnie, czy mieści się ona w środku, z tyłu, czy z boku – staje się stroną flagową, pierwszą i bardziej tytułową niż strona okładowa! Dla dobrego felietonisty publika gotowa kupić niedobłą gazetę!! Dobry felietonista może liczyć na sprawowanie rządu dusz!!!

I dlatego o dobrego felietonistę było, jest i będzie – trudno. To nie byle pismak, który zasiada „z pustą głową do maszyny”, by „wykrzesać z niczego fajerkę suto zaprawionych humorem osobistych refleksji, obserwacji i skojarzeń”. To także nie „narodowy kaznodzieja” czy „notoryczny ironista”.

Rasowy felietonista to ktoś, kto „patrzy trochę na skos, nosi się nieco na bakier, jest odrobinę poza” i kto zarazem lubi, gdy „tematy uzupełniają się i urozmaicają, nawijają się i przeplatają, gdy się rozpierają w wachlarz szeroki jak Wszechświat”.

Zacytowane tu sformułowania i definicje pochodzą z „Przedmowy, czyli małego traktatu o felietonie” autorstwa Piotra Wierzbickiego zamieszczonej w wyborze jego felietonistyki z ostatniego 30-lecia. Urodzony w roku 1935 Wierzbicki znany jest dzisiaj głównie jako redaktor naczelny radykalnej „Gazety Polskiej”, niegdysiejszy apologeta, a następnie najgorętszy krytyk Lecha Wałęsy. Pamiętany też jest jego „Traktat o gnidach” (1979),



szyderczy pamflet na inteligentów i intelektualistów służących wobec realnie socjalistycznego ustroju PRL-u. Ale przecież od roku 1972, od samego początku swej felietonistycznej kariery, należy Wierzbicki do najściślejszej czołówki polskich felietonistów. Początkowo związany z tygodnikiem „Literatura”, od roku 1977 swoje felietony publikuje w towarzystwie klasyka Stefana Kisielewskiego – Kisielewskiego na ostatniej stronie „Tygodnika Powszechnego”.

140 wybranych przez autora do „Mikrokosmosu” miniatur nie układa się jednak w „kronikę 30-lecia”, w dziennik „polskich przemian ustrojowo-obyczajowych”. Owszem, Wierzbicki zaznacza, które teksty były drukowane w „Literaturze”, które w „Tygodniku Powszechnym”, które w „Zapisie”, które w „Tygodniku Solidarność”, a które w „Gazecie Polskiej”, ale tylko z rzadka dokładnie określa datę czy okoliczności powstania tekstu. Bowiem tak naprawdę czas i miejsce opisywanych zdarzeń nie są dla tej książki najistotniejsze. Nie mamy bowiem do czynienia z publicystyką, ale z literaturą refleksyjną wysokiej marki. Piotr Wierzbicki jawi się tutaj jako prekursor tego gatunku prozatorskiego, który współcześnie z wielkim powodzeniem uprawiają Andrzej

Dobosz, Jerzy Pilch czy Zbigniew Mentzel. To bractwo poszukiwaczy felietonowej „formy bardziej pojemnej”, choć zarazem formy niezwykle skondensowanej.

I książka Wierzbickiego to właśnie ciąg przejmujących i prze zabawnych medytacji nad duchowością i mentalnością polską i ludzką, medytacji ubranych w szlachetne i funkcjonalne szaty felietonu. To na przykład pochodzący sprzed co najmniej ćwierćwiecza felieton pod tytułem „Prze-grali, ale wygrali”, który jest wyliczanką groteskowych argumentów na rzecz potęgi nieustannie dostających manto polskich sportowców. Wyliczanką boleśnie aktualną w dobie azjatyckich popisów naszych futbolistów.

To prześmieszny i jeżący włos na głowie tekst „U znajomych” – o dziecku, które za sprawą świętego wychowania miało nie płakać, a ponieważ jednak płakało, to rodzice zrobili wszystko, aby utrzymać ów płacz w niebycie.

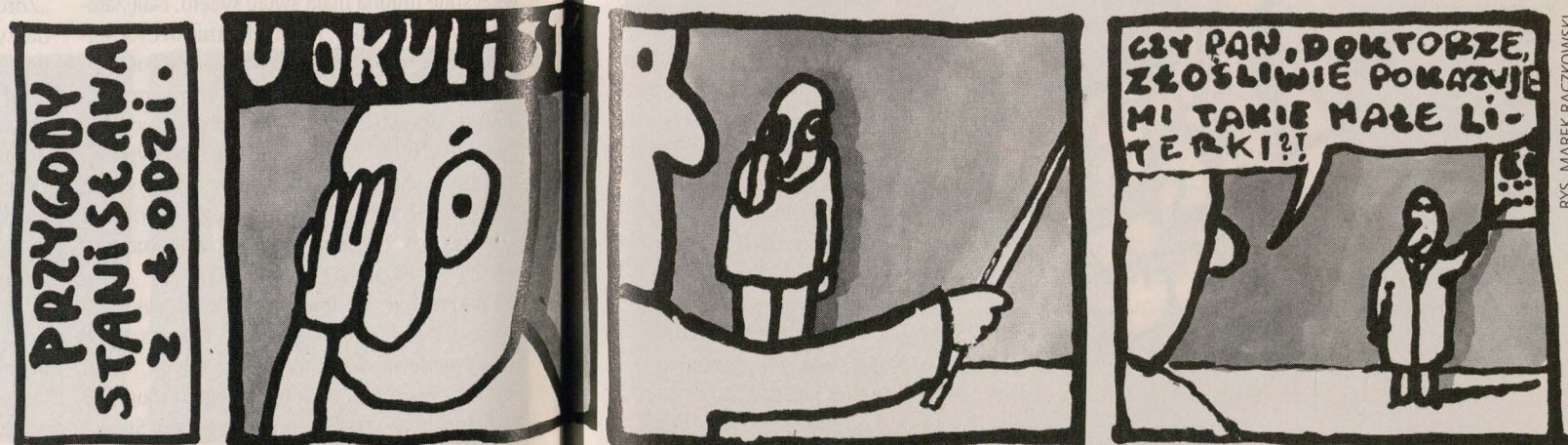
To wreszcie znakomite cykle opowieści o Antonim Czechowie, fizjologii kłamstwa czy tak zwanym szarym człowieku, którego odbiorów nie jest wielką zasługą Wierzbickiego.

Lektura „Mikrokosmosu” Piotra Wierzbickiego wskazana jest dla wszystkich – ci, którzy mają w głowie jego gotowy stereotyp jako radykała-pamflecisty, spotkają się z mądrym i dowcipnym myślicielem. Ci, którym Wierzbicki w ogóle nie jest znany, znajdą autora, na którego teksty będą z niecierpliwością czekali. Tych, którzy go czytali, przekonywać o pożytkach płynących z tej lektury już nie trzeba.

PS Jako sumienny recenzent muszę uprzedzić Czytelników, że w chwili obecnej mogą mieć do czynienia z trzema książkami o podobnych tytułach: z omówionym powyżej „Mikrokosmosem” Piotra Wierzbickiego, z „Mikrokosmosem” Normana Daviesa (ta jest monografią Wrocławia) i wreszcie z „Mikrokosmosami” Claudia Magrisa (opowieściami znad Adriatyku, których fragment opublikowaliśmy w „P” 15/2002).

MARCIN BARAN

Piotr Wierzbicki „Mikrokosmos”,
Alfa, Warszawa 2002



Komitet Nagród Państwowych,
„Nagrody państwowe w latach
1949–1955, 1964–1972 – Informator”.
Zakład Narodowy im. Ossolińskich,
Wrocław – Warszawa – Kraków
– Gdańsk 1973, 282 s.

„Witam, witam pana redaktora, co za szczęśliwy traf, że szanowny pan redaktor wstąpił dziś w moje niskie progi...” – pan Krzysztof wylewnymi gestami zapraszał mnie do środka budy. Na stercie książek w kącie ujrzałem małą szachownicę, na której sam ze sobą rozgrywał partię błyskawiczną. Nie przerywając gry, wyciągnął ze sterty informator Komitetu Nagród Państwowych oprawiony w brązowe płótno. „Oto i książka specjalnie dla pana redaktora, książka, której okazyjny zakup pozwoli szanownemu panu obalić tezę o katastrofalnym stanie czytelnictwa w Polsce”. Otworzyłem informator na chybił trafił i na stronie 129 odkryłem nieznaną mi fakt, że w roku 1953 nagrodę państwową trzeciego stopnia w dziedzinie literatury otrzymał, obok Heleny Bobińskiej za powieść „Soso”, Stefan Srebrny za przekład „Tragedii” Ajschylosa. „Całą prawdę o Peerelu znajdzie pan tutaj między wierszami, panie redaktorze. Prawdę o pionkach i figurach” – na szachownicy czarne zaczynały zdobywać przewagę. „Zapewne wie pan, panie redaktorze – gesty pana Krzysztofa były coraz gwałtowniejsze – że na mocy rozporządzenia prezesa Rady Ministrów odznaka nagrody państwowej w Peerelu wyobrażała gwiazdę ośmioramienną, że każde ramię gwiazdy tworzyło trójkątkowy kwiat o kształcie lilii, lilie zaś połączone połączonym metalem układały się w kształt liścia koniczyny... Czy nie brakuje panu tutaj jeszcze czegoś, panie redaktorze, ależ brakuje, z całą pewnością brakuje najistotniejszej symboliki, pozwoli pan, że go wyręcę w odpowiedzi, brakuje tutaj kija i marchewki...” „Ile kosztuje ta pozycja, panie Krzysztofie?” – zapytałem. „Niestety, mam złą wiadomość dla pana redaktora – odpowiedział. – Całe trzy złote, a w dniu dzisiejszym żadne upusty nie są przewidziane”. Zapłaciłem, ile zażądał. Zamknąwszy budę, ruszył do pobliskiego sklepu.

ZBMENTZEL@WP.PL



„Pańska powieść to egzekucja” – napisał w liście otwartym do Martina Walsera, wybitnego niemieckiego pisarza, Frank Schirrmacher, wydawca „Frankfurter Allgemeine Zeitung”. Książka Walsera zatytułowana „Śmierć krytyka”, choć drukiem ukazała się dopiero 26 czerwca i zwykłym czytelnikom znana była dotąd tylko z prasowych omówień, zdążyła już wywołać bezprecedensowy skandal literacko-polityczny. Znaczna część niemieckich elit uznała powieść Walsera za niewybredną satyrę na „papieża” krytyki literackiej Marcela Reicha-Ranickiego występującego w książce pod przejrzystym pseudonimem André Ehrl-Königa. Co gorsza, autora oskarżono o antysemityzm, a opisane w powieści (rzekome) zabójstwo krytyka żydowskiego pochodzenia niektórzy komentatorzy potraktowali jako wezwanie do mordu na Żydzie. Trudno dziś w Niemczech o cięższe zarzuty. Odgłosy burzy wokół „Śmierci krytyka” trafiły już na łamy polskich gazet. Przedstawiamy fragment powieści, przekonani, że nie wypada o czymkolwiek wyrokować, nie zapoznawszy się z przedmiotem sporu.

ŚMIERĆ KRYTYKA

MARTIN WALSER

PRZEŁOŻYŁA KRYSZYNA WIERZBICKA

RYUNKI DMITRIJ SZEWIONKOW-KISMIEŁOW

Byłem w Amsterdamie, gdy to się wydarzyło. Zaprosił mnie Joost Ritman, abym obejrzał jego zbiory. Nie znam żadnej osoby prywatnej, która zgromadziłaby tyle wyjątkowych pozycji z dziedziny mistyki, kabały, alchemii i różokrzyżowców, co Joost Ritman. Zatrzymałem się w hotelu Ambassade, w którym zawsze się zatrzymuję, gdy jestem w Amsterdamie, czytałem przy śniadaniu dziennik „NRC”, który zawsze tu czytam, i dowiedziałem się, że Hans Lach został aresztowany. Pod zarzutem morderstwa. Mimo że mam żelazny zwyczaj czytania tylko miejscowych gazet w czasie wypoczynku za granicą, od razu kupiłem „Frankfurter Allgemeine”. Tam przeczytałem, że najnowsza książka Lacha „Dziewczyny bez paznokci u stóp” została ostro skrytykowana przez André Ehrl-Königa w jego znanym i popularnym telewizyjnym *show* SPRECHSTUNDE. Autor podobno ordynarnie zaczął krytykę, gdy ten, jak zwykle po swoim *show*, pojawił się w Bogenhausen w willi Ludwiga Pilgrima, Ehrl-Königowego wydawcy. Jeszcze nie wiadomo, jakim w ogóle sposobem udało się Lachowi wejść na imprezę, którą wydawca Ehrl-Königa urządził w swojej willi po każdym wydaniu SPRECHSTUNDE. Nie było Hansa Lacha na liście gości, gdyż nie leży w zwyczaju zapraszać na tę imprezę autorów dopiero co „przerobionych” w SPRECHSTUNDE Ehrl-Königa. Hans Lach wprawdzie również publikuje w PILGRIM Verlag, lecz tego wieczoru zgodnie z zasadami wydawnictwa nie mógł być obecny. Podobno Hans Lach chciał z miejsca rzucić się na André Ehrl-Königa. Gdy dwóch ochroniarzy wyprowadziło Lacha na zewnątrz, wykrzyknął: Skończył się czas bierności. Pan Ehrl-König niech uważa. Dziś w nocy po godzinie 0.00 nastąpi uderzenie w odwecie. Ten sposób wyrażania wywołał wśród gości, którzy wszyscy bez wyjątku związani byli z literaturą, mediami i polityką, więcej niż zdziwienie, właściwie nawet wzburzenie i odrazę, w końcu powszechnie

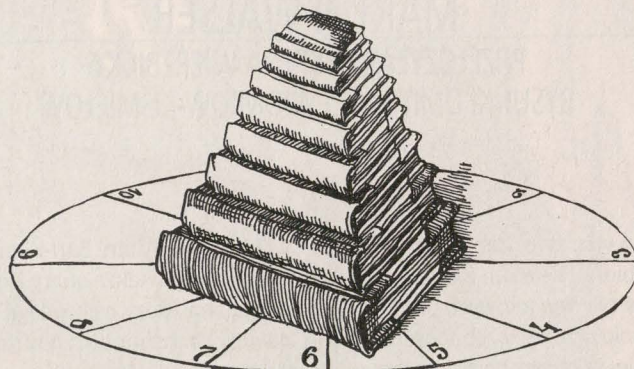
wiadomo, że André Ehrl-König do swoich przodków zalicza również Żydów, w tym także ofiary Holocaustu. Na chłodnicy Ehrl-Königowego jaguara, który następnego dnia wciąż jeszcze stał przed willą wydawcy, znaleziono słynny żółty kaszmirowy pulower krytyka noszony przez niego zawsze na ramionach w trakcie telewizyjnego *show*. Po André Ehrl-Königu ani śladu. Tej nocy spadło prawie pół metra świeżego śniegu. Monachium w śnieżnym chaosie. Już w dzień potem padło podejrzenie na Hansa Lacha, a ponieważ nie przedstawił żadnego alibi oraz nie odpowiadał na żadne pytania, został aresztowany. Znajduje się podobno w stanie szoku.

Gdy to czytałem, nie mogłem nawet spokojnie zaczerpnąć tchu. A jednak wiedziałem, że Hans Lach tego nie zrobił. Takie rzeczy się wie, skoro już raz pojęło się człowieka uczuciem. I pomimo że mało wiem o przyjaźniach Lacha, to gdy to czytałem, czułem tylko jedno: on nie ma poza tobą żadnego przyjaciela. Od razu zadzwoniłem do Joosta Ritmana i powiedziałem, że muszę wracać do Monachium. Gdy chciałem dodać, dlaczego muszę od razu wrócić, zauważyłem, że nie potrafię się tym tak po prostu podzielić. Powiedziałem: Mój przyjaciel w potrzebie. Czasami człowiek mówi jak cudzoziemiec, gdy usiłuje być dokładny. (...)

Nauczyłem się rozpoznawać po głosie, czy mój rozmówca sądzi, że Hans Lach byłby zdolny do takiego czynu, czy nie. Nikt nie mówił: To był on. Silbenfuchs oczywiście też tak nie mówił. Ciekawe było to, że zawsze zastrzegano się, zapewniając o niewinności Lacha. Sens: Któż tak naprawdę poznał człowieka! Czyż nie każdy z nas jest mordercą, który nie popełnia swego czynu! Najdalej poszedł Bernt Streiff w jednej z pierwszych rozmów telefonicznych. Gdyby on, Streiff, spotkał JEGO, mianowicie Ehrl-Königa, tuż po programie, w którym Ehrl-König nazwałby jego, Streiffa, najniemiłosierniejszym nudziarzem

njemieckiej literatury współczesnej, gdyby to spotkanie miało miejsce na raczej ciemnej ulicy, to on, Streiff, nie ręczyłby za siebie. I zacytował zdanie, które teraz wszyscy cytowali, to zdanie, którym Ehrl-König rozpoczął swój program wiadomego wieczoru. Oczywiście zaopatrzyłem się do tego czasu w kasety i obejrzałem ten program nie tylko raz, lecz po wielokroć. Przystudiowałem ceremoniał wystąpienia. Widzowie siedzą w prawie ciemnym półkolu, oświetlonym jedynie na tyle, by ludzie mogli się wzajem dojrzeć i wspólnie przeżywać. Pojawia się Ehrl-König w ostrej smudze światła, kroczy wzdłuż rzędów siedzeń, wstępuje po trzech schodkach na scenę, za nim jego asystentka telewizyjna Beatrice, która, jak twierdzi profesor, naprawdę nazywa się Inge. Beatrice czeka, aż Ehrl-König wejdzie po dwóch dalszych schodkach na swój fotel. To ładna imitacja w stylu *empire*, jasne drzewo, przywodzi na myśl marmur, złote rowki i liście, symbole Zeusa (orzeł i błyskawica), cztery nogi zakończone lwimi łapami, które stoją na czterech cokółkach z książek. Być może są to atrapy. W każdym razie dwie łapy trochę zapadają się w skórzane okładki książek. Grzbiety książek są tak oświetlone, aby można było przeczytać, na czym tronuje Ehrl-König: „FAUST”, „EFFI BRIEST”, „CZARODZIEJSKA GÓRA”, „BERLIN ALEXANDERPLATZ”. Wejściu towarzyszy muzyka.

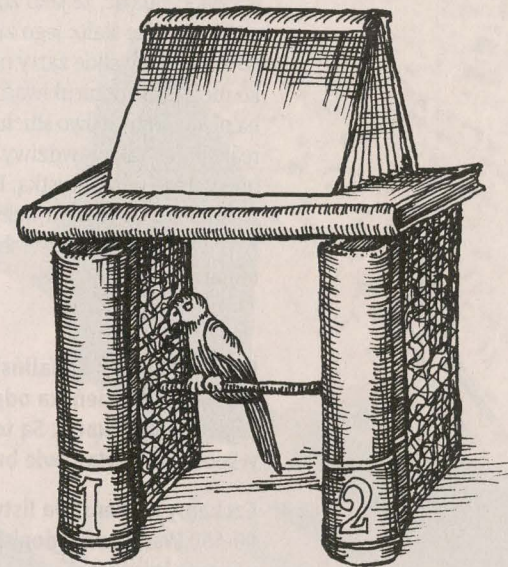
Händel, jakiś podniosły utwór. Ehrl-König stoi w sposób wręcz uroczysty koło fotela. Gdy muzyka przestaje grać, zajmuje swe miejsce wśród powitalnych gestów. Pojmujemy: stał przez szacunek dla muzyki. Obok fotela-tronu. Skoro już zasiadł, Beatrice podchodzi do stołu, bierze stamtąd książkę i podaje Ehrl-Königowi. On ją bierze, może ją odłożyć na stolik o wysokich nogach, jeśli nie chce jej dłużej trzymać w rękach. Ale może też w każdej chwili wziąć ją z powrotem, aby coś w ten sposób udowodnić. Beatrice, gdy Ehrl-König trzyma już książkę, wprowadza gościa-niespodziankę, któremu wolno usiąść na czymś w rodzaju stołka barowego z okrągłym oparciem, tak, że może zwracać się zarówno w stronę Ehrl-Königa, jak i w stronę publiczności. Sama Beatrice siada za nimi z boku, śledzi wszystko z uwagą i sprawia wrażenie w każdej chwili gotowej do dalszych usług. Gdy gość-niespodzianka został powitany wyraźnym gestem przez Ehrl-Königa i zajął swoje miejsce, Ehrl-König mówi (widocznie za każdym razem): Późno przybywam, ale przybywam. To jest sygnał dla ludzi w szerokim półkregu: wszyscy klaszczą z entuzjazmem. Ehrl-König uśmiecha się jak smakosz. Teraz pada pierwsze zdanie. Słowa rozpoczynające tamten program znałem już dawno na pamięć, gdy Bernt Streiff mi je zacytował: Dlaczego Hans Lach miałby pisać dobre książki, dopóki ma wydawcę, który potrafi dobrze sprzedać zle? I zaśmiała się publiczność siedząca szerokim półkregiem przed nim, prawie naokoło niego i trochę niżej niż on. On na to: Tak, śmiecie się, drogie panie i szanowni panowie, poprzednim razem, pamiętają państwo: tematem był Botho Strauss, zacząłem: Kto jest sławny, może opublikować każde gówno! I założy się z państwem, o co tylko państwo zechcą, że teraz właśnie jakiś profesor stara się udowodnić mi, że krytykuję zbyt ostro, bo chcę, aby mnie potem wszędzie cytowano. Mogę tylko odpowiedzieć: Panie profesorze, mdła krytyka mi nie odpowiada. I wszyscy się zaśmiali. Nie wziąłem tego do siebie, powiedział profesor Silbenfuchs, ale rzeczywiście zagajenia Ehrl-Königa za każdym razem stają się powszechnie używanym cytatem. Ale też



raczej w mowie niż na piśmie. Właśnie w mowie, bo Ehrl-König jest tak łatwy do naśladowania, że nie trzeba mieć do tego żadnych aktorskich umiejętności. Silbenfuchs, jak sam podkreśla, z poczucia obowiązku bierze w tym wszystkim udział, od szemrzącego początku aż do huczącego końca, gdzie by indziej niż w willi Pilgrima mógł profesor literatury zobaczyć literaturę kipiącą życiem. Silbenfuchs wyraźnie rozkoszował się tym, że może mi podać szczegóły takiej imprezy niby smakolyki na wytwornej tacy. Kiedy więc Ehrl-König wkracza do pokoju, lecz nie, skoro ja, Michael Landolf, jeszcze nigdy nie brałem w tym udziału, mówienie o pokoju byłoby mylące. W willi Pilgrima wszystkie pomieszczenia przechodzą jedno w drugie, także wszystkie poziomy, najwyższy poziom ma mniejszą powierzchnię niż dołączone doń niższe platformy, najwięcej miejsca jest na najniższym poziomie, wokół którego pod trzema ścianami stoją wszelkiego rodzaju wyściełane meble. Te trzy ściany oczywiście nie tworzą żadnego pokoju, tylko go symbolicznie zaznaczają. Ehrl-König wraz ze swoją asystentką ze SPRECHSTUNDE, gościem-niespodzianką i Ludwigiem Pilgrimem pojawiają się zawsze na najwyższym poziomie. Podobno wjeżdżają tam windą z suterenu. Wokół najwyższej platformy biegnie balustrada niczym reling. Wszystko to razem wygląda w górę jak mostek oficerski wspianego okrętu. I, zdaje się, ma tak wyglądać. Najbardziej jednak rzucają się tam w oczy olbrzymie drzwi od windy: gdy się otwierają, po prostu całe pomieszczenie nabiera tchu i następnie go wstrzymuje, i wtedy właśnie pojawia się Ehrl-König ze switą. Z żółtym pulowerem na ramionach. Gdy Ehrl-König wraz ze switą zstępuje po szerokich schodach przecinających dwa dalsze poziomy do nas, do wyściełanej pluszem zatoki, wtedy owa najśmielsza willa współczesności zbudowana przez architekta-gwiazdę z Chicago wydaje się jakby stworzona do tego występu. Proszę, wszystkie prostopadłe są białe, wszystkie poziome czarne, także na schodach, czarno-białe, a na nich jasnożółty kaszmir i teraz już tylko promieniejący Ehrl-König. Na wszystkich platformach goście, wszyscy chcą go powitać, lecz on z uśmiechem kroczy dalej, aż na sam dół, do pluszowej zatoki, prawdziwego pluszowego krajobrazu, gdzie czeka większość gości. Teraz już na wszystkich poziomach wszyscy wstali, odstawili kieliszki, wszyscy biją brawo, *standing ovation*. Ponieważ Silbenfuchs, jak mówił, nie zawsze jest zapraszany na tę imprezę – zaproszenie zależy od jakichś trudnych do przeniknięcia strategii – więc nie wie, czy *standing ovation* to zwyczaj, czy też ma miejsce jedynie wówczas, gdy edycję SPRECHSTUNDE uznano za wyjątkowo udaną. Jednak ilekroć Silbenfuchs tam był, tylekroć zrywała się *standing ovation*, co pozwala przypuszczać, że mamy tu do czynienia z rytuałem. Z pięknym, zawsze serdecznie celebrowanym rytuałem. Przed chwilą przecież wspólnie oglądaliśmy na ekranie opuszczonym z sufitu wydanie SPRECHSTUNDE. Ponieważ tym razem omawiany był Hans Lach jako Zła Książka i Philip Roth jako Dobra Książka, Lach znalazł się w centrum uwagi. Od kiedy to właśnie „przerabiany” autor jest gościem na imprezie, pomyślał wtedy Silbenfuchs. Tego jeszcze nie było. I to na dodatek autor Złej Książki. To przecież wyróżnia SPRECHSTUNDE Ehrl-Königa. Książki są Dobre albo Złe. Reszta to korupcja. Tak mówi Ehrl-König. Zła Książka, Dobra Książka, potem obowiązko-wo gość-niespodzianka, który ma za zadanie potwierdzić diagnozę

Ehrl-Königa, stwierdzić, jak dalece jego sąd o Złej i o Dobrej Książce jest trafny. Tego wieczoru gościem-niespodzianką była Martha Friday z Nowego Jorku. W końcu jej lekkie i trochę na siłę nieprzyzwoite teksty ukazują się po niemiecku również u PILGRIMA.

Teraz Silbenfuchs opisał wiadomy program, opisał, jakie wrażenie wywarł w willi Pilgrima. Zapewne sądził, że nie miałem okazji zobaczyć tego wydania SPRECHSTUNDE. Chciałem wiedzieć, jak zostało odebrane w willi, więc nie zdradziłem, że zdążyłem je obejrzeć już dziesięć razy. No więc program. Martha Friday przytakiwała wszystkim, co powiedział Ehrl-König, prawie tak samo gwałtownie, jak on to mówił, to znaczy, że działała jak wzmacniacz; co u niego było jaskrawe, stawało się jeszcze jaskrawsze dzięki jej przewracaniu oczami, otwieraniu ust i biciu brawa. Gdy on siedział zamyślony albo wręcz cierpiący, ona cierpiała jeszcze bardziej. Lepszego gościa-niespodzianki od tej Marthy Friday Ehrl-König nie miał w ciągu siedemnastu lat istnienia SPRECHSTUNDE, rozgarnięta jak rzadko i ładna, i mistrzyni w przedstawianiu, na równi w głośnym i w cichym. W ogóle, jak oni współgrali, uzupełniając się idealnie nawet w najsutelniejszym wyrazie mimicznym albo w najgłośniejszym wyrazie akustycznym. Oczywiście czytała Dobrą Książkę, czyli Philipa Rotha, książki Lacha oczywiście nie czytała. Ale ponieważ Ehrl-König demonstrował rękami i nogami, i dzikimi rzutami głowy, i głosem przechodzącym w pisk, jak strasznie cierpiał zmuszony do przeczytania tej książki, więc po prostu ją tym porwał, biła głośno brawo, gdy powiedział, czyż to nie mówi samo za siebie, że książka ciągle wysuwa się komuś z rąk, bo zasypia się przy jej lekturze. Ludzie w studiu telewizyjnym wciąż przyłączali się do śmiechu i klaskania Marthy Friday. Po pierwsze, należałoby stwierdzić, że Hans Lach napisał tę książkę naumyślnie przeciwko niemu, tj. Ehrl-Königowi. Od kiedy on, Ehrl-König, prowadzi tutaj SPRECHSTUNDE, czyli bądź co bądź od siedemnastu lat, nie przestaje powtarzać, że powieść, która ma ponad czterysta stron, powinna udowodnić jemu, czytelnikowi André Ehrl-Königowi, dlaczego musi być dłuższa niż czterysta stron. Hans Lach nie ma zamiaru dostarczyć takiego dowodu. Po drugie, kobieta bohaterka tej powieści jest osobą ograniczoną, sama powieść jakby wykazywała tępotę bohaterki na co drugiej stronie. On, Ehrl-König, głosi w sposób uparty, w sposób, który już jego samego denerwuje, że nie cierpi ograniczonych postaci kobiecych ani w życiu, ani w literaturze. Cóż robi kolega Lach? Prowadzi beznadziejnie ograniczoną postać kobiecą przez czterysta dźwiętności stron powieści, która w dodatku nosi tytuł „Dziewczyny bez paznokci u stóp”. Ach, jak Ehrl-König w trakcie lektury tej książki zazdrościł sprzątaczkom, *pardon*, paniom od czyszczenia w budynkach publicznych. Cóż za ciekawa, trzymająca w napięciu czynność: jeździć odkurzaczem po coraz to innych wzorach na podłodze, wsłuchując się w cudowny warkot motoru elektrycznego. A on musi czytać powieść, która ma prawie tylu bohaterów, co stron. Zresztą, coż za bohaterowie! Gdybyż to były postaci, lecz to są tylko imiona, figury z papieru z naklejonymi imionami, doliczył się setki i potem przestał liczyć, pomyślał, że woli w tym momencie od razu przerzucić się na książkę telefoniczną. Martha Friday roześmiała się w głos, zaklaskała, tak samo publiczność. Ach, Martho, westchnął wtedy, Pani nje wie, na



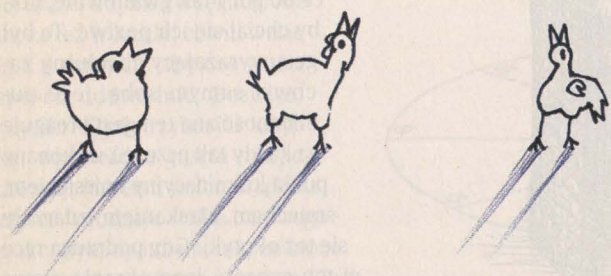
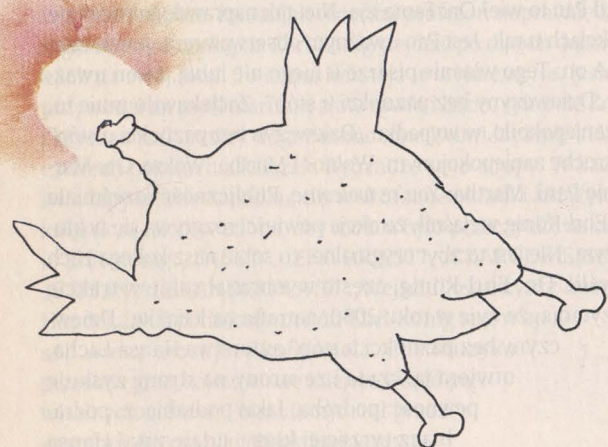
co się człowiek skazuje, gdy poświęca swe życie njemieckiej literaturze. Prawie wyłącznie głupie postaci kobiece, żadnej wywołującej dreszcz erotyki, żadnej seksualności, która mogłaby iść o lepsze z kieliszkiem szampana, tylko fanta, fanta, fanta, ale bez -zja. Proszę, „Dziewczyny bez paznokci u stóp”, już sam tytuł, ach, dlaczego nie pozwolono nam żyć w czasach, w których książki nazywały się „Madame Bovary”, „Anna Karenina” czy „Effi Briest”. „Dziewczyny bez paznokci u stóp”, coż ma ten autor przeciwko paznokciom u stóp, i to jeszcze u dziewczyn, Martha, jestem pewien, że Pani ma u stóp najbardziej zachwycające paznokcie na świecie! A Martha Friday: Zgadza się! Ale skąd Pan to wie? On: Fanta-zja. Nie, tak naprawdę to widać po Pani paznokciach u rąk. Jest Pan uważnym obserwatorem, powiedziała Martha. A on: Tego właśnie pisarze u niego nie lubią, że on uważnie patrzy. „Dziewczyny bez paznokci u stóp”. Zaćkawiło mnie to, trochę też zaniepokoiło, w wypadku „Dziewczyn bez paznokci u stóp” wolno być trochę zaniepokojonym. Wolno? I Martha: Wolno. On: Martho, dziękuję Pani. Martha: *You're welcome*. Publiczność roześmiała się. Wtedy Ehrl-König wyjaśnił, że akcja powieści rozgrywa się w klubie tenisowym. Nie jest to zbyt oryginalne, co sobie nasz kolega Lach tutaj wymyślił. On, Ehrl-König, często wyobrażał sobie w trakcie czytania, że żyje w roku 2030, natrafia na książkę „Dziewczyny bez paznokci u stóp” autorstwa Hansa Lacha, otwiera ją, czyta i ze strony na stronę zyskuje pewność: podróba. Jakiś podrabiacz, podrabiacz trzeciej klasy, udaje tutaj Hansa Lacha i liczy, że tego nie zauważymy. Przeliczył się. Zauważyliśmy. Jednoznaczny wyrok, imitacja Hansa Lacha trzeciej klasy.

W tym momencie podrzucił rękę do góry tak gwałtownie, jakby chciał się ich pozbyć. To był gest wyrażający absolutny zachwyt samym sobą, jego publiczność zna ten gest i reaguje na każdy tak przezeń wykonany punkt kulminacyjny uniesieniem, śmiechem, klaskaniem, zdarzały się też okrzyki. Gdy podrzuca rękę w ten sposób, jego okrągła głowa opada ukośnie w dół, mówi powodowany potrzebą dokładności profesor. Z tego powodu porównywano go już do Chrystusa. Ktoś mu to kiedyś powiedział, oczywiście półzartem, w jednym z wielu *talk-shows*, w których bierze udział. On na to zareagował od razu z gwałtownością, która nie dopuszcza już żadnych różnic między dowcipem i powagą: Najmądrzejszy z młodych intelektualistów z DAS zaświadczył mi kiedyś, że za sprawą SPRECHSTUNDE zakończył żalostną tradycję mówienia „nie tylko, lecz także” w krytyce literackiej, fetuje się go jako człowieka „albo-albo” i od tamtej pory nazywany jest czasem tym, który naukę Chrystusa: Wasza mowa niech będzie tak, tak, nie, nie, a letnich mętniaków wypłynie z ust waszych, który tę stanowczość wprowadził do krytyki literackiej. On może to zdanie swego przodka tylko zacytować, nie godzi mu się tego komentować, jemu tym bardziej nie, jemu, który jest świadom swej próżności i wręcz tęskni za możliwością okazania swej pokory. Pod pewnym względem jednak każdy, kto oddał się w służbę krytyki, kroczy śladami Nazareńczyka: ten czerpiął za grzechy ludzkości, krytyk zaś czerpił za grzechy pisarzy. Coś takiego w każdym *talk-show* wywoła salwy śmiechu.

Przełożyła KRYSTYNA WIERZBICKA

© Suhrkamp Verlag, Frankfurt am Main 2002

Podaj hasło, które zilustrował
Mariusz Wilczyński



Odpowiedz: Myślał indyk o niedzieli

nie ma głupich pytań

Władysław Kopaliński z Warszawy pyta Stefanię Grodzieńską

Jak wspominasz czasy, kiedy jeździłaś po Polsce, występując ze świetnym naszym satyrykiem Januszem Minkiewiczem?



RYŚ: MAREK SOBCHYZARSKI

Władku, domyślałam się, że czytałeś przedostatni „Przekrój” i stąd ten Minkiewicz, którego tam wspominam. To była druga połowa lat 40. i lata 50.: wczesny Peerel z całą swoją paskudnością. Tymczasem dla nas, satyryków, to był wspaniały okres zawodowy. Wyposzczeni po wojnie czytelnicy nie tylko pożerali książki (pierwszy nakład: 20-30 tysięcy egzemplarzy, dziś pięć tysięcy jest sukcesem), lecz także tłoczyli się na spotkaniach autorskich jak dziś podczas powitań Adama Małysza.

Potrzebowałam partnera do dialogów małżeńskich. Miałam obłąkańczy pomysł zaproponowania roli męża Minkiewiczowi, który był zaprzeczeniem aktorstwa. „Co, mam się uczyć twoich tekstów na pamięć?” – protestował. Wpadłam na pomysł: wklejałam kartki z jego tekstami, a raczej pomrukami, do środkowej części „Przekroju”, żeby mógł je czytać, udając, że jako znudzony mąż nie odrywa wzroku od gazety.

I oto co się stało: jego znudzona mina męża pobiła moje popisy jako żony. Wszystkie żarty napisałam oczywiście dla siebie, on miał tylko niechętnie pomrukiwać. Tymczasem śmiechy i brawa przeniosły się na niego. Mnie ledwo słuchano, czekano na jego reakcje czy raczej brak reakcji. Był tak prawdziwy, że widzowie zamienili nam role: on został bohaterem, a ja statystką. Bo on naprawdę się nudził.

Władku, ja czytam wszystkie Twoje słowniki od dosłownie A do Z. A Ty chyba nie przeczytałeś mojej książki, w której było dużo na ten temat.

Stefania Grodzieńska

Pan Władysław Kopaliński, tak jak każdy autor pytania, na które Stefania Grodzieńska odpowiada na naszych łamach, otrzyma Jej książkę z dedykacją. Są to „Wspomnienia chałturzystki”, o których wspomina, a właściwie brak znajomości których mu wypomina.

Czekamy na Państwa listy. Nasz adres: „Przekrój”, ul. Wiejska 12a, 00-490 Warszawa, z dopiskiem „Nie ma głupich pytań”. Czekają także nagrody książkowe.

daje słowo

O już



RYŚ: MAREK SOBCHYZARSKI

O „jeszcze” już było, o „już” jeszcze nie. A to przecież „już” często zaczyna. „Już się z pogodnych niebios...”. „Już w gruzach leżą...”. „Już miesiąc zeszedł...”. „Już nigdy...”.

„Już” to właśnie początek. Od tej pory zaczyna się nowe. Już się tamto skończyło, teraz już będzie inaczej. Ja już więcej nie będę. Już przestałem. Czyli – zacząłem. Od tego właśnie momentu.

„Już nie jesteś dzieckiem” – mówią rodzice. Już jesteś duży. A potem – już dorosły. Już stary...

Kiedy mówię „już”, mówię, że myślałem, że jest wcześniej, a jest później.

Już piąta. Już trzeba to zrobić. Już. Ale już!

Bywa, że myślałem, że nie było, a już było. „Już o tym mówiłeś” – słyszę. I trochę mi głupio, bo zapomniałem, myślałem, że jeszcze nie mówiłem. I już, już bym powiedział, ale mnie powstrzymali.

Bo „już” czasem nie dopuszcza. Już coś miało być, prawie było, ale jednak nie. „Już był w ogródku...”. I nic. Wpadł w beczkę wkopaną. „Już” kończy. „Tego już za wiele! Już stąd, wynos mi się! Już cię tu nie ma!”. I już po nim, wyniósł się. Już go nie ma.

To już koniec. I już.

Już po wszystkim.

Jerzy Bralczyk



RALPH LAUREN



SPORTMAX

Wszystko białe.
Zapomnijcie
o diabolicznych
czarnych
koronkach

To ciekawe, jak się przewijają nurty w modzie, wchodzi, potem gdzieś znikają, ale nie zawsze całkiem, gdzieś się snują tu i tam, potem znowu wybuchają mocniej, wracają. Ale prawie nigdy takie same dosłownie. Zawsze trochę jest inaczej. Albo można włożyć dawny autentyk, ale osobę w środku trzeba zmienić. Najlepiej spuścić o pokolenie lub dwa niżej. Apel o niewkładanie własnych rzeczy z zamierzonych czasów, kiedy osobiście przeżyliśmy okres, kiedy to wyszło z mody, ponawiam od czasu do czasu, żeby kogoś nie kusilo. Ale dziś nie o tym, tylko o bielizniarstwie, które

znowu wypłynęło na szerokie wody.

Tak zwana widoczna bielizna, wykończone koronkami sukienki-koszulki, spódniczki z koronką jako żywo przypominające halkę itp. – to wszystko znamy, ale także w wersji nie bardzo eleganckiej, na przykład czerwone z czarną koronką.

Wszystkie te małe koszulki, wszystkie te przezroczyste sukienki czy bluzki też są blisko stylu bielizniarskiego. Ale teraz mamy wielką modę na cały taki trend, jednak wyraźnie związany z kolorem białym, no, może ekri. Przezroczyste materiały, batysty, koronki, mikro- siateczki, cienkie bawełny, lny, płó-

cienka, woale, szyfony, leciutkie, delikatne, haftowane, z wstawkami koronkowymi, hafty angielskie.

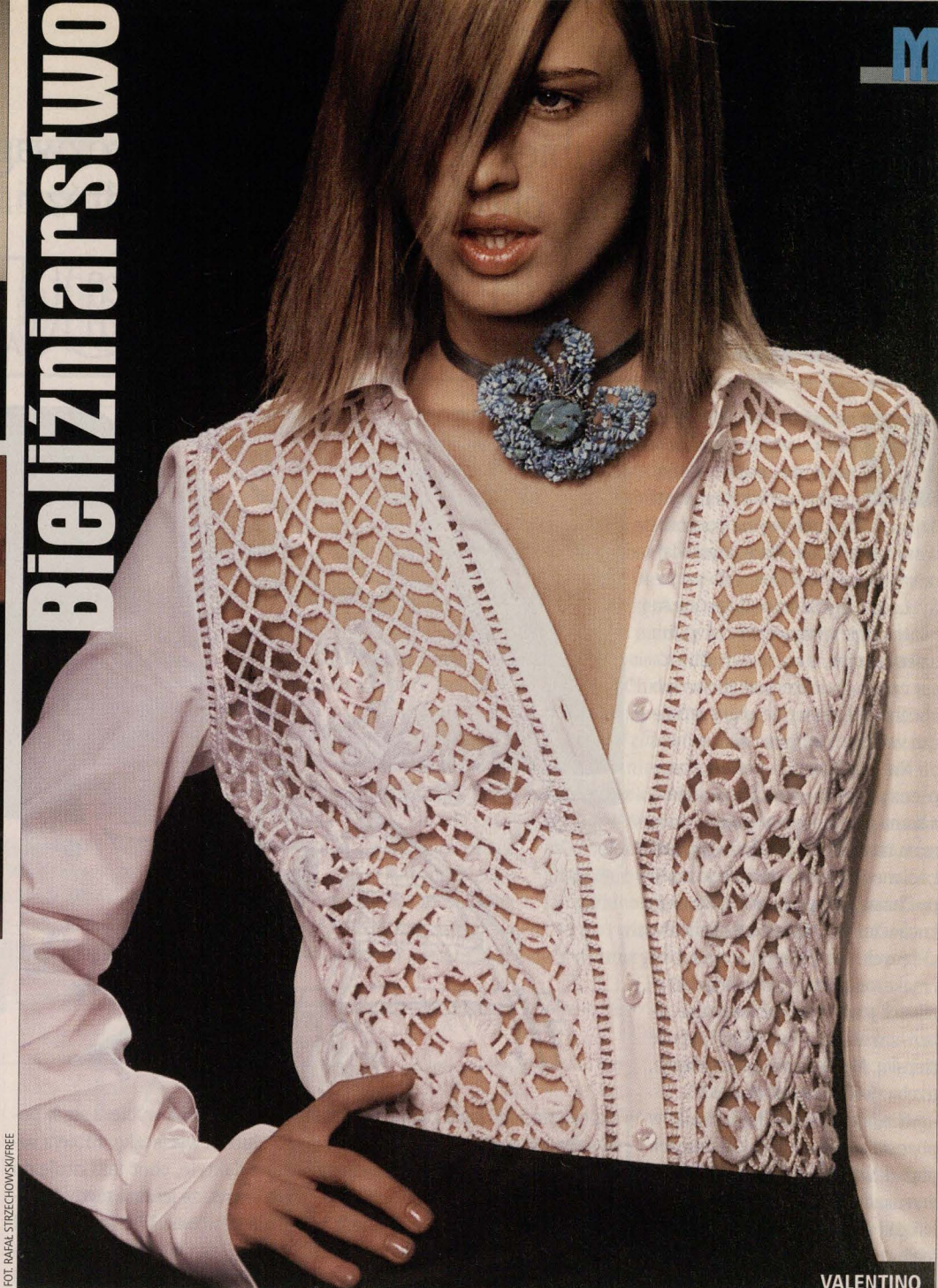
Czasem trochę stylizowane na bieliznę z przełomu wieku (XIX/XX), delikatną, nieco słodką. Czasem są to koronkowe wstawki bliżej bielizny pościelowej. Jakies kawałki koronek na rękawach, na przodach bluzek. Bluzki chłopskie, te ściągane sznurkiem u góry z koronkowymi wstawkami.

Jest to dość przewrotna moda. Tu bluzeczka czy sukienka biała i leciutka, uosobienie słodkości i dziewczęcości, używa się określenia „wiek niewinności”, tu takie niby-mimowolne przezroczystości,

biała koroneczka, wstawka prześwituje, przez bluzkę widać stanik albo jego brak.

Różne takie bluzki doskonale wyglądają właśnie zestawione z džinsami, ze skórą. Niewiniątko w białych koroneczkach – nieśmiertelne danie do schrupania, trochę podrasowane przez detale harlejewca. Albo wystylizowane na duszę romantyczną w bieli i czymś zwiewnym, ale życie nas uczy, że naiwne nie noszą bluzek przezroczystych, ale któż by wyciągał z czegośkolwiek nauki. Na pewno jest inteligentna, skoro ma tak ładne piersi.

HOFF



VALENTINO



FOT. MAREK SZCZEPAŃSKI

Lubię ryzyko, ale apeluję o rozwagę,
gdy chodzi o jedzenie w podróży

Suchy prowiant

W okresie wakacyjnym problem suchego prowiantu jawi się najwyraźniej rodzicom wysyłającym dzieci w 30-stopniowym upale osobowym pociągiem kolonijnym, dajmy na to, ze Szczecina w Bieszczady. Lecz o ile dzieci poddawane są takiej próbie wytrzymałości dwa lub cztery razy w roku, to dorośli, którzy często podróżują służbowo lub choćby półprywatnie, stają w obliczu wielu poważnych dylematów.

Na co liczyć, jak się zabezpieczyć, komu można zaufać, a komu pod żadnym pozorem? I nie mam na myśli takich dorosłych jak Luciano Pavarotti, który na tournée po Chinach zabrał nie tylko własnego kucharza, lecz także zapas kotletów cielęcych, parmezanu, pomidorów i makaronu. Amerykańskiej dziennikarce powiedział: „Proszę mnie dobrze zrozumieć. Uwielbiam kuchnię chińską. Ale kiedy się ciężko pracuje, trzeba zjeść coś konkretnego”.

Nie, chodzi mi o podróżników pozostających w niższych progach podatkowych, takich jak wydawcy wyruszający na frankfurckie targi książki z własnym zapasem suchej kiełbasy i wędzonego sera. To dobry wybór: suchy prowiant nie zepsuje się nawet poza lodówką, a na miejscu wystarczy dokupić chleb i ogórki konserwowe. Lecz jest to zarazem wariant, który pod względem prostoty ustępuje tylko decyzji młodego pisarza z filmu „Wybór Zofii”. Ów aspirujący literat, który chciał zamknąć się w mieszkaniu i nie wychodzić, dopóki nie skończy powieści, zamierzał przez ten czas żywić się mielonką. Na jego szczęście pewna kobieta plan ten udaremniła.

To powiedziawszy, wyznam, że mielonka to dla mnie jedna z najwspanialszych odmian suchego prowiantu. Dopóki jest w puszcze, nie ulegnie zepsuciu, zaś nawet w podróży na głęboką prowincję lub Białoruś nietrudno o chleb, pomido-

ry, cebulę i kiszone ogórki. Lecz puszką mielonki to jednorazowy wyskok, a nie strategia przetrwania. W takich okolicznościach najtrudniej przetrwać wegetarianom. Wspominam o Białorusi dlatego, że znajomy poeta z Opoli, pasażer Ekspresu Literackiego relacji Lizbona – Moskwa, pewnego dnia znalazł się naturalną koleją rzeczy w Mińsku, gdzie suchy prowiant dla jaro- szy był praktycznie nie do zdobycia. Na jego szczęście wietnamscy handlarze sprzedawali na ulicy glony i wodorosty, które nie cieszyły się wzięciem u Białorusinów, dzięki czemu były wyjątkowo tanie i z powodzeniem towarzyszyły wódce zamiast kiełbasy czy słoniny.

Z kolei pewien Wietnamczyk, którego poznałem na spływie rzeką Snake w Wyoming (wypuściłem się tam na głodniaka, nie wiedząc, że tyle godzin upłynie przed obecnym piknikiem), poratował mnie paczką suszonych daktyli. Powie-

dział, że ilekroć wybiera się w podróż lub na wycieczkę, zabiera suszone daktyle, choć taki czuje do nich wstręt, że jeszcze nigdy się nimi nie salwował. Wstręt pochodził stąd, że jako biedny stypendysta w Paryżu mój wybawiciel odżywał się prawie wyłącznie suszonymi daktylami, bo nie mógł znaleźć niczego tańszego. Mnie jednak bardzo smakowały i dopiero kiedy podano nam pieczonego łosia, poczułem się stosownie wzruszony dołą byłego stypendysty.

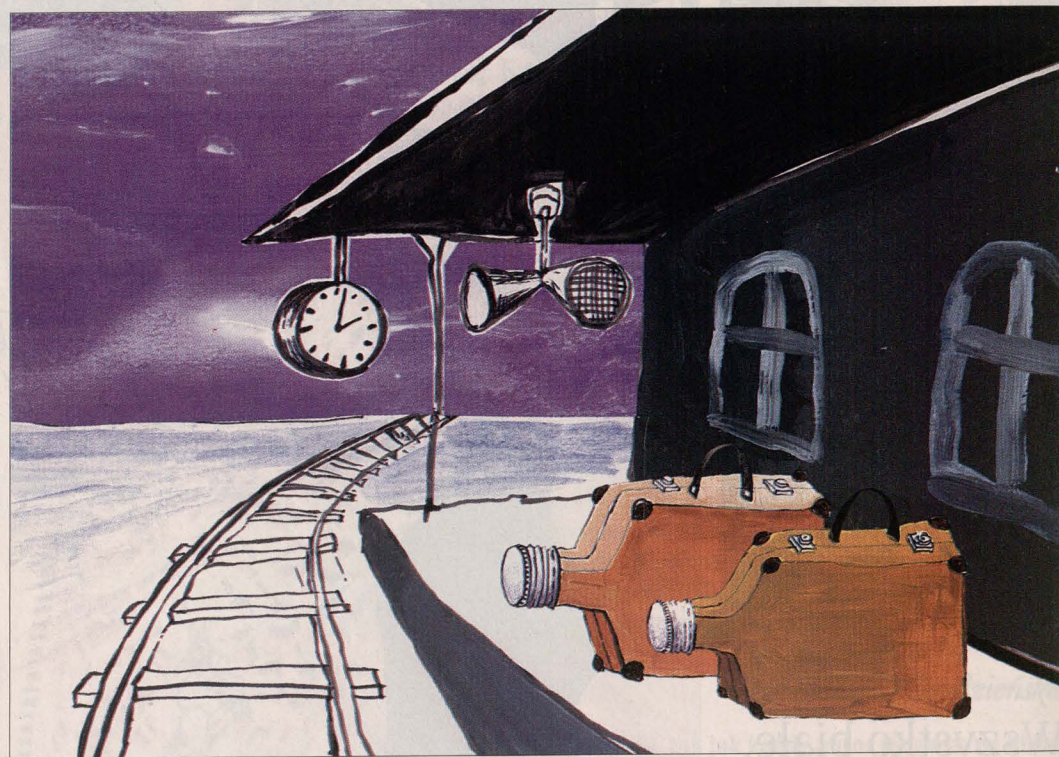
Pewien poeta z Katowic, który co roku wyrusza w długie podróże po dalekich krajach, gdzie infrastruktura handlowo-gastronomiczna nie zawsze spełnia oczekiwania – bądź co bądź – Ślązaka, na pytanie, jak rozwiązuje problem suchego prowiantu, odpowiada: „Banany, chłopie. Banany”.

Coś w tym jest. Banan, jak twierdzi warszawski germanista-jarosz, to najwydajniejsza zapchajdziura.

„Wystarczy na kwadrans, potem jesz następnego, i tak dalej, aż do chwili, kiedy zaczną wydawać na stołowie”. Jeśli akurat przebywamy w Bawarii na stypendium z wyżywieniem, takie podejście jest uzasadnione – lecz czy sprawdzi się na pustyni Gobi?

Kanapki i owoce na przewidywalną przyszłość, sezamki lub batony z muesli na wszelki wypadek – tak zazwyczaj podchodzi do kwestii suchego prowiantu. Choć nie zawsze, bo lubię ryzyko i jem nawet bardzo groźnie wyglądające rzeczy w wątpliwego autoramentu lokalach. Kluczową rolę w takich sytuacjach odgrywa dezynfekcja, zatem kwestia suchego prowiantu ustępuje miejsca problematyce zawartości piersiówki. Rzecz jasna, nie dotyczy to dzieci, matek karmiących piersią oraz osób prowadzących jazdy mechaniczne.

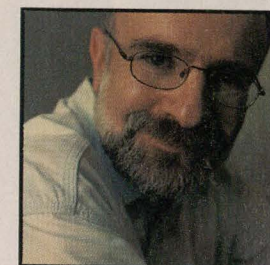
TADEUSZ PIÓRO



RYŚ. MARIUSZ WILCZYŃSKI

Otoczony nadmiarem dźwięków
szukam ukojenia w winie

WIELKA CISZA TU MIESZKA



FOT. MAREK SZCZEPAŃSKI

Winiarskiej literaturze dużo wspomina się o muzyce. Często porównuje się degustację wina do słuchania koncertu: wino, podobnie jak muzyka, jest dziełem w czasie, które stopniowo rozwija swe nuty. Niektóre wina określa się jako „muzyczne” ze względu na ich szczególną żywiołowość. Mówi się tak zwłaszcza o burgundach – XIX-wieczny niemiecki pisarz E.T.A. Hoffmann twierdził, że są jak „muzyka heroiczna”, gdyż niosą ze sobą „potężny poryw i patriotyczne uniesienie”. Kapelmistrz Kreisler, bohater jego słynnej powieści „Kota Mruczysława poglądy na życie”, znajduje w burgundach natchnienie i ich krople mieszają się z nutami na pisanej przez niego partyturze.

Do ulubionych zabaw degustatorskich należy dobieranie do win poszczególnych utworów muzycznych, tak by smaki jednych zdawały się odpowiadać dźwiękom drugich. Wzięty francuski filozof Régis Onfray degustował niedawno naj słynniejsze wino świata Château Pétrus (rocznik 1982) w towarzystwie jego wytwórcy Christiana Moueixa. Pomlaskali, posłuchali i wreszcie uzgodnili: nic, tylko pierwsza część 22. sonaty na fortepian opus 111 Beethovena. „Żywił i moc, opanowanie i melodia, energia i skuteczność, odmowa uwodzenia, lecz przeogromny urok, styl i wygląd, charakter i temperament bez żadnego makijażu, budowa na kontrastach i przeciwieństwach” – oto wedle opisu Onfraya cechy wspólne dla tych obu dzieł sztuki.

Są też degustatorzy, którzy zasiadają do instrumentu w trakcie degustacji. Popijają i walą od razu w klawisze. Widziałem raz, jak do bandola z roku 1990 (Bandol to najlepsza apelacja we francuskiej Prowansji; w Polsce reprezentowana przez bardzo dobrego producenta Château d'Ott) artysta amator wina odbębnił wariacje wokół Beethovena, zmieniając tempo zgodnie z kolejnymi wrażeniami smakowymi. Ciekawe, co by zagrał do Sofii Melnik: „Taniec z szablami” czy „Tragiczną” Mahlera?

Przepraszam za głupawy żart, lecz przyznam, że ostatnio analogie z muzyką zaczęły mnie irytować, i to nie ze względu na ich nadmierne

pięknego ducha, lecz, by tak rzec, sytuację ogólną. Według różnych raportów różnych instytucji co roku ginie na świecie ileś tam gatunków zwierząt i roślin, znika ileś tam centymetrów lodowca, obraca się w perzynę ileś tam starych zabytków. Do wszystkich tych strat należy dodać jeszcze jedną: bezpowrotne odejście ciszy.

Nowoczesny poeta nie zapyta już przeto o niegdysiejsze śniegi, lecz właśnie o nią, niegdysiejszą ciszę. No bo gdzież ona jeszcze dzisiaj istnieje? I kto jeszcze umie z nią żyć? Zewsząd, z każdego miejsca, czy to w kulturze, czy to w naturze, w mieście czy nad rzeką, w górach i chmurach, spod pach, z biustonoszy, z kieszeni na tyłku i na sercu rozlega się pikanie, brzęczenie, dzwonią refreny i refreniki, muzyki i muzyczki. Jak nie z komórki, to z walkmana, jak nie z walkmana, to z radia. Hałas stał się do tego stopnia komercyjny, że jeden dźwięk musi nakładać się na drugi i głos nie może już wynurzać się z pustki. Na przykład wiadomości nie mogą już

wszystkie strony właśnie to: cudowne milczenie, głęboka cisza. Narastała ona we mnie jak wezbrana fala i była to jedna z najpełniejszych chwil, jakie przy winie spędziłem. Nic już nie pikało, nic nie grało, siedziałem wewnątrz tego wina jak w dźwiękoszczelnym balonie, aż wreszcie ostatnie krople uleciały i zacząłem na powrót słyszeć, budzić się ze słodkiego znieczulenia.

Jestem pewien, że są wina, w których mieszka wielka cisza. Należą do nich niektóre *chinon*. Apelacja Chinon nie uchodzi za najlepszą i nie jest zbyt popularna (widać to po cenach; najlepsze nawet *chinon* rzadko przekraczają 20 euro). Mam do niej szczególną słabość, tak jak do szczepu, z którego wina *chinon* powstają: *cabernet franc*. Ma on niewiele wspólnego ze smakami *cabernet sauvignon*, zwłaszcza tu, nad Loarą, gdzie daje wina o bardzo wysokiej kwasowości i mineralności, które powinny się długo starzeć.

Są to wina trudne, *too French*, jak mówią na nie w Ameryce. Łatwo wykręcają usta, przejmują dreszczem, nie uwodzą po- nętnym ciałem. Robert Parker, pierwszy guru w świecie wina, przyznaje szczerze, że „nie jest ich miłośnikiem”.

Jules Romains, wielki francuski pisarz, ostrzega, że są to „wina intelektualistów”, czyli, nie ma co dłużej ukrywać, w sam raz dla czytelników „Przekroju”. W Polsce występują rzadko i tylko w swej łatwej, prostej postaci – do szybkiego spożycia. Wielkich *chinon* jeszcze u nas nie ma. Między nami intelektualistami: *chinon*, po którym zaniemówiłem, nazywa się Clos de l'Echo 96 (producent

Couly-Dutheil) i jest do kupienia za 16 euro w Paryżu, gdzie kto jak kto, ale polscy intelektualiści jeżdżą bez przerwy (delikatesy La Grande Epicerie, metro Sèvres-Babylone).

MAREK BIEŃCZYK

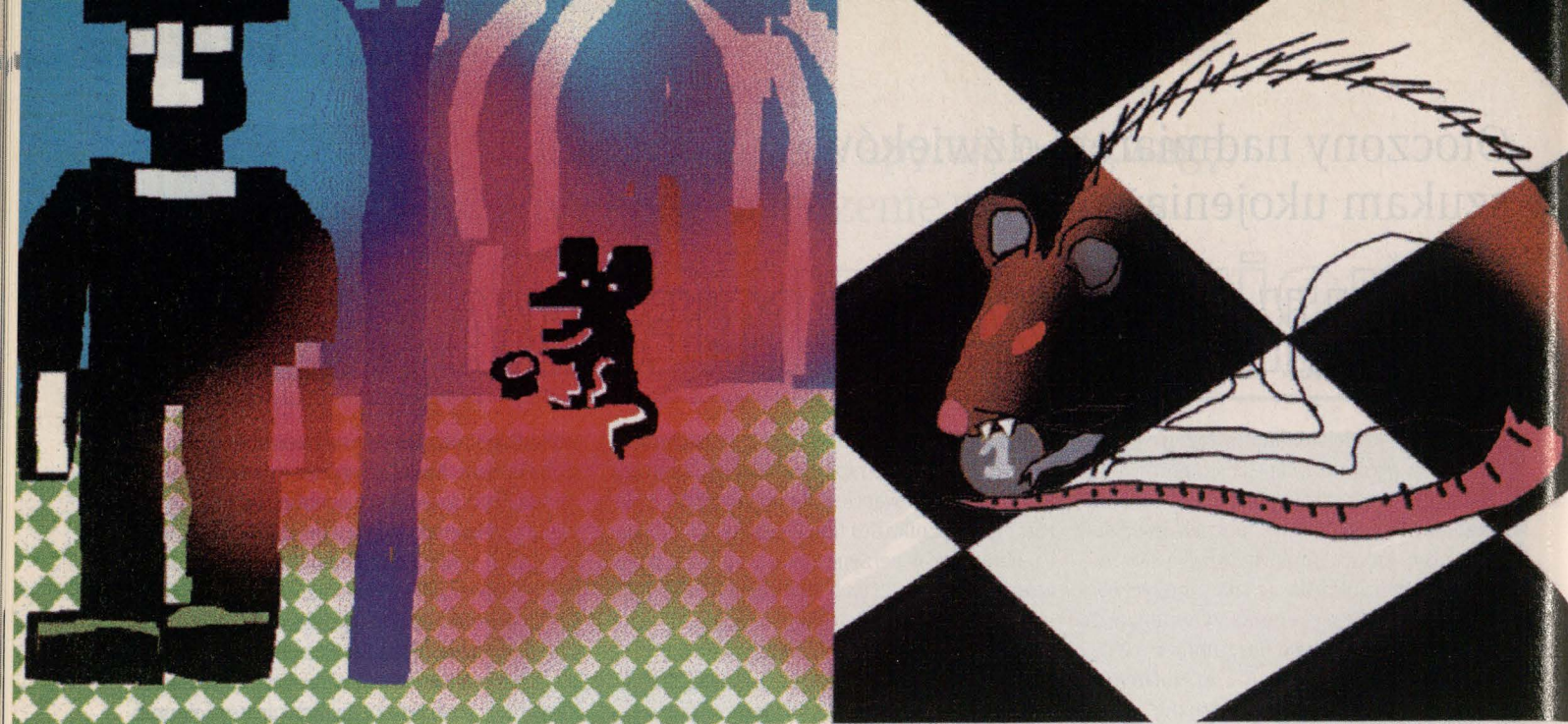
Na pierwsze dni lata dobre wina od jednego z najlepszych producentów znad Rodanu Guigala: różowy Tavel 2000 (około 80 złotych) i jedno z najlepszych u nas Côtes-du-Rhône (białe i czerwone 1999 r., około 50 złotych w sklepach specjalistycznych).

PS
Pozostaje milczeć ze wstydu, że nie ma już ciszy.



być odczytane ot, tak – muszą być podane na tle muzycznym, poprzedzone i zakończone dźwiękiem. Na tym przecież, na spotęgowaniu hałasu, polega ostatnia reforma „Trójki” i mam nadzieję, że w reformatorów trafi najgłośniejszy grom z jasnego nieba i że będą się przez wieki smażyli w piekle decybeli.

Gdzież miałbym jednak szukać ukojenia dla uszu jak nie w winie? Niedawno wieczorową ciepłą porą piłem z przyjaciółmi butelkę loarskiego *chinon*. Było wspaniałe, nadzwyczaj wytrawne, aż stalowe w smaku, i wpuszczało w nasze wnętrza zimny, metaliczny prąd, z którego rozlewało się na



Kici Kici

Zestaw niezbędnych wyrażen i zwrotów w różnych językach świata
Jak określić bardzo biedną osobę?

- Polska mysz kościelna bieduje razem ze swoimi siostrami w krajach anglosaskich (**AS POOR AS A CHURCH MOUSE**) i niemieckojęzycznych (**ARM WIE EINE KIRCHENMAUS**), ustępując miejsca szczurowi – jak w Szwecji (**FATTIG SOM EN KYRKRÄTTA**) i Francji (**GUEUX COMME UN RAT D'ÉGLISE**). W Rosji natomiast zamienia miejsce pobytu na cerkiew (**BIEDNYJ KAK CERKOWNAJA MYSZ**).
- Wśród Europejczyków wyróżniają się Włosi, którzy mówią: **POVERO IN CANNA** (biedny w trzcinie, choć *canna* znaczy też inne rzeczy: lufa, joint etc.) lub: **NON AVERE UN SOLDI DA FAR CANTARE UN CIECO** (nie mieć nawet grosza, żeby skłonić ślepcę do śpiewu) oraz Hiszpanie narzekający, że ktoś jest tak biedny, iż nawet nie ma kąta, gdzie mógłby umrzeć (**NO TENER DONDE CAERSE MUERTO**).

- Większą oryginalnością wykazują się mieszkańcy spoza Starego Kontynentu. Japończycy mówią: **SEKIHIN** (biedny do czerwoności: *seki* – czerwony, *hin* – biedny), a Turcy: **AÇLIKTAN NEFESİ KOKUYOR** (z głodu „pachnie” mu z ust) lub **PULSUZ PARASIZ** (bez grosza, bez złotówki: *pul* – dawna drobna metalowa moneta, obecnie znaczek, *para* – moneta o większej wartości). W Chinach można usłyszeć: **QIONG GUANGDAN** (goły, spłukany, golec) albo: **QIONGGUI** (biedak, żebrak). Mieszkańcy Iranu twierdzą, że biedny **BE NUN-E SZAB MOHTÂDZE** (potrzebuje chleba na noc, czyli nie ma co wieczorem do ust włożyć) lub: **ÂH NADÂRE KE BÂ NÂLE SOUDÂ KONE** (nie ma nawet westchnień, które mógłby wymienić na jęki).

RYŚ: P. MŁODOŻENIEC, M. SOBCZYK/ZAFRYK

Za 1000 złotych można (swoje włosy) • sprzedać, jeżeli mamy ich ponad dwa kilo lub ponad pięć metrów; najbardziej pożądane są te o czystych kolorach, zwłaszcza blond • **przedłużyć z krótkich na długie lub zagęścić bez użycia chemii**; do zabiegu stosuje się włosy naturalne pochodzenia słowiańskiego, sterylizowane w Anglii – przedłużanie włosami syntetycznymi jest nieco tańsze • **częściowo odtworzyć**, przeszczepiając 200 fragmentów skóry wraz z cebulką włosową; na pokrycie niewielkiej tysiny trzeba co najmniej 500 takich fragmentów • **zmienić w długie dredy u fryzjera w Bielsku-Białej** • **zmienić w dredy osiem razy u fryzjera w USA** • **ozdobić cieniutkimi warkoczami na całej głowie**, przy włosach średniej długości; warkoczki są pogrubiane przez dodanie do nich włosów syntetycznych • **pięć razy rozprostować za pomocą specjalnego preparatu** • **poddąć trzy razy analizie pierwiastkowej** – jej wynik pokaże, jakich pierwiastków brak w organizmie, z uwzględnieniem niewykrywalnych inaczej metali toksycznych.

HECA

- Heca heca, a lata lecą (kiasyk).
- Gada bzdury jak mało który.
- Wpadł w oko, a butów nie wytarł.
- Kupię komplet masek do chowania głowy w piasek.
- Śpiesząc się pomału, unikniesz zawatu.
- Pies zębami kłapie, kiedy muchy łapie.
- Aby nam się armata, a po polsku działo.

HECA

SENNICZEK ŚCIŚLE JAWNY

- Łakocie jeść
– ach! jak ty słodko śpisz!
- Łamać kołem
– spróbujesz przejechać samochodem po drewnianym mostku
- Łomot słyszeć
– morale pożycia małżeńskiego u sąsiadów spadło na pysk
- Łydki widzieć
– winda ci stanie między piętami
- z Łyzwami do duszy
komuś wejść
- lubisz, jak się bliżnim serce kraje
- Łzy łykać
– głód zajrzy ci w oczy

Baraneusz Dobrodziejewicz

teraz szczęście

Wiele różnych możliwości kryje się wśród zabiegów o to, by osiągnąć równowagę między napięciami w pracy, a także innymi kłopotami, i wyobrażeniem idealnego szczęścia. Są tacy, co wędkują, są, co zbierają pocztówki. Kolekcjonerstwo ma coś z wędkarstwa. Zwłaszcza długie okresy moczenia kija, kiedy nic, ale to nic nie chce brać, podobne są do bezskutecznych poszukiwań kolekcjonera. Trzeba się przyznać i czekać.

Okazy do kolekcji podpyływają i odpływają. To oczywiście nie zależy wyłącznie od nurtu. Mnóstwo rzeczy decyduje o rozrastaniu się kolekcji. Od wielu lat do wzrostu mojej przyczynia się rozmowa. Niestety, nie mogę już właściwie chodzić po pchlich targach. Czasem tylko zajrzę do antykwiariatu. Przez lata, w których nie chodziłam, naprawdę zrobiła się moda i rynek. To naraz dobre i złe. Kasa.

Często rozmawiam o pocztówkach. To działa. Ile ja już sobie pocztówek wygadałam! Bo one są niektórym niepotrzebne, a wyrzucić żal. Ludzie chyba czują, że u mnie nabiorą sensu i blasku. Zrobią się

O kolanie Napoleona

zabawne i wzruszające. I to właśnie każe im czasem oddawać swoje pamiątki. Nie! Nie, nic nie mówię...

Ostatnie lata siedzę sobie nieopodal rzeki pocztówek, która płynie tu przez różnych kolekcjonerów i antykwiariaty, i czekam. Może coś się samo złapie. I nagle... Zaczęło mocno ciągnąć, i to przez *e-mail*. Bo opowiedziałam przyjacielowi z Francji serię z Napoleonem. Godną Napoleona. To znaczy 10 kartek tworzy dopiero całą postać Cesarza, jak puzzle, a na każdej znajduje się część dużego Napoleona i mała scena z życia Napoleona z małym Napoleonkiem. Od 20 lat zbierałam tę serię i ciągle brakowało mi kolana.

Przyjaciela coś tknęło. I... Nie ma tu miejsca na opis korespondencji, wesołych pomyłek, śmiechu i napięcia, które towarzyszyły moim opisom serii przez *e-mail* i jego poszukiwaniom. Mam to kolano. Po 20 latach! No i mogę się pochwalić taaaką rybą. W kształcie Napoleona.

Małgorzata Baranowska

PIĄTKA KLEPKA

Jak wiadomo, politycy kłamią. Intensywność kłamstwa zależy od tego, jak daleko zaszli. Dzięki znajomości tej reguły możemy wiedzieć, jak bardzo kłamią politycy, a co za tym idzie, odkryć prawdę poprzez tak zwane odkłamywanie. Oto przykłady:

1. Polityk najniższego szczebla, na przykład tak zwany radny, zadowala się prostym absolutnym kłamstwem. Wszystko, co mówi, należy rozumieć wręcz przeciwnie. Jeżeli mówi na przykład: „Wzbogacimy nasz powiat poprzez sadzenie grzybów”, należy to rozumieć w sposób następujący: „Zubożymy resztę świata poprzez wytipienie niegrzybów”. Ponieważ człowiek także jest niegrzybem, dobrze jest właściwie rozumieć wypowiedzi polityków, ponieważ można wtedy zaplanować ucieczkę.

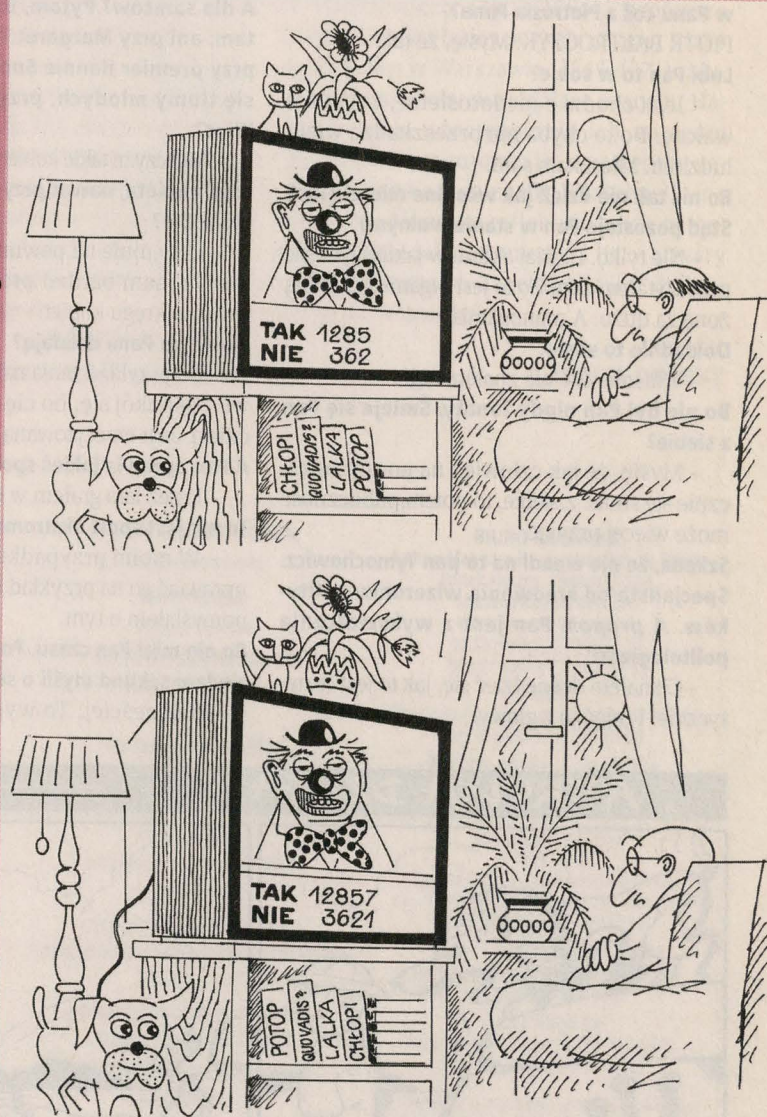
2. Polityk średniego szczebla, na przykład tak zwany poseł, stosuje kłamstwo absolutne podwójne. Jeżeli mówi na przykład: „Uczynię Polskę silną dzięki produkcji samochodów”, musimy odkłamać jego wypowiedź dwa razy, uzyskując najpierw: „Osłabię Holandię dzięki zniszczeniu piechoty” (jak wiadomo, Holandia jest przeciwieństwem Polski), a następnie: „Wzmocnię Włochy dzięki utworzeniu konnicy” (jak wiadomo, Włochy są przeciwieństwem Holandii).

3. Polityk najwyższego szczebla, na przykład tak zwany premier, stosuje kłamstwo absolutne potrójne stotalizowane. Oznacza to, że:

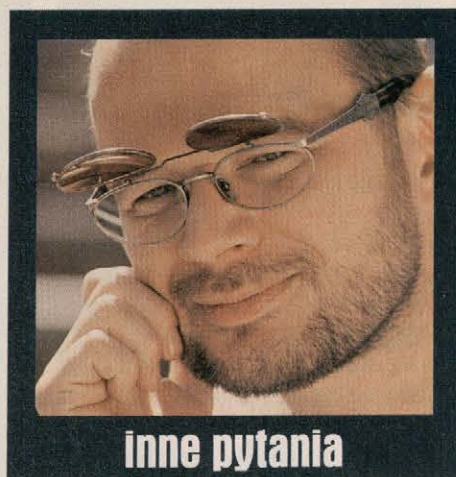
- każdą jego wypowiedź należy odkłamać trzy razy;
 - odkłamywać trzeba nawet przyimki.
- Dlatego gdy premier mówi: „Wspomagamy rodaków bez wykluczania ludzi starszych”, rozumiemy to jako: „Ograbimy zagranicę poprzez eliminację młodzińców”, następnie jako: „Wzbogacimy nasz kraj bez szerzenia grzybów” (grzyb, jak wiadomo, jest przeciwieństwem młodzińca), a wreszcie jako: „Zubożymy resztę świata poprzez wytipienie niegrzybów”.

TOMASZ PIĄTEK

WYTYĘŻ WZROK...



...i znajdź 25 szczegółów, którymi różnią się te dwa rysunki Zbigniewa Jujki. Rozwiązanie na s. 73.



inne pytania

Jedne panie się śmieją, a inne wręcz przeciwnie

MARIA CZUBASZEK: Panie Piotrze, czy jest w Panu coś z Piotrusia Pana?

PIOTR BAŁTROCZYK: Myślę, że tak.

Lubi Pan to w sobie?

– Jeśli chodzi o niedoroślenie, z tym nie walczę. Bo to chyba nie przeszkadza wielu ludziom. Mieszkam sam.

Bo nic tak nie dzieli jak wspólne mieszkanie? Stąd pozostaje Pan w stanie wolnym?

– Nie tylko. Dzisiaj akurat w jakiejś gazecie przeczytałem żart. Co to jest bigamia? O jedną żonę za dużo. A monogamia?

Dokładnie to samo.

– Właśnie. Ale nie znałem tego.

Bo nie był Pan nigdy żonaty. Śmieje się Pan z siebie?

– Myślę, że jak człowiek na początku znacznie się śmiać z siebie, to potem publiczność może więcej przyjać.

Szkoda, że nie wpadł na to pan Tymochowicz. Specjalista od kreowania wizerunku polityków. A propos. Pan jest z wykształcenia politologiem?

– Chciałem dowiedzieć się, jak to jest teoretycznie. I mieć to z głowy.

Piotr Bałtroczyk, konferansjer i satyryk, w rozmowie z Marią Czubaszek

Ale coś Panu z tego chyba w głowie zostało. Teraz sprawdzam. Utrata kontaktu z rzeczywistością. Symptom?

– Wielu polityków.

Medycyna zna takie przypadki. Ale z punktu widzenia medycznego to symptom choroby psychicznej.

– A mało jest chorych polityków?

To Pan jest politologiem. Stąd inne pytanie. Zna Pan ewolucyjne prawo zwane prawem dziobania?

– Im samiec stoi wyżej w hierarchii, tym ma większe prawo do atrakcyjnych samic.

Czyli władza jest afrodyzjakiem?

– Dla samic chyba tak.

A dla samców? Pytam, bo z tego, co pamiętam, ani przy Margaret Thatcher, ani nawet przy premier Hannie Suchockiej, nie kłębili się tłumy młodych, przystojnych facetów. Więc?

– Mężczyzn takie kobiety raczej onieśmielają.

Czyli kobieta, nawet przy władzy, nie podziobie sobie?

– Przy mnie na pewno. A mówiąc poważnie. Ja mam bardzo precyzyjne gusta. Ale wciąż w kręgu kobiet.

I jakie na Pana działają?

– Na przykład moja narzeczona. Kiedy mówi: „Uspokój się, bo cię lutnę!”, to na mnie działa. Jest emerytowaną sportsmenką.

A Pan uprawia jakieś sporty?

– Przez lata grałem w tenisa stołowego.

To nie jest sport ekstremalny?

– W moim przypadku nie był. Ale gdyby uprawiać go na przykład na lodowcu... Ale nie pomyślałem o tym.

Bo nie miał Pan czasu. Podobno mężczyzna co siedem sekund myśli o seksie.

– Ja częściej. To wynika z tego, że, jak

wspominałem, żyję obok, więc częściej myślę. I raz na 10 myśli zadzwonię.

I raz na 10 telefonów spotyka się Pan? Żartowałam. A propos. Kobiety mają większe poczucie humoru czy mężczyźni?

– Jest taki żart. Przychodzi...

Baba do lekarza?

– Powiedzmy – kobieta. I mówi, że biust jej staje, kiedy zdejmuję staniczek. „Niech pani pokaże” – prosi lekarz. Ona zdejmuje staniczek i biust rzeczywiście staje. Wkłada, opada, i tak parę razy. Wreszcie lekarz: „Choć mam 40 lat praktyki, pierwszy raz stykam się z taką chorobą. Ale na pewno jest to choroba bardzo niebezpieczna. Bo potwornie zaraźliwa”. I to jest żart, po którym jedne panie się śmieją, a inne wręcz przeciwnie.

Może im nie staje? Ale na pewno niemal wszystkie kobiety pytane o ideał mężczyzny jako jedną z najważniejszych cech wymieniają poczucie humoru. Czy Panu w sytuacjach intymnych to się sprawdza?

– Po pierwsze, w takich sytuacjach nie epatuję żartami. Choć czasem nie ma innego wyjścia. I co wtedy?

– Jedna z moich byłych partnerek powiedziała, że nie może się ze mną kochać.

Bo ją Pan rozśmiesza? Rozumiem. I nie zazdrości kobietom?

– Piersi. Już Wojciech Mann powiedział kiedyś, że gdyby miał piersi, w ogóle nie wychodziłby z domu. Bo cały czas by się nimi bawił. Jak dziecko!

– Myślę, że inaczej.

Tak czy inaczej, całe szczęście, że nie macie piersi! W życiu nie można tylko się bawić.

– To ja dziękuję.

Nie przesadzajmy. To ja dziękuję.

WAŻNA „DWÓJKA” – ODPOWIEDŹ WOJCIECHOWI MANNOWI

Moja reakcja jest nieco spóźniona, więc bardzo już złagodniałem. Dopiero teraz miałem bowiem okazję przeczytać ów obszerny tekst na temat radiowej „Trójki” – rozmowę Wojciecha Manna z prezesem Eugeniuszem Smolarem („Przekrój” nr 20 z 19.05.2002). Chcę więc jedynie powiedzieć, że jako dziennikarzowi radiowej „Dwójki” jest mi po prostu przykro, iż pewne – powiedzmy – niezbyt eleganckie słowa dotyczące Programu 2 PR padają z ust kogoś, kogo cenię i lubię jako dziennikarza. Drogi kolego Mann, chciałbym więc Pana poinformować (bo nie musi Pan tego wiedzieć), że moje „radiowe życie” rozpoczynałem niegdyś także od krótkiej współpracy z ówczesną „Trójką” i pewnie dlatego odczuwam jakiś sentyment do tego Programu, mimo że jego specyficzna atmosfera intelektualna dawno już uleciała. Bez względu na okoliczności i aktualny stan rzeczy nie nazwałbym jednak publicznie współczesnej „Trójki” nieboszczykiem. Przepraszam, że jestem taki delikatny. Tyle.

Na temat „Dwójki” pozwolę sobie jednak dodać kilka osobistych uwag, uzupełniając trafne stwierdzenia prezesa Eugeniusza Smolara. „Skoro śmierć grozi stacji pięcioprocentowej, to co może się stać »Dwójce« z jej jednym procentem? W jakim celu galwanizuje się tego nieboszczyka?” – zapytuje Mann prezesa Smolara.

„Dwójka” realizuje specyficzny program związany z wysoką kulturą muzyczną i literacką. Jeśli nie będzie tego robić radio pu-

bliczne, to nie zajmie się tym nikt inny (...)” – odpowiada prezes.

Radiowa „Dwójka” jest więc coraz bardziej osamotniona w polskim eterze. Tego, co można usłyszeć na jej antenie, nie usłyszy się w żadnej innej polskiej stacji radiowej.

Warto jednak zastanowić się, co by się stało, gdyby „Dwójka” zamilkła. Ano w dziedzinie muzyki klasycznej na przykład duża część terytorium Polski przekształciłaby się w jałową pustynię – bez możliwości wysłuchania jakiegokolwiek koncertu lub spektaklu operowego. Wielu ludzi nie dowiedziałoby się zapewne, że istnieje coś takiego jak słynne londyńskie Promsy, Festiwal Wagnerowski w Bayreuth, nie mogliby gościć w największych polskich salach koncertowych. Racje istnienia „Dwójki” należy więc mierzyć nie tyle procentami, ile przede wszystkim w kontekście intensywności i jakości polskiego życia muzycznego.

Stały dostęp do kultury wysokiej jest niezbędny każdemu normalnemu społeczeństwu tak jak szkoła podstawowa – nauka czytania i pisanie. Musi więc być w polskim eterze takie miejsce, gdzie można spokojnie posłuchać i dowiedzieć się czegoś o Bachu, Beethovenie, Moniuszce czy Pendereckim, dowiedzieć się, co istotnego dzieje się na świecie w dziedzinie kultury, dyskutować o sztuce – nie okazjonalnie, lecz na co dzień i niezależnie od tego, ile procent Polaków aktualnie będzie chciało tego słuchać. Walka o pozyskiwanie nowych słuchaczy to już zupełnie inna sprawa.

WIKTOR A. BRĘGY

Redakcja Muzyczna Programu 2 PR

TO BYŁA PROWOKACJA

Przeczytałem kilka napaści na mnie związanych z pytaniem o Drugi Program Polskiego Radia. Jeżeli ktoś cokolwiek o mnie wie, to wie również, że nigdy nie byłem za karcowaniem kultury. Wręcz przeciwnie. Pytanie zadane w sprawie „Dwójki” było prowokacyjne, ale najwyraźniej nie wszyscy w swoim zaparzeniu mieli ochotę to zrozumieć. Taka to już jest Polska, że, cytując Andrzeja Mleczkę, przy wszystkim powinno być napisane, czy jest dla jaj, czy na poważnie.

WOJCIECH MANN

PS Chciałbym również dodać, że na co dzień wyglądam inaczej niż na okładce „Przekroju”.



MUZEUM PROSI

Muzeum Narodowe w Kielcach przygotowuje wystawę monograficzną malarza Rafała Hadziewicza (1803–1886), profesora Szkoły Sztuk Pięknych i tak zwanej Klasy Rysunkowej w Warszawie (1845–1871). Muzeum prosi osoby posiadające prace R. Hadziewicza o udostępnianie ich muzeum w celu udokumentowania, a następnie zaprezentowania – za zgodą Właścicieli – na wystawie. Muzeum reflektuje także na pamiątki takie jak dokumenty i listy artysty czy jego fotografie. Zapewniona jest dyskrecja co do własności.

Dyrektor

ALOJZY OBORNY



Założył w roku 1945 w Krakowie Redaktor **MARIAN EILE**

DYREKTOR KREATYWNY – WYDAWCA:

Piotr Najstłub

REDAKTOR NACZELNY:

Roman Kurkiewicz

Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO:

Jacek Kowalczyk

ASYSTENTKI REDAKTORÓW NACZELNYCH:

Anna Romotowska, Maria Świątklik

SEKRETARZE REDAKCJI:

Magda Bauman (szef), Ewa Biała, Magda Gędziorska

KULTURA:

Manana Chyb (szef), Bogna Świątkowska (z-ca), Marcel Andino Velez, Marcin Baran, Paweł Dunin-Wąsowicz, Joanna Gromek Illg, Leszek Mazan, Tadeusz Nyczek, Jacek Podsiadło, Małgorzata Sadowska, Andrzej Saramonowicz, Marcin Sendek, Justyna Sobolewska

WYDARZENIA:

Dariusz Rosiak (szef), Małgorzata Fiejdasz, Agnieszka Litorowicz-Siebert, Filip Łobodziński, Wojciech Maziarski, Jakub Mielnik, Magda Papuzińska, Wawrzyniec Smoczyński, Kazimierz Targosz, Michał Wójcik

NAUKA:

Jan Stradowski (szef), Olga Woźniak

ROZRYWKA:

Paweł Sito (szef), Marcin Pieszyk

PRACOWNIA GRAFICZNA:

Piotr Gidlewski (szef), Maria Klich, Łukasz Dziedzic, Dominika Szczepowicz, Dominika Raczowska

PAN OD RYSUNKÓW:

Jacek Ziemiński

FOTOEDYCJA:

Agnieszka Steinhagen (szef), Anna Majewska, Ewa Morgunow, Marek Szczepański, Bogdan Krężel (fotograf)

KOREKTA:

Lucyna Dyczkowska (szef), Tatiana Hardej

ARCHIWUM:

Wanda Lacrampe

PRODUKCJA:

Agencja Poligraf – Maciej Kowalski

REDAKTOR TECHNICZNY:

Alan Jawor

ADRES REDAKCJI:

ul. Wiejska 12a, V p., 00-490 Warszawa, tel. (0-prefiks-22) 584 25 25, faks (0-prefiks-22) 584 25 21 e-mail: redakcja.przekroj@edipresse.pl

WYDAWCA:

Edipresse Polska SA, ul. Wiejska 19, 00-480 Warszawa, tel. (0-prefiks-22) 584 22 00, faks (0-prefiks-22) 584 22 01

PREZES WYDAWNICTWA:

Zbigniew Napierała

WICEPREZES:

Krystyna Kaszuba

WICEPREZES-DYREKTOR**ZARZĄDZAJĄCY:**

Ewa Redel

DYREKTOR FINANSÓW:

Paweł Satkowski

DYREKTOR WYDAWNICZY:

Ewa Niezbecka

DYREKTOR MARKETINGU:

Izabela Bochenek

DYREKTOR DS. ROZWOJU I KONTAKTÓW MIĘDZYNARODOWYCH:

Agnieszka Smit

DYREKTORZY ARTYSTYCZNI:

Elżbieta i Bogdan Zochowscy

DYREKTOR PUBLIC RELATIONS:

Katarzyna Bem

DZIAŁ DYSTRYBUCJI:

tel. (0-prefiks-22) 584 22 28,

Grzegorz Barej – dyrektor

DZIAŁ PROMOCJI:

Marcin Fedisz (kierownik), Agata Obrębska

BIURO REKLAMY:

Andrzej Matuszczyk – dyrektor, Maciej Stożek, Bartek Kluczyński, Adriana Olczak, Marzena Kiedacz (Kraków) Warszawa, ul. Wiejska 19, tel. (0-prefiks-22) 584 22 94 faks (0-prefiks-22) 584 22 98

DRUK:

Winkowski Sp. z o.o., ul. Okrzei 5, 64-920 Piła, tel. (0-prefiks-67) 210 84 00

PAPIER: okładka – LumiArt 90 g, środek – Stella Press 60 g; producent – Stora Enso

PRENUMERATA:

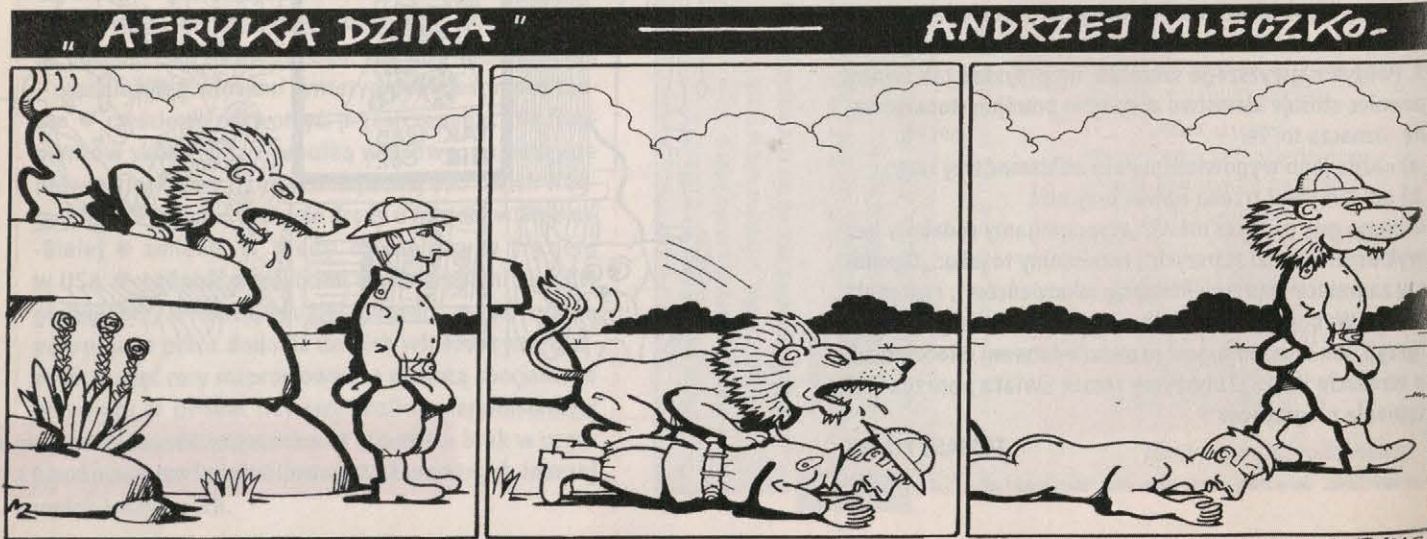
u Wydawcy Izabela Dębska, Agnieszka Bogdańska, tel. (0-prefiks-22) 584 22 29 lub 584 22 30 faks (0-prefiks-22) 584 22 32

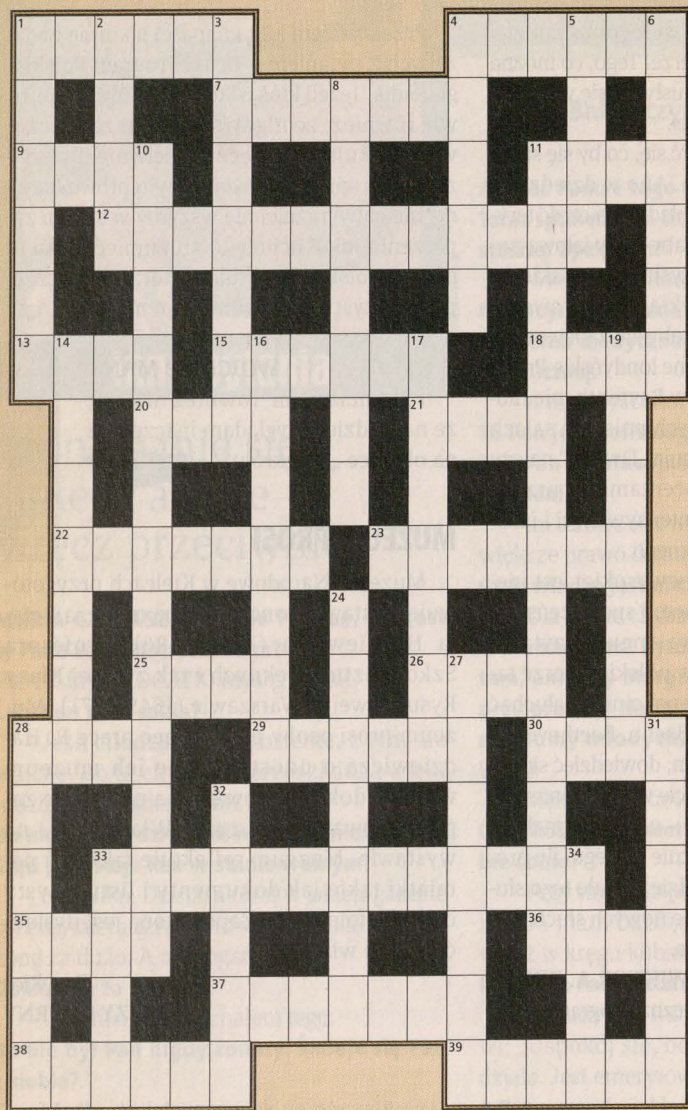
przez pocztę przedpłaty przyjmują urzędy pocztowe na terenie całego kraju

przez Ruch SA informacja tel. (0-prefiks-22) 532 87 31, faks (0-prefiks-22) 532 87 32

Zabroniona jest bezumowna sprzedaż numerów bieżących i archiwalnych „Przekroju” po cenie niższej od ceny detalicznej ustalonej przez wydawcę. Sprzedaż po cenie innej niż wydrukowana jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością prawną.

Artykuły niezamówionych nie zwracamy. Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian i skrótnów w nadesłanych artykułach i listach.





KRZYŻÓWKA nr 26

POZIOMO:

- 1 między przerwami
- 4 amerykański kułak
- 7 kraj zmarzniętej wiśni
- 9 ty też
- 11 to, co Wyspiański pominął, a Gombrowicz podchwycił
- 12 antykultura
- 13 zdołała lico Stalina
- 15 360 stopni do obrony
- 18 Napoleona
- 20 samochód z temperamentem
- 21 tam Dyżma staje się panem Nikodemem
- 22 wbrew nazwie śniegiem też zamiecie
- 23 przed lasem
- 25 ogniwo pośrednie między drzewem a boazerią
- 26 pierwsze 4 z 22
- 28 z apteki
- 29 Eile
- 30 imię Kadabry
- 33 dziewczyna jak maszyna
- 35 muzyka w slangu młodzieżowym
- 36 wodne zoo
- 37 antenat kina
- 38 stłoczony jak w tramwaju

- 39 nawet gdy inflacja wysoka, ona coraz tańsza

PIONOWO:

- 1 niby pokazuje to samo, ale tak naprawdę – zupełnie odwrotnie
- 2 10-noga mgławica
- 3 szef 40-osobowego gangu
- 4 referendum 3 x tak
- 5 przy Sopocie po robocie
- 6 to, po czym powyżej
- 8 duże szydło, którym rzucał Sidło
- 10 w najczarniejszych okularach
- 11 zabawi po lekcjach
- 14 embargo lub weekend bez komputera
- 16 po nieznanym przodku
- 17 zimno, ale bez pingwinów
- 19 odważny przez samo „h”
- 24 szeroki topór o silnie zakrzywionym ostrzu i długim drzewcu
- 27 jednogłośnie
- 28 chemik ma go na papierze
- 31 gruba rura odżywa się na dotyk płonącego sznura
- 32 Instytut Naukowych Wdrożeń i Technologii
- 33 wciąż pierze
- 34 spotkasz ją w operze

Rozwiązanie krzyżówki nr 23:

- Poziomo:** 1. kombajn 4. piekło 6. Ingrid 9. sznurek 10. Łukasz 12. skok 16. rzepa 17. Zosia 18. Azory 19. chimeryczka 23. opera 24. album 25. Turek 26. nuta 28. zastęp 29. różnice 30. konina 31. uprawa 32. Dickens
- Pionowo:** 1. kosz 2. Brutus 3. Nike 4. półprzewodnik 5. erkaem 7. rektor 8. daktyloskopia 11. szachraj 13. szampan 14. karczma 15. maskotka 20. robotnik 21. Rejtan 22. kratka 27. grad 28. Zeus

Listę laureatów krzyżówki nr 21 opublikujemy w numerze 27.

ODPOWIEDŹ ZA TYDZIEŃ

ANALIZA WACKA

autor: Jacek Szczap, profesor enigmatologii

Wacek nie cierpił swojego szefa. Ale cóż, szefów się nie wybiera, więc Wacek cierpił. Tych cierpień zostało mu do końca tygodnia niewiele, jako że był piątek, druga po południu. Do zakończenia pracy zostały dokładnie dwie godzinki.

– Panie Wacku, jest robota – w drzwiach pojawił się szef. – Żadne „ale”, żaden „piątek” – uprzedził protesty Wacka – tylko parę próbek do analizy. Do pokoju zaczęli wchodzić objuczeni stojami ludzie. Jeden, drugi, trzeci... Wkrótce cały pokój zastawiony był stojami.

– 129 stoi, a jeden z nich zawiera truciznę – oznajmił szef. – Jakiś wariat chce truć ludzi. Zadzwoń, że coś wyspał do jednej partii wody mineralnej. A tych partii jest 129. Do poniedziałku do ósmej rano musimy wiedzieć, co i gdzie wyspał. Teraz jest parę minut po drugiej – ciągnął ze złośliwym uśmiechem szef. – Jak pan zacznie o trzeciej, panie Wacku, to jeszcze trochę zostanie panu czasu na sen i na jedzenie. Do zobaczenia w poniedziałek rano – szef trzasnął drzwiami.

„Mam tylko jeden aparat do analiz, jedna analiza to 25 minut, 129 analiz to 53 godziny i 45 minut” – pomyślał Wacek.

„Do ósmej rano w poniedziałek od teraz – spojrzał na zegarek, była dokładnie trzecia po południu – mam 65 godzin. To mi jeszcze 11 godzin

i 15 minut na sen zostaje. Jezu, ten idiota miał rację!” – posmutniał nasz bohater.

„No dobra – pomyślał – a może by tak pomyśleć”.

I zaczął myśleć. Pod dwóch godzinach plan był gotów. Wacek wziął się ostro do roboty. Pobral próbki z pierwszego z brzegu stojaka...

Dokładnie po trzech godzinach i 45 minutach Wacek już wiedział, w którym stojaku jest trucizna i co to za substancja. „Gdybym miał szczęście przy wyborze ostatniej próbki, to zaoszczędziłbym jeszcze 25 minut” – pomyślał Wacek.

W jaki sposób Wacek w tak krótkim czasie uporał się z analizą zawartości 129 stoi, jeśli zrobił to bez niczyjej pomocy i na jedynym aparacie do analiz, jaki miał do dyspozycji?

Odpowiedź sprzed tygodnia

Józek mówił prawdę. Otóż na moje pytanie: „Czy ty mówisz prawdę?” zarówno ten, kto mówi prawdę, jak i ten, kto kłamie, odpowie: „Tak”. Zatem zdanie Józka: „Władek powiedział: »Tak«” – było prawdziwe, czyli Józek mówił prawdę.

JOLKA nr 26

Określenia podano w innym szyku niż kolejność wyrazów w diagramie. Po wypełnieniu diagramu należy rozszyfrować następujące hasło:

A3 – I15 – C9 – H10 – F4 / K9 – B17 – E5 – J17 – B5 / F17 – D10 – J13 – F1 – D2 – E7 / D1 – Ł3 – Ł10 / D15 – H3 – K12 – C10 – J3 – E17 / L8 / I6 – K17 – C6 – C14 – Ł2 – G8 – D16 – B10 – Ł14 – K4 – A5 / K1 – A7 – G11 – J16 – A12 / L13 – Ł7 – H15 – F16 – A16.

Wyrazy 9-literowe:

- hasa sobie po Srebrnym Globie
- cera syreny

Wyrazy 8-literowe:

- znajdziesz ją w dróbkach • wysoki do spraw • jest, gdy szeryf na L-4
- zwiadowca zabierze ją do teatru
- stylu – słuchaczy odstrasza tyłu
- kusi rożkami • wynik jest, a sędzia się nie nabiega • zajmuje cały Cejlon (3+5) • dybie na rydza • ich „specjalnością” są gołoborza
- Apacz przy Apanaczi • Godzilla lub salamandra • najszybszy jej wzrost – w Wielki Post • pani, która nie napłynęła

Wyrazy 7-literowe:

- kulka z 37 możliwościami • krowie prześcieradło

Wyrazy 6-literowe:

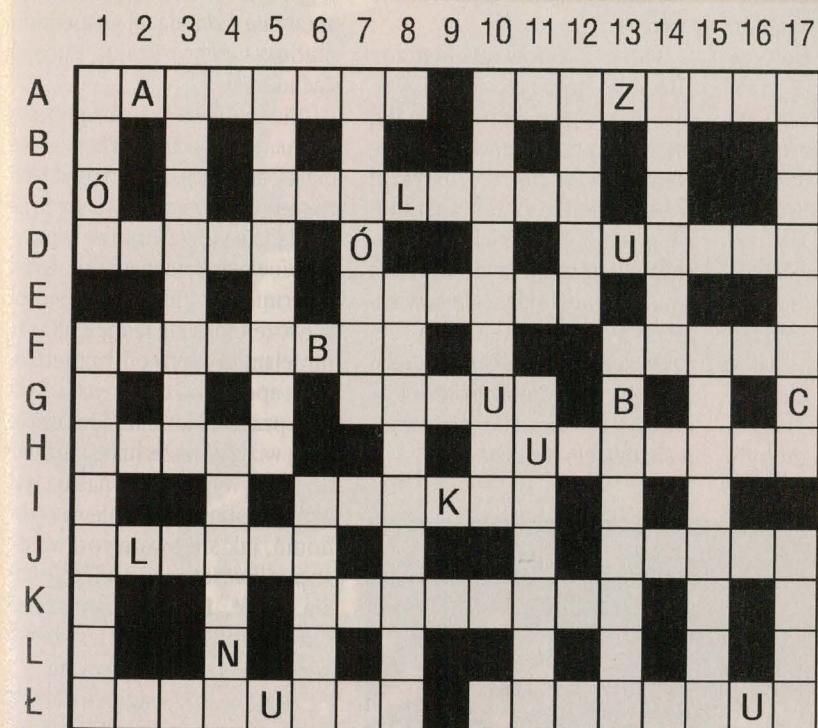
- zazdroścą go wirtuozowi • owoc z Getsemani • rozpacz skrzypiec
- zastąpił bara • nie każdy przegrany ma do niego okazję • jak na nią, ale nie złość

Wyrazy 5-literowe:

- Muzykant • wymachiwał Excaliburem • i gbur ma serdeczny
- mucha rusza się w nim szybciej niż w smole • przyczynił się do pokonania Niezwycięzonej Armady Filipa II
- sięga się po nie nie po to, by na nich usiąść • kontrolowany w torbie?

Wyrazy 4-literowe:

- ten dobry podobno miał na imię Dyżma • nerwowa bela?

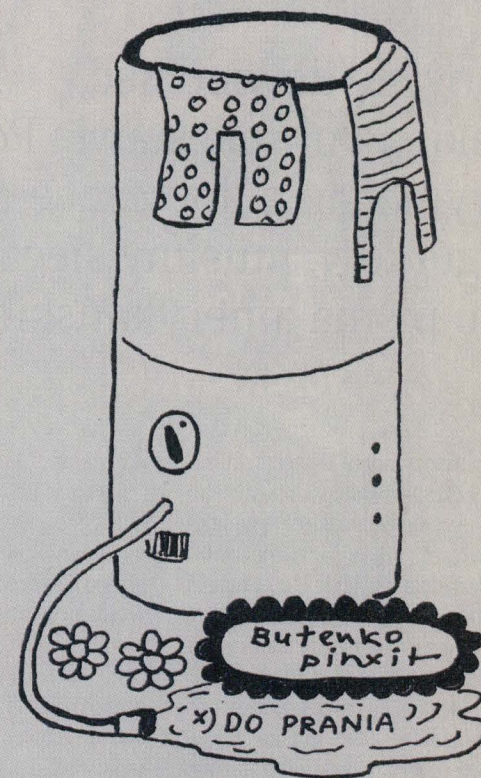


AUTOR: JERZY BUCZEK

Rozwiązanie jolki nr 23: TYM RAZEM MALARZ NAM ODTWORZYŁ BZÓW ZAMROCZENIE ABSOLUTE (z wiersza pt. „Impresjonizm” Osipa Mandelsztama, przeł. Maria Leśniewska).

Rzędami: konstruktorka, Zorro, molo, różgi, uszkodzenie, arogant, bednarz, rajer, Zbyszko, obierka, hemoglobina, gracz, etui, Edyta, podejrzliwość
Kolumnami: czardasz, bielmo, gryzmoły, Słońce, komisarz, kelner, lustro, stos, Bell, Znajomi, Rock, nerw, brokat, knedle, dziegieć, Orlean, Adriatyk, kawior, zmarzłak

Za poprawne rozwiązanie jolki nr 21 nagrody wylosowali: Halina Kobusińska, Toruń; Filomena Marciniak, Poznań; Ryszard Smółka, Tarnowskie Góry; Marian Sychalski, Włocławek; Izabela Szufnara, Gorlice. **Gratulujemy!**



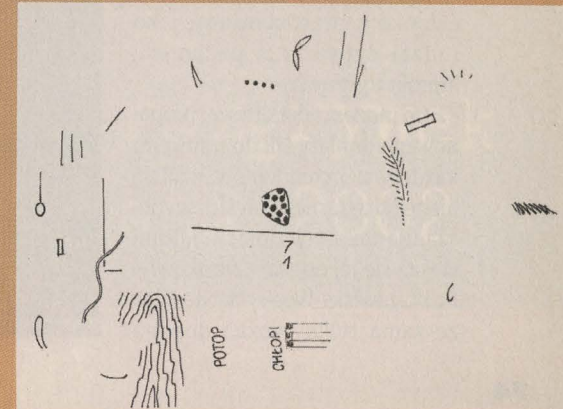
Pomiędzy Czytelników, którzy do niedzieli 7 lipca (decyduje data stempla pocztowego) nadesłali poprawne rozwiązanie jolki lub krzyżówki, rozlosujemy 10 egzemplarzy książki (z podpisem autora) Jurija Andruchowycza „Ostatnie terytorium” (wydawnictwo Czarne).

Nasz adres: „Przekrój”, ul. Wiejska 12a, 00-490 Warszawa, z dopiskiem Jolka 26 lub Krzyżówka 26.



WYTYCZ WZROK

rozwiązanie ze s. 69.



Unizacja zamiast sowietyzacji?

Aby się dowiedzieć,
jakie Bruksela stawia Polsce
wymagania dotyczące
ogórków, musimy sięgać
po pisma amerykańskie

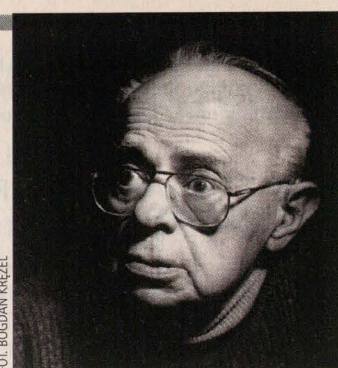
„International Herald Tribune” z 13 czerwca zamieszcza dwustronowy przegląd perspektyw, jakie otwierają się przed państwami, które mają wejść do Unii Europejskiej w roku 2004. Szczególnie cenne są zawarte w amerykańskiej gazecie statystyczne tablice porównawcze oraz skrócony opis postulatów, które muszą spełnić nowi członkowie Unii, ponieważ zostały zadekretowane przez, cytuję, „biurokratów brukselskich”.

Lista zobowiązań dla kandydatów na członków, czyli Czech, Polski, Słowacji i Węgier, jest horrendalnie szczegółowa. Bruksela ustanawia standardy dotyczące nawet peklowania ogórków. Tyle jest owych drobnych wymagań, że znany nam od dawna amerykański profesor Jeffrey Sachs oświadczył, iż nadmierna ilość żądań i regulacji, które muszą być spełnione przez nowych członków, przedstawia się jako rodzaj dziwacznej pedanterii biurokratycznej.

Co może najdotkliwsze, proponowane dopłaty UE do rolnictwa każdego z pretendentów, uzależniane od agrarnego areálu, wynoszą ułamek tych dotacji, jakimi cieszą się jej obecni członkowie. Przedstawiciel Węgier powiedział, że sama tylko roczna dopłata

na hektar dla rolnika austriackiego stanowi równowartość ceny jednego hektara ziemi uprawnej na Węgrzech. Dlatego uznał on obawy, że dojdzie do masowego wykupu gruntów przez cudzoziemców, za zasadne. Niezależni rzeczoznawcy uważają, że kandydujące do Unii państwa winny się twardo z biurokratami z Brukseli targować.

W prasie krajowej można było znaleźć ostatnim czasem zarówno wiele zachęceń, a nawet entuzjastycznych perspektyw, jakie otwiera przed nami Unia Europejska, jak i protestów i zniechęceń, przy czym jedno i drugie były



FOT. BOGDAN KRZEL

ogólnikowe aż do mglistości. Tymczasem obiektywne oceny wszystkiego, co się nam proponuje i czego się od nas żąda, wyrażone po prostu w walutowych kursach i jednostkach miary, od dawna powinny znajdować się w postaci porównawczych tablic na czołowych stronach naszych gazet. Dziwne jest prawdziwie, że po to, aby się dowiedzieć, jakie Unia stawia Polsce wymagania dotyczące grzybów, stali, tekstyliów albo nawet ogórków, musimy sięgać po pisma amerykańskie, zupełnie tak, jakby chodziło o informacje tajne.

Jeden z cytowanych przez „Heralda” negocjatorów na pytanie, dlaczego należy się z taką precyzją trzymać nawet ogórkowych wytycznych, usłyszał w odpowiedzi, iż tak postanowiono i już. Z polskiej strony nasuwa się uwaga, że niezyciowe ustalenia pochodzące z sowieckiego systemu nakazowo-rozdzielczego odrzuciliśmy jak gdyby po to, ażeby teraz przywracać normy w jeszcze bardziej sformalizowanej postaci.



RYŚ. DIMITRI SZEWIONKOW-KSMIEŁOW

Co Pan na to,
Panie LEM?

Cała ta maszynaria biurokratyczna w najmniejszej mierze nie zapobiegła przecież nagłemu i niespodziewanemu zjawisku w Niemczech, a mianowicie masowemu zatruciu karmy zbożowej dla drobiu i trzody chlewnej przez związek chemiczny zwany nitrofenem. Szkody wywołane tym rakotwórczym skażeniem idą w miliardy marek, zaś chłopi w wielu landach niemieckich stoją w obliczu bankructwa. Myślę sobie, że nie jest to ani pierwszy, ani ostatni rodzaj niespodziewanego wykolejenia wewnątrz tak dotąd sprawnie działającej gospodarki najbogatszego kraju Europy Zachodniej.

Niewątpliwie rację ma profesor Sachs, który uznał przejściowe okresy adaptacji do wymagań Unii za niewystarczające, zwłaszcza że wygląda na to, iż kupujemy przyszłowiowego kota w worku. Krótkoterminowe kłopoty przystosowawcze mogą się jednak okazać mniejszym złem od rozbudzonych apetytów i oczekiwań. Byliśmy przez 40 lat mamieni wspałałą wizją powszechnego rozkwitu, który wyprowadzi nas na wyżyny komunizmu. Ponieważ wiadomo, jak się owa wyprawa do szczęśliwości zakończyła, godzi się pojąć, iż w naszej części Europy dopuszczalny jest zaledwie posrebrzany sceptycyzm.

Zestawienie wagowe plusów i minusów wejścia do Unii nie jest łatwe i czysto arytmetyczne porównania nie potrafią zbilansować całości tych przemian. Jak to zwykle bywa, najprawdopodobniej trochę zyskamy, a trochę stracimy, ważne jednak, ażeby niczego nie robić za wszelką cenę.

STANISŁAW LEM
14 czerwca 2002

VIVA FUTBOL!

WSZYSTKO W JEDNYM MIEJSCU: FAZA GRUPOWA MUNDIALU

VIVA FUTBOL! ENCYKLOPEDIA MISTRZOSTW ŚWIATA 2002

NR 16
cena 4,90 zł (zawiera VAT 0%)

ANALIZA GRY POLAKÓW

NOWE GWIAZDY

KOMPLET WYNIKÓW

SZCZEPŁEK I MATERNA Z KOREI

SKOCZYŁAS SPRZED TELEWIZORA

Z HONOREM!

I W DOBRYM TOWARZYSTWIE:
Argentyna, Francja, Portugalia

ISSN 1642-6188 (druk) 96701 X
ISBN 83-88772-95-3
9 788388 772955
ISBN 83-88772-79-1 (CALOŚĆ)
ISBN 83-88772-96-3 (NR 16)

W najnowszym numerze
szczegółowe podsumowanie rozgrywek
grupowych Mistrzostw Świata 2002

Już w kioskach!

Z ogłoszeń motorzystycznych „Tygodnika Powiatowego” z 27 lutego 2002:

Sprzedam Buick 2 – składowy Polski lub za mniejszą na 3 składowy. Wład. tel. (0-62)

Sprzedam przetraszkę – zgrabiając 7 gwiazdową, stan dobry. Wład. tel. (0-62)

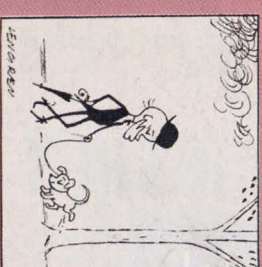
Może to i pomysł na bezpieczne korzystanie z naszych szos.

(Nadesłał J. Golanowski z Ostroższowa)

MYŚLI

Ludzie są tacy jak czasy.
(Szekspir)

FLUTEK



R O Z M A I L O S C I

PRZESTĘPCZOŚĆ ZMIENIA TWARZ

„Dziennik Łódzki” z 31 maja z przejęciem poma-ga policji:

„Estonia wystosowała wniosek o ekstradycję z Polski. Jest on podejrzany o popełnienie osmiu przestępstw”.

Prześcigający przestępcę się ostatnio w wymyśla-niu pseudonimów. Była już „Wojowna”, był „Prze-szczep”, teraz czas na „Wniosek”.

(Nadesłał NN z Łodzi)

KŁATWA SKORPIONA

„Dziennik Zachodni” nr 120 w horoskopie ostrzeżenie Skorpiony:

„Dużo niepotrzebnych napięć wywołanych różnicą sądów między tobą a toczonym”.

Skorpiony z nadwagą będą się toczyć coraz wol-niej, a te szczupłe czeka toczenie szyjowego kamienia.

(Nadesłała Alicja Flańska z Tychoń)



Rys. Bohdan Butenko

KINO TEATRZYK P. JURKA

„Helikopter w ogniu”

Występują:

CHÓR KRZTYKÓW
SŁAWOMIR IDZIAK

(Na pierwszym planie
Sławomir Idziak

w postępowaniu dzieł.

Na drugim
– pływający helikopter
oraz ogólna mnogość
efektów specjalnych)

CHÓR KRZTYKÓW

(dobitnie):

– Współpracował pan z wielo-ma znakomitymi reżyserami,
współtworzył wiele
ambitnych filmów.

THE END/KURTYNA

HUMOR WESZYSTKIM SZKOLNYCH

Na rozkaz Napoleona polscy szwoleżerowie
spieśli konie ostrogami i runęli w przepaść
wawozu.

Dzięki pożarowi Rzymu Neron stał się
natchniony i mógł komponować utwory.

Na granicy XIX i XX wieku młodzież wiejska
była chuda.

Zenon sam popełnił samobójstwo.

Mussolini zorganizował „czarną kroszulę”.

Telmena była głupia, bo wszystko chowała
do biurka.

BUTENKO
PINKIT

PRZEMISŁAW BORKOWSKI

Stopy

Spotkałem wczoraj w mieście Artura.
Strasznie mizerny. Kości i skóra.

– Co ci się stało – pytam – mój złoty?

– Bardzo się martwię.

– O co?

– O stopy.

– Słyszałem o tym – powiedział – w radio.
Przemawiał ekspert. O Polsce. Nad nią
ły ronił gorzkie pełen zętyoty.

Mówił, że kiepsko. Bardzo. Przez stopy.

A tam! (tak myślę) – duby smalone!
Lecz dla pewności spytałem żonę.
– To ty nic nie wiesz – mówi – no co ty!
Wszystko to przez te stopy!

Szyba mi pękła. Dzwonię do szklarza.
Szklarz nie przyjeżdża (i się wyraża).
– Nie mogę wstawić. Za żadne kwady.
Bo za wysokie są stopy!

Idę do sklepu. Kupuję szynkę.
Patrzę – zielona. Ciut. Odrobinę.
Sklepowca mówi: – Tak, tak, mój złoty!
Szynka zielona. Wszystko przez stopy.

Sasiada widzę, mówię: – Sasiadzie!
Coś się ostatnio w życiu nie wiedzie.
Sasiad mi na to: – I bez dziwoły!
Strasznie wysokie dzisiaj są stopy.

Ja już nie mogę! To jak narkotyki!
Gdziekolwiek spojrzę, stopy i stopy!
Pojdę i z mostu skoczę do Wisły.
– Radzę poczekać. Stan wody niski.

PANACEUM

„Tele Tydzień” z 20 ma-
ja zaleca, aby bronić
się przed nadciśnieniem,
uzupełniając braki mag-
nezu. Powołuje się przy-
tym na medyczne auto-
rytety.

„Takie są wyniki ba-
dań lekarzy z Akademii
Szczepiłki z Chmelnowa)

(Nadesłał Zdzisław
Szczepiłki z Chmelnowa)

Z GŁOWY...

Kto ma słabą pamięć,
powinien o tym pamiętać.

...KRZYSZTOFA BILICZY